Napoleon zdradził Polaków
Szokujące kulisy prorosyjskiej polityki Bonapartego

Miałem zabić Fidela
Sensacyjny wywiad z egzekutorem CIA

Wojna prewencyjna
Czy Piłsudski chciał zaatakować Hitlera?

NR 11(81)/2019 LISTOPAD 2019

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-5595
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

1939: Zapomniana akcja bohaterów

RATUNEK POLSKIEGO ZŁOTA

eprasa.pl

GINTROWSKI

X

JUBILEUSZOWY KONCERT

TEATR POLSKI

im. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE

BILETY BĘDĄ DOSTĘPNE W KASIE TEATRU OD **7 PAŹDZIERNIKA**

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY KOŚNIK

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

LOTTO Poczta Polska fundacja arp żabka

PATRONAT MEDIALNY: Do Rzeczy wprost

eprasa.pl cca2dcaa5c

HISTORIA DO RZECZY

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Marek Budzisz**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA: **Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska**
Zarząd spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, maj 1931 r.

Dekoracja polskiego samochodu CWS, konstrukcji inż. Tadeusza Tańskiego, podczas konkursu piękności aut

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Materiał na wielki film

Jedną z największych bolączek polskiej kinematografii jest nieumiejętność robienia dobrych filmów historycznych. Schemat jest na ogół taki sam. Twórca bierze na warsztat jakąś lekturę szkolną albo tzw. wielki historyczny temat. Ostatni przykład: Legiony Piłsudskiego. A następnie dostaje dotacje państwowe i kręci patriotycznego produkcyjniaka. Piekielnie nudne filmisko, które oglądają tylko egzaltowane stare ciotki i nieszczęsna dziatwa szkolna, którą spędza się do kin w ramach obowiązkowych wycieczek.

Tymczasem świetne, hollywoodzkie wręcz tematy leżą na ziemi. I tylko czekają, aby po nie sięgnąć. Idealnym przykładem może być historia, która trafiła na okładkę tego numeru „Historii Do Rzeczy". Czyli niesamowita akcja ratowania polskiego złota we wrześniu 1939 r. Grupka dzielnych Polaków – na czele z Ignacym Matuszewskim i Henrykiem Floyar-Rajchmanem – dokonała czegoś niesamowitego.

Udało im się przetransportować przez całą Europę liczący wiele ton skarb narodowy Rzeczypospolitej. Skala tej śmiałej operacji zapiera dech w piersiach. Polska, Rumunia, Morze Czarne, Turcja, Bejrut, Morze Śródziemne, Francja. Piekielnie ciężkie skrzynie wypełnione po brzegi bezcennym kruszcem transportowane były ciężarówkami, pociągami, statkami i okrętami. Ile przy tym uczestnicy wyprawy przeżyli przygód, ile pokonali niebezpieczeństw! To prawdziwy cud, że im się powiodło.

Dobrze nakręcony, wysokobudżetowy film o ratowaniu polskiego złota w 1939 r. byłby murowanym kinowym hitem. I scenarzyści nie musieliby robić żadnych poprawek, których celem byłoby „uatrakcyjnienie" akcji. Ta historia jest tak kapitalna, że nie wymaga retuszy.

Byłby to film o ludzkiej odwadze i determinacji, która pozwala dokonać niemożliwego. A także o wielkim rozczarowaniu. Dzielni oficerowie, którzy uratowali polskie złoto, mieli bowiem tego pecha, że byli piłsudczykami. A w Paryżu na czele rządu stanął dyszący żądzą odwetu na znienawidzonej sanacji gen. Władysław Sikorski. W efekcie Matuszewski, Rajchman i ich towarzysze po przybyciu do Francji zostali potraktowani paskudnie. Zamiast nagród spotkały ich szykany.

Przyznają państwo – cóż za filmowa historia! ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR WŁOCZYK
Odyseja polskiego złota

.10 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Pułkownik Matuszewski

.18 TOMASZ STAŃCZYK
Obrona dzieł Wita Stwosza i Matejki

/ CZASY I LUDZIE

.22 ADAM ZAMOYSKI
Napoleon nie kochał Polaków

.30 SŁAWOMIR KOPER
Saga rodu Baczewskich

.34 MARCIN BARTNICKI
Operacja „Mincemeat"

.38 PIOTR SEMKA
Prusak, który stworzył Rumunię

.42 MACIEJ ROSALAK
Wojna prewencyjna z Hitlerem

.46 MAREK GAŁĘZOWSKI
Wiking w Legionach

.50 JAKUB OSTROMĘCKI
Krwawe wojny amerykańskich gangów

.55 ŁUKASZ CZARNECKI
Bushidō – kodeks wojownika

.58 FÉLIX RODRÍGUEZ
Miałem zastrzelić Castro

.62 PIOTR ZYCHOWICZ
Oś Berlin–Warszawa

.66 MARIAN ZACHARSKI
Walerian Sosiński – rodak wysokich lotów

.70 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Estończycy przeciwko bolszewizmowi

.74 LESZEK LUBICKI
Mnich, niedoszły król Polski

.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Aqua vitae, czyli okowita

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Lwi pazur Jarosława Abramowa-Newerlego

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Scenariusz dla Komendanta

.85 PIOTR SEMKA
Przed Gretą była Samantha

.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Sosnkowski – wbrew niepamięci rodaków

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Skandal w Galicyjskiej Kasie Oszczędności

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
Koniecpolski – postrach bisurmanów

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Fotograf sprawiedliwy

eprasa.pl cca2dcaa5c

POLSKA NA STRAŻY CYWILIZACJI ZACHODNIEJ. OD TYSIĄCA LAT.

PRZEDMURZE CYWILIZACJI

NAJNOWSZA KSIĄŻKA MICHAELA MORYSA-TWAROWSKIEGO

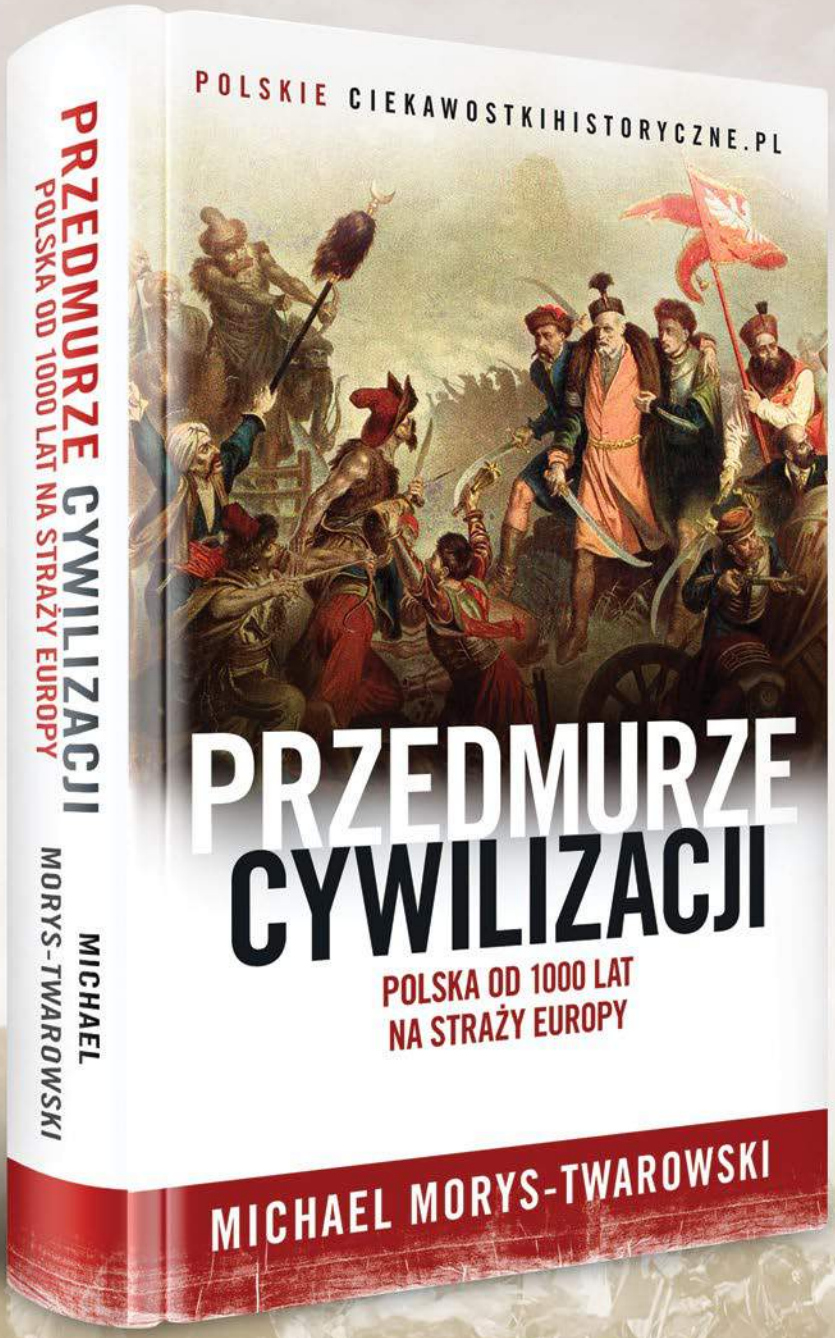

W SPRZEDAŻY OD 16 PAŹDZIERNIKA

eprasa.pl cca2dcaa5c

II wojna / Przez ogarnięte wojną Kresy, Rumunię i Turcję...

Francuski niszczyciel „Vauban", który przewoził polskie złoto FOT. ARCHIWUM

Odyseja polskiego złota

Piotr Włoczyk

Grupa dzielnych Polaków dokonała niemożliwego. Uniknęli niemieckiego pościgu i wywieźli na Zachód liczące wiele ton zapasy polskiego kruszcu

Autobusy stały w praskim parku Paderewskiego równo zaparkowane jeden obok drugiego. Chevrolety, fiaty i leylandy. Właściwie wszystkie prezentowały się podobnie żałośnie. Pordzewiałe, niektóre z otwartymi klapami od silników, z których zwisały kable, inne z odkręconymi kołami. To wszystko, co mógł wygospodarować gen. Aleksander Litwinowicz, odpowiadający za ewakuację rządu. Pułkownik Adam Koc nie wierzył własnym oczom. Dziesięć rozklekotanych maszyn należących do PKP i dwa autobusy miejskie miały przewieźć w bezpieczne miejsce polski skarb narodowy, od którego mógł zależeć dalszy udział Polski w wojnie.

Pułkownik Koc miał raptem dobę, by doprowadzić pojazdy do ładu, znaleźć dla nich paliwo, skompletować załogę i opracować plan ewakuacji na południe, który dawałby największe szanse na uniknięcie śmiertelnego niebezpieczeństwa, które czyhało na konwój w chmurach. Oczywiste było bowiem, że Niemcy będą chcieli za wszelką cenę powstrzymać Polaków przed wywiezieniem złotych rezerw Banku Polskiego. Zaczął się dramatyczny wyścig z czasem. Kolejne dni i tygodnie tej „złotej epopei" były popisem niezwykłej pomysłowości kilku ludzi, którzy wbrew wszystkiemu uparli się, że dostarczą polskie złoto w bezpieczne miejsce.

Na południe!

4 września Niemcy wkroczyli do Grudziądza, w Częstochowie rozpętali „krwawy poniedziałek", zabijając ok. 500 mieszkańców miasta, i właśnie wygrali bitwę pod Mławą. Mimo że dzień wcześniej Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę i sytuacja Polski nie była jeszcze dramatyczna,

eprasa.pl cca2dcaa5c

RYS. JACEK GRAMBURG

rząd premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego podjął decyzję o ewakuacji najważniejszych urzędów państwowych. Równolegle została podjęta decyzja o wywiezieniu jak najdalej od linii frontu zasobów złota Banku Polskiego. Rząd powierzył to zadanie zaufanemu człowiekowi – wspomnianemu już płk. Adamowi Kocowi, byłemu oficerowi wywiadu, byłemu prezesowi Banku Polskiego, a także wieloletniemu wiceministrowi skarbu.

Rząd polski dysponował w chwili wybuchu wojny ok. 95 tonami złota o wartości ok. 464 mln zł (ok. 87 mln dol.). Dzisiaj byłby to odpowiednik ok. 6 mld zł. Majątek narodowy ulokowany w drogocennym kruszcu był jednak rozproszony. W skarbcu Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej w Warszawie przechowywano 38 ton złota o wartości ok. 193 mln zł, natomiast 37 ton wywieziono dla bezpieczeństwa dwa miesiące przed wybuchem wojny do Brześcia, Lublina, Siedlec i Zamościa. Dodatkowo 20 ton polskiego złota zdeponowano w Paryżu, Londynie, Zurychu i Nowym Jorku. W polskich warunkach była to oczywiście fortuna, ale te zasoby nie robiły aż takiego wrażenia na zachodzie Europy. Dla porównania – Belgia dysponowała wówczas ok. 560 tonami złota, a Wielka Brytania miała go w skarbcach aż 2,5 tys. ton. Każda uratowana tona złota zwiększała jednak szanse Polski na utrzymanie się w grze.

Początkowo płk Koc zdawał się niemal przytłoczony skalą problemów, z którymi wiązała się tak pośpieszna ewakuacja. „Dowiedziałem się, że gros złota Banku Polskiego było w kraju. Wiadomość bardzo niepomyślna, ponieważ waga złota musiała wynosić około 80 ton – pisał w swoich pamiętnikach płk Koc. – Transportowanie tak dużego ciężaru podczas wojny, po zatłoczonych szosach, podczas ustawicznego bombardowania przez lotnictwo niemieckie, musiało zagrażać bezpieczeństwu złota w trakcie ewakuacji [...]. Generał Litwinowicz na moje zapytanie, dokąd mam zwrócić się o samochody ciężarowe w celu wywożenia złota, powiedział, że nie posiada już ani jednej wolnej kolumny samochodowej, żeby ją dać do mojej dyspozycji. Wie tylko, że na Pradze, w parku Paderewskiego (dawny park Skaryszewski), jest kilka samochodów w naprawie, ale nie ręczy, czy nadadzą się do użytku".

Mechanicy ściągnięci do naprawy floty autobusowej stanęli na wysokości zadania i szybko przygotowali maszyny do jazdy, ale coraz bardziej paraliżujące działania Polaków Luftwaffe wybijało się na szczyt listy problemów, z którymi musiał się zmierzyć płk Koc. „Niepokoiłem się, czy w tych warunkach uda się przeprowadzić ewakuację. Trudności piętrzyły się i lada chwila mogłem znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Już samo przerzucenie wielotonowego ciężaru, złota w sztabach, przez mosty na Wiśle, na jej prawy brzeg, na Pragę, mogło stać się niewykonalne wobec bombardowania miasta i ewentualnego zniszczenia mostów. [...] Jedynie działanie z największym pośpiechem mogło dawać pewne szanse wykonania ewakuacji, mając wciąż do użycia mosty przez Wisłę" – wspominał w pamiętnikach płk Koc.

Przewidujący szef operacji ewakuacyjnej wyciągnął z szafy swój pułkownikowski mundur. Szybko okazało się, że był to świetny pomysł. „Magia" munduru oficerskiego niejednokrotnie pomagała błyskawicznie usunąć wszelkie przeszkody, które pojawiały się na trasie złotego konwoju. „Nie tłumaczyłem się przed nikim. Wymagałem spełniania moich zarządzeń i nikt, przynajmniej jawnie, nie zgłaszał sprzeciwów" – opowiadał później płk Koc.

Z Luftwaffe na karku

Autobusy wyładowane złotem wyruszyły z Warszawy 5 września wieczorem. Celem miał być Łuck, leżący – jak się to wówczas wydawało decydentom – wystarczająco daleko od linii frontu. Po drodze konwój miał zabrać ze sobą złoto z Lublina. Trzy dni później warszawska kolumna dotarła do Łucka. Okazało się jednak, że miasto to nie jest już bezpieczne – Luftwaffe właśnie zaczęło je bombardować.

„[Kolumna] zaparkowała w miejskim ogrodzie pod drzewami, pod gołym niebem, mając niewyładowane złoto – wspominał płk Koc. – Obsługa wozów, doszczętnie wyczerpana ciężką drogą i bezsennymi nocami, spała kamiennym snem. Nie było posterunków straży, ale nikt nie niepokoił transportu – magiczny urok złota już nie działał wobec groźby ustawicznego bombardowania. Samochody były w bardzo złym stanie, niezdolne do dalszej drogi. Nie było paliwa ani smarów. Radio niemieckie nadawało wiadomości, gdzie znajduje się złoto – »piąta kolumna« działała. Bombardujące eskadry niemieckie krążyły nad miastem. Musiałem za wszelką cenę wyprowadzić z Łucka kolumnę ze złotem".

Im dalej na południe, tym więcej docierało do uczestników konwoju informacji wskazujących na to, że zaciska się wokół nich niemiecka pętla. Na bieżąco informowani przez swoich wywiadowców o miejscu pobytu konwoju Niemcy starali się go dopaść. Dlatego Polacy podróżowali głównie nocami, co wydłużało czas jazdy. Dnie spędzali głównie ukryci w lasach i parkach.

9 września, dzień po tym, gdy czołgi Wehrmachtu podeszły pod stolicę, rząd zadecydował, że należy wywieźć skarb

eprasa.pl cca2dcaa5c

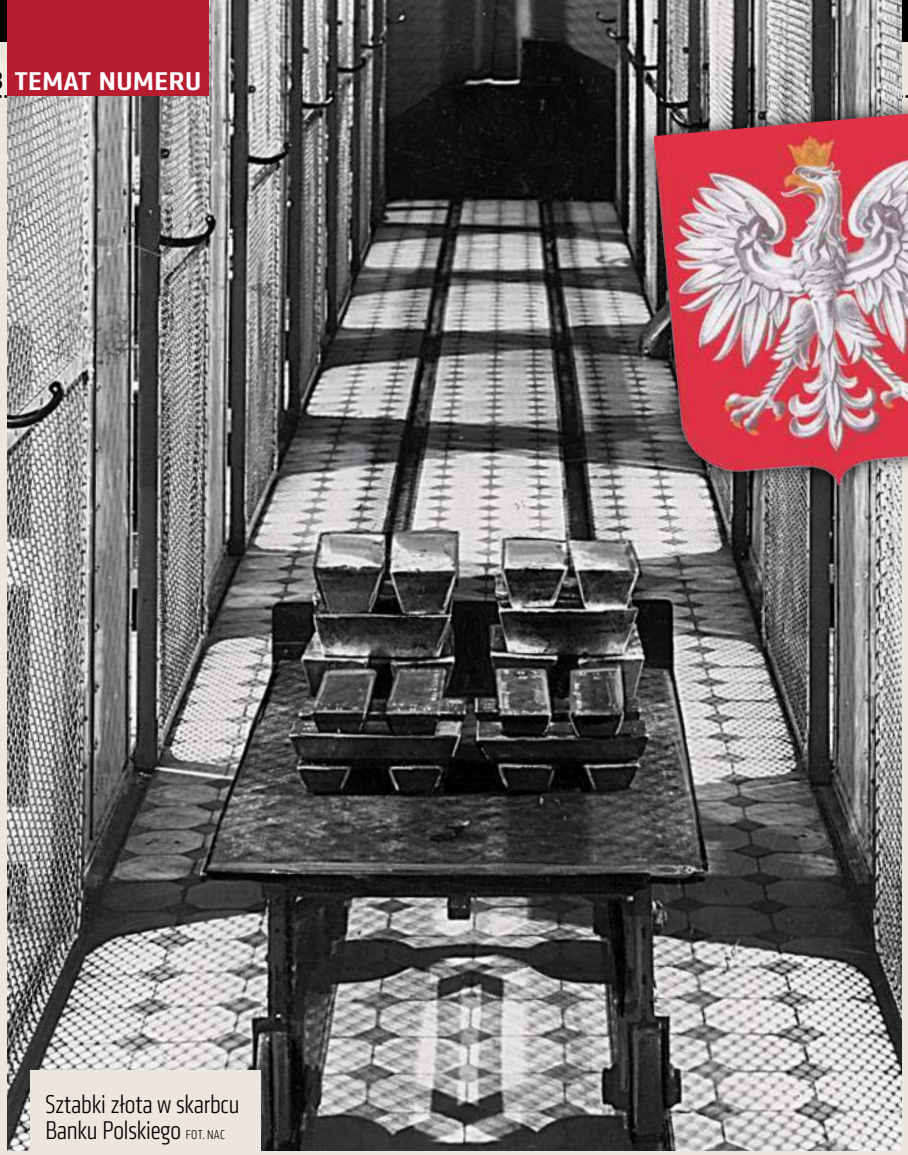

Sztabki złota w skarbcu Banku Polskiego FOT. NAC

narodowy poza granice państwa. W tym momencie na scenę wkraczają dwaj ludzie, którzy odegrają kluczową rolę w kolejnych etapach ewakuacji złota. Obaj byli piłsudczykami, starymi znajomymi płk. Koca. Pierwszym z nich był mjr Henryk Floyar-Rajchman, były minister przemysłu i handlu. Drugi to płk Ignacy Matuszewski, współtwórca polskiego wywiadu, szef „Dwójki" w czasie wojny polsko-bolszewickiej, który w II RP pełnił m.in. funkcję ministra skarbu. Pułkownik Matuszewski od kilku lat był jednak na cenzurowanym w warszawskim salonie politycznym, ponieważ jego opinie szły w poprzek polityce państwa. Matuszewski przestrzegał bowiem zupełnie otwarcie, że Polska może zostać łatwo wzięta w kleszcze niemiecko-sowieckie.

Wszyscy trzej spotkali się właśnie w Łucku. Pułkownik Koc nie miał wątpliwości, że jego starzy znajomi są najlepszymi ludźmi do dalszego poprowadzenia „złotego konwoju". On sam musiał szybko wyjechać na Zachód – został poproszony o objęcie teki wiceministra skarbu i miał prowadzić negocjacje z naszymi sojusznikami w sprawie wsparcia polskiego wysiłku wojennego.

Major Floyar-Rajchman i płk Matuszewski jasno podzielili się obowiązkami. Ten pierwszy pokieruje złotym transportem do granicy państwa, a drugi będzie odpowiadał za jego bezpieczeństwo poza granicami Polski.

Łuck miał odgrywać w planie płk. Koca rolę punktu zbornego, ale wobec zmieniającej się sytuacji na froncie postanowiono, że transporty złota spotkają się na granicy w Śniatyniu (na południe kraju podążało osobno złoto z oddziałów w Brześciu, Siedlcach i Zamościu).

Ogromnym problemem okazał się stan infrastruktury drogowej, przede wszystkim mostów, w południowo-wschodniej Polsce. Do akcji planowania przejazdów Matuszewski i Floyar-Rajchman ściągali lokalne władze i policję. Zdarzały się bowiem sytuacje, gdy kolejny drewniany most o nośności zaledwie kilku ton nie wytrzymywał przejazdu pierwszych kilku maszyn ze złotem (ważyły po ok. 12 ton) i reszta musiała jechać naokoło, szukając brodów, lub w skrajnych przypadkach wzmacniano naprędce mosty.

Generalnie jednak sklecony błyskawicznie konwój bez większych problemów posuwał się w kierunku południowej granicy. Szczególnie jeden kierowca autobusu przykuwał uwagę mijanych ludzi – za kierownicą jednej z maszyn siedziała Halina Konopacka, żona Ignacego Matuszewskiego, bardzo znana sportsmenka, która była pierwszą polską złotą medalistką olimpijską.

12 września złoto z Warszawy i Lublina dojechało do przejścia granicznego w Śniatyniu. Między organizatorami ewakuacji panowała napięta atmosfera, ponieważ nie było łączności z resztą transportu kruszcu. Kolejne godziny oczekiwania stawały się coraz bardziej nerwowe. Wreszcie następnego dnia wieczorem dojechała reszta konwoju. Brakowało tylko niecałych czterech ton złota o wartości 22 mln zł, które wyładowane zostały w Dubnie i miały pozostać do dyspozycji Naczelnego Dowództwa WP.

Przez Rumunię

Złoto z samochodów załadowane zostało do pociągu, który miał zawieźć cenny ładunek prosto do rumuńskiego portu Konstanca. Tutaj na pierwszy plan wychodzi płk Ignacy Matuszewski, który jeszcze w czasie ewakuacji pozostawał cały czas w kontakcie z polskimi przedstawicielstwami dyplomatycznymi mającymi pomóc w bezpiecznym przerzuceniu złotego konwoju. Podróż przez Rumunię, choć był to kraj neutralny wobec konfliktu polsko-niemieckiego, najeżona była wieloma niebezpieczeństwami. Niemcy szybko dowiedzieli się o przerzuceniu złota przez granicę (ich bombowce spóźniły się nieznacznie ze zbombardowaniem stacji kolejowej w Śniatyniu) i próbowali dopaść polskie złoto na terytorium Rumunii, starając się na tamtejszym rządzie wymusić zatrzymanie ładunku i przekazanie im go jako materiału wojennego.

Ambasador Niemiec w Bukareszcie Wilhelm Fabricius przekonywał ministra spraw zagranicznych Rumunii

eprasa.pl cca2dcaa5c

Grigorego Gafencu, że pomoc Polakom w transporcie złota to w istocie wyjście poza rolę kraju neutralnego, ale minister Gafencu świetnie odegrał swoją rolę. Ten przychylnie patrzący na Polaków Rumun oznajmił Niemcowi, że musi się dokładnie ze sprawą zaznajomić i wkrótce da mu znać. Tym samym dał Polakom czas, by „złoty pociąg" dojechał do Konstancy. Były to bezcenne dwa dni. Niemcy byli wściekli, ale na tamtym etapie wojny nie byli jeszcze w stanie wykręcić Rumunom rąk ani zmusić ich do zatrzymania polskiego złota.

Do Francji

W Konstancy na cenny ładunek czekał już amerykański zbiornikowiec „Eocene" pływający pod brytyjską banderą. Jego kapitan, Robert Brett, w pierwszej chwili myślał, że to zlecenie jest głupim żartem. „Nigdy nie mogłoby mi nawet przyjść na myśl, że pewnego dnia będę miał w lukach mego statku »Eocene«, tankowca o 4216 tonach wyporności, więcej złota niż jakikolwiek inny statek przedtem i prawdopodobnie – potem" – wspominał rok później na łamach brytyjskiej gazety „Sunday Dispatch". Tekst opisujący tę historię redaktorzy gazety zatytułowali „Porwałem Hitlerowi 21 mln funtów szterlingów".

„Eocene" wyszedł w morze 15 września wieczorem, tuż przed tym, jak Rumunia – przynaglana przez Niemców – rozpoczęła operację uszczelniania granic. Nie był to standardowy rejs nie tylko z uwagi na zawartość luków statku. Zbiornikowiec, z uwagi na ciągłą groźbę ataku torpedowego, poruszał się bardzo blisko brzegów Morza Czarnego, nie odpływając od nich dalej niż 0,5 mili. Chodziło o to, by w przypadku ataku jak najszybciej osadzić statek na mieliźnie.

„Eocene" dopłynął zupełnie spokojnie nad Bosfor. W Turcji udało się płk. Matuszewskiemu i tamtejszemu ambasadorowi RP Michałowi Sokolnickiemu zorganizować transport kolejowy do Bejrutu. W Archiwum Akt Nowych znajduje się podsumowanie wydatków przygotowane przez Michała Sokolnickiego. Całość przerzutu złota koleją znad cieśniny Bosfor do kontrolowanego przez Francuzów Bejrutu kosztowała 30 456,60 dol., czyli prawie 2,5 mln dzisiejszych złotych.

Ignacy Matuszewski FOT. NAC

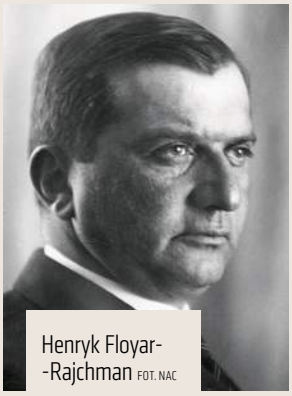

Henryk Floyar-Rajchman FOT. NAC

Kolejny etap podróży, najdłuższy, miał znów odbyć się drogą morską, ale tym razem nie było już mowy o wypożyczaniu statków towarowych. Polacy umówili się z Francuzami, że nasze złoto dotrze do Francji na pokładzie trzech okrętów wojennych – krążownika „Émile Bertin" oraz dwóch kontrtorpedowców (strona polska opłacała tę operację). Tym sposobem, bez niespodzianek, polski skarb narodowy trafił do Francji akurat, gdy Hitler przyjmował w Warszawie defiladę Wehrmachtu. Nasi decydenci jako miejsce złożenia złota wybrali oddział Banku Francji w Nevers, mieście leżącym w samym sercu Francji, ok. 200 km na południe od Paryża. Tym sposobem polski rząd mógł planować dalszy udział w wojnie w oparciu o solidne rezerwy finansowe uratowane z kraju ogarniętego pożogą. Jaka nagroda spotkała płk. Ignacego Matuszewskiego za tak wydatny udział w tej operacji? Oddajmy głos prof. Sławomirowi Cenckiewiczowi.

„W ostatnich dniach września płk Adam Koc został ministrem skarbu w gabinecie gen. Władysława Sikorskiego. Chcąc przypodobać się Sikorskiemu, pozował na krytyka »sanacji« i atakował swoich niedawnych przyjaciół, sugerując nadużycia finansowe przy wywozie złota z kraju. Mimo tego już w grudniu stracił stanowisko ministra. Z kolei płk Ignacy Matuszewski po przyjeździe do Paryża zamiast zasłużonych podziękowań i uznania został oskarżony o nadużycia finansowe w trakcie transportowania złota.

Otoczenie premiera zarzucało mu »przewiezienie na koszt Banku wielu osób postronnych«, »zbyt hojne wydawanie pieniędzy«, zakup z kasy państwowej proszków od bólu głowy (rachunek z apteki przez pomyłkę dołączono do rozliczenia), nazbyt wysoki koszt lemoniady, którą wypili tragarze niosący polskie złoto, czy też »bezprawną wymianę złotych polskich na walutę«. Matuszewski był tym wszystkim wstrząśnięty, tym bardziej że już wkrótce okazało się, iż z chwilą kapitulacji Francji jego oskarżyciele nie zdołali ewakuować polskiego złota na Wyspy Brytyjskie!" – czytamy w publikacji „Pułkownik Ignacy Matuszewski. 1891–1946" autorstwa prof. Cenckiewicza.

Komisja kierowana przez gen. Lucjana Żeligowskiego nie znalazła ostatecznie żadnych dowodów potwierdzających oskarżenia o przekręty w czasie transportu złota.

Klęska Francji w wojnie z Niemcami rozpoczynała kolejny etap wojennej epopei polskiego złota. Następcy płk. Matuszewskiego i mjr. Floyar-Rajchmana nie byli jednak w stanie dokonać podobnej sztuki i przerzucić transportu na drugi brzeg kanału La Manche. Zamiast tego polski skarb narodowy trafił na kilka lat do Afryki, gdzie przetrzymywali go Francuzi wierni Vichy. Boje toczone przez polski rząd na uchodźstwie o odzyskanie złota tylko częściowo zakończyły się sukcesem. Polskie złoto posłużyło spłacie długów wobec sojuszników, pozwoliło na zapewnienie wsparcia rzeszy polskich uchodźców, codzienne wydatki rządowe, ale spora jego część trafiła po wojnie w ręce komunistów, którzy przeznaczyli je na sfinansowanie wielkich stalinowskich projektów przemysłowych niewiele dających zwykłym obywatelom. Nie sposób już dziś stwierdzić, jak dużą część uratowanego złota polscy komuniści najzwyczajniej zdefraudowali, ale z pewnością była to znaczna kwota.

Obecnie NBP posiada ok. 229 ton złota (tylko w latach 2018–2019 nasze zasoby tego kruszcu wzrosły o 125,7 ton), natomiast Belgia dysponuje 227 tonami złota.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

1891–1946 / Ignacy Matuszewski

Ignacy Matuszewski (stoi pierwszy z prawej) wśród członków rządu Walerego Sławka (1930 r.). Obok: paszporty Matuszewskiego FOT. NAC

Pułkownik Matuszewski

Sławomir Cenckiewicz

Ignacy Matuszewski był wielkim patriotą i państwowcem. Sprzeciwiał się prosowieckiej polityce gen. Sikorskiego. Spadły za to na niego szykany i represje

Ignacy Hugo Stanisław Matuszewski (ur. 10 września 1891 r., zm. 3 sierpnia 1946 r.) to niepospolita i niezwykła postać polskiej polityki kilkudziesięciu lat pierwszego półwiecza XX w. Niezwykła, bo renesansowa, w dodatku niepodparta pełną edukacją akademicką, ale ulepiona z gliny wielu kompetencji i zainteresowań, od poezji, prozy, muzyki, teatru i malarstwa przez sport, ezoterykę, wojskowość i tajne służby do ekonomii, historii, dyplomacji, geopolityki i polityki.

Każdy człowiek, a zwłaszcza polityk, powinien mieć swój szczyt; jakieś apogeum, zwieńczenie wysiłków, niekoniecznie zresztą zakończonych sukcesem. A szczytem Matuszewskiego była Ameryka – te pięć spędzonych w Nowym Jorku lat (1941–1946), kiedy stał się tam kimś na miarę Ignacego Paderewskiego w czasie I wojny światowej i jak wielki pianista dał program i kierunek polityczny Polonii amerykańskiej oraz był jej faktycznym przywódcą.

Jest to zresztą porównanie autorstwa Wacława A. Zbyszewskiego, którego rozważania o Matuszewskim z 1946 r. w pełni aprobuję, czyniąc z nich w gruncie rzeczy drogowskaz dla swoich interpretacji.

Jest jednak między obu postaciami jedna „drobna" różnica: Matuszewski

eprasa.pl cca2dcaa5c

w odróżnieniu od Paderewskiego nie znalazł w Ameryce poparcia wśród elit amerykańskich, które zamiast go wspierać, rzuciły przeciw niemu wielką państwową machinę, by go zniszczyć. Amerykańską scenę znalazł sobie sam, bo sceny dla swojej politycznej ekspresji w gruncie rzeczy nigdy nie dostał. Także w międzywojennej Polsce.

Dziwny piłsudczyk

Był piłsudczykiem. Dziedziczył więc niejako również szaleństwa, patologie i błędy obozu politycznego pierwszego marszałka Polski. Jednak czy wszystkie? Na pewno nie, czego wielokrotnie dowiódł za życia Piłsudskiego i jeszcze bardziej po jego zgonie, kiedy stał się krytykiem rządów duumwiratu Mościcki-Rydz i za co nieraz słono płacił. Może dzięki temu, że nie służył w Pierwszej Brygadzie Legionów Polskich, ale współtworzył ruch poparcia dla Piłsudskiego w najtrudniejszym dla niego zaborze rosyjskim, a nawet w jeszcze mniej przychylnych szeregach armii rosyjskiej na Wschodzie, co samo w sobie wymagało niezwykłej odwagi. Matuszewski nie był dziedzicem wszystkich, a przynajmniej najgorszych aberracji własnego obozu. Być może dzięki temu właśnie zachował na zawsze odwagę niezależności myślenia, krytycznej oceny i formułowania refleksji nieskonsultowanych wcześniej z Komendantem, nie mówiąc już o otaczającym go kręgu wtajemniczonych.

Matuszewski, podobnie jak Marian Zdziechowski, był zdania, że „dogmat narodowy" (Piłsudski) nie może chronić jego spadkobierców przed krytyką. I choć Matuszewski zawsze odznaczał się pewną odrębnością oraz niezależnością w obozie piłsudczykowskim, to do postawy krytycznego, a może i krnąbrnego autorytetu dojrzewał latami. Był nietypowy wśród piłsudczyków. Zbyszewski pisał, że zapytany kiedyś o to, jak godzi swój zimny realizm z romantyzmem Piłsudskiego, Matuszewski odparł: „Każdy młody jest romantykiem i każdy kocha swoją młodość. Później przychodzą rozczarowania i trzeba sobie zdać sprawę, że rzeczywistość nigdy nie odpowiada marzeniom i nadziejom". „Kanciasty" bardzo i twardy, nieskory do ukrywania poglądów i wyrażania opinii, co ostatecznie eliminowało go z podziału łupów władzy. Był przez to łatwym obiektem intryg i politycznej marginalizacji.

W decydującej o istnieniu odradzającej się Polski wojnie z bolszewikami był Matuszewski bodaj najważniejszym oficerem tworzących się służb specjalnych. Już samo to, że był współpomysłodawcą, a potem nadzorcą legendarnej komórki radiowywiadu (Sekcji/Biura Szyfrów), która złamała szyfry bolszewików, dając możliwość wglądu w zamiary Sowietów, sytuowało go w gronie ścisłej elity państwowo-wojskowej, której zawdzięczamy zwycięstwo w wojnie 1920 r. Osobiście referował Naczelnikowi Państwa ustalenia i informacje zbierane przez całą służbę informacyjno-wywiadowczą, w tym osiągnięcia radiowywiadu. Był też częstym bywalcem wieczornych narad belwederskich, przygotowywał notatki, raporty, sprawozdania, a nawet teksty przemówień i odezw dla Piłsudskiego, z którym w dodatku wyprawiał się czasem na inspekcje w rejony działań wojennych.

To fascynujące, że kiedy jesienią 1920 r. Ignacy Matuszewski został skierowany do Rygi w roli eksperta polskiej delegacji negocjującej pokój z Sowietami, zdobył się na odwagę napiętnować pogląd (popularny przecież w obozie Piłsudskiego) o niezbędnej neutralności Polski wobec wojny

eprasa.pl cca2dcaa5c

Lekkoatletka Halina Konopacka, żona Ignacego Matuszewskiego FOT. NAC

białych z bolszewikami w Rosji. Uznał, że bolszewicy są dla Polski zagrożeniem największym, dlatego Polska powinna wesprzeć formacje gen. Piotra Wrangla. Już w październiku 1920 r. przedstawił swoje stanowisko w obszernym opracowaniu „Nasza polityka względem Rosji w związku z chwilą obecną" adresowanym do gen. Tadeusza Rozwadowskiego, w którym pisał, że jeśli „bolszewicy utrzymają się przy władzy i potrafią ją utrwalić na całym obszarze Rosji, wówczas po dłuższym czy krótszym wytchnieniu rzucą się niewątpliwie na Polskę".

Dopuszczenie kogoś takiego do rządu w latach 1929–1931 było w zamierzeniu rządzących eksperymentem, a stało się dla nich zagrożeniem. Nie dość, że Matuszewski dystansował się od etatystycznych koncepcji gospodarczych piłsudczyków, którzy w dodatku planowali w tym czasie zaciąganie nowych kredytów i państwowe inwestycje, to jeszcze wyrażał swoje opinie na temat racjonalności wydatków wojskowych w obecności Piłsudskiego i w kontrze do niego. Jego cała filozofia polityki ekonomicznej państwa oparta na „zasadzie zaciskania pasa" i próbie zmniejszenia obszarów biedy zwłaszcza na wsi, poprzez zwiększenie opłacalności produkcji rolnej, kłóciła się z wyobrażeniami gospodarczymi głównego nurtu obozu piłsudczykowskiego. Matuszewski to wiedział, dlatego przyjął jedynie status kierownika Ministerstwa Skarbu (formalnie aż do czerwca 1931 r. pozostawał posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym RP na Węgrzech), a nie „pełnego" ministra, podkreślając w ten sposób tymczasowość sprawowanej funkcji.

Już na początku swojego urzędowania wypowiadał opinie bardzo niepopularne: „Wówczas bowiem, gdy pieniądz jest drogi – rozpoczynanie wielkich wkładów inwestycyjnych zwiększa jeszcze ciasnotę gotówkową, podraża kredyt i zwiększa trudności gospodarcze. Posiadanie płynnych oszczędności, o których najcelowszym użyciu można później odpowiednio decydować, jest skuteczną bronią przed nadejściem kryzysu".

Dwa lata później stało się coś, co do końca nie zostało wyjaśnione do dziś, bo spór o budżet wojska nie tłumaczy jakby nagłej niechęci Piłsudskiego do Matuszewskiego i wyrzucenia go z rządu. Matuszewski fascynował i przerażał zarazem swoim wizjonerstwem, kreśląc czasem przyszłość w czarnych barwach. Mówił o Polsce jako przedmiocie gry międzynarodowej finansjery, o potrzebie uwolnienia Polski od długów i więzów kartelowych, o likwidacji deficytu budżetowego, o wyzwoleniu inicjatywy gospodarczej i unowocześnieniu armii. Był szanowany, ale jako „czarnowidz" nie był popularny!

Piłsudski postanowił wyrzucić go z rządu, w czym sekundowali mu nieprzychylni kierownikowi Ministerstwa Skarbu rzecznicy etatyzmu – prezydent Ignacy Mościcki i minister Eugeniusz Kwiatkowski. Był to ciężki błąd Piłsudskiego, może najcięższy z jego błędów personalnych – jak napisze Zbyszewski – bo na zawsze usunął z obozu rządowego człowieka, który nie tylko przewidywał nadciągającą katastrofę, lecz także proponował jej uniknięcie. Wprawdzie

eprasa.pl cca2dcaa5c

Piłsudski, a może bardziej kolega z Oddziału II płk Józef Beck (wówczas jeszcze wiceminister spraw zagranicznych), w 1932 r. wykorzystał jeszcze Matuszewskiego w delikatnej misji wysondowania Sowietów co do zawarcia z Polską paktu o nieagresji, ale już nic nie zmieniło tego, że od 1931 r. pozostawał poza rządem.

Kiedy jednak wielkimi krokami zbliżała się katastrofa, którą przecież przewidział, znów niektórzy sobie o nim przypomnieli. W ostatnich dniach pamiętnego sierpnia 1939 r. Matuszewski miał nagle ratować Polskę przed chaosem informacyjno-komunikacyjnym, który w warunkach wojennych mógł być szczególnie groźny. Tak przynajmniej widział to ppłk Wacław Lipiński, który mając dobre intencje, rozmawiał w tej sprawie z ppłk. Romanem Umiastowskim, odpowiedzialnym wówczas za propagandę u Naczelnego Wodza. Lipiński opisał to w swoim dzienniku:

„Zwróciłem mu wtenczas uwagę na osobę Ignacego Matuszewskiego. Matuszewski, jeden z największych intelektów w Polsce, człowiek wybitnego rozumu, kapitalnej argumentacji, rozwagi i spokoju. […] Matuszewski zgodził się, ale tylko pod tym warunkiem, jeśli go zmobilizują i dadzą ten [urząd] jako pułkownikowi. W skład rządu, czy jako minister, czy jako podsekretarz stanu, absolutnie wejść nie może i nie wejdzie, gdyż w najmniejszym stopniu nie ma zamiaru dzielić odpowiedzialności z ludźmi, którzy tak pracują, jak aktualny rząd Sławoja-Składkowskiego. Jego gwałtownie negatywne stanowisko kierowało się głównie przeciwko wicepremierowi Kwiatkowskiemu, który nie rozumiejąc zupełnie sytuacji politycznej, trzymał się kurczowo swoich teorii finansowych i sprzedawał jeszcze w marcu do Anglii działa przeciwlotnicze, do Francji i Egiptu – karabiny maszynowe i czołgi, nie zwalniał kredytów Ministerstwa Spraw Wojskowych na zbrojenia, podczas gdy zdaniem Matuszewskiego od dawna powinno się już było pójść na drukowanie banknotów na inflację, by zbroić, zbroić i jeszcze raz zbroić […]".

Na zachód, za ocean

Jego podróż w nieznane zaczęła się od tragicznego września 1939 r., kiedy w pierwszych dniach wojny Matuszewski zadzwonił do Wierzyńskiego, proponując wspólną ewakuację z Warszawy. Pułkownik już przeczuwał, że jest kwestią najwyżej tygodni, kiedy stolica Polski padnie pod niemieckim naporem. Matuszewski 9 września był już w Łucku, gdzie wspólnie z Henrykiem Floyar-Rajchmanem podjął się ewakuacji 82 ton złota Banku Polskiego. Wyposażony w paszport dyplomatyczny (ważny od 9 września do 31 grudnia 1939 r.), od stacji w Śniatyniu przez Rumunię, Turcję, Liban aż do Francji, Matuszewski odpowiadał za transport jednoosobowo. Dzięki jego determinacji i pomocy wielu osób wszystko się szczęśliwie udało. W Bejrucie złoto podzielono na części i na pokładzie trzech okrętów francuskiej marynarki wojennej – krążownika „Emil Bertin" i kontrtorpedowców „Vauban" i „Épervier" – bezpiecznie dotarło do portu w Tulonie. Operacja przerzutu złota do Francji zakończyła się 5 października 1939 r.

Matuszewski nie chciał pogodzić się z klęską, ale przyszłość widział w coraz ciemniejszych barwach. Musiał być na granicy załamania, skoro „łzy ciekły z oczu Matuszewskiego" – jak wspominał swoją październikową rozmowę z nim gen. Kazimierz Sosnkowski.

„Jest tylko walka" – powtarzał jak zawsze Matuszewski, ale był rozgoryczony tym, że niemal wszystko przewidział, a prawie nikt po 1935 r. nie chciał go słuchać ani w sprawach gospodarczych, ani politycznych. To prawda, że nadciągającą we wrześniu 1939 r. katastrofę Matuszewski przewidział i starał się jej zapobiec, dzieląc się swoimi przemyśleniami z ludźmi władzy. Do konferencji w Monachium uważał, że wojny nie będzie, bo Hitler obawiał się ryzyka konfliktu z Francją i Wielką Brytanią. Po Monachium był już pewien, że wojna wybuchnie, ale obawiał się intrygi brytyjskiej wpychającej nas jako pierwszych do wojny. Obawiał się też sytuacyjnego zbliżenia niemiecko-sowieckiego w reakcji na nagłe brytyjskie deklaracje wsparcia dla Polski na wypadek konfliktu zbrojnego. Komentował później te swoje obawy, mówiąc, że agresja sowiecka z 17 września 1939 r. nie była dla niego zaskoczeniem: „Tylko ślepy mógł sądzić, że Rosja nie skorzysta z okazji, którą jej daje wojna polsko-niemiecka".

Miał przed wojną akceptować koncepcje zbliżenia z Niemcami Władysława Studnickiego i środowiska wileńskiego „Słowa", chociaż publicznie tego wprost nie zadeklarował. Później przez lata, głównie w wykładach adresowanych do Amerykanów, ale i kilku opublikowanych tekstach, pisał wprost, że odrzucając ostatecznie propozycje niemieckie, Polska stanęła po stronie Zachodu przeciwko III Rzeszy, ryzykując swój byt.

Kiedy już było pewne, że Niemcy zaatakują Zachód, Ignacy Matuszewski próbował wstąpić w szeregi Wojska Polskiego. I początkowo wszystko wydawało się zgodne z planem, bo 6 maja 1940 r. został formalnie powołany do służby wojskowej, a jednocześnie urlopowany ze wskazaniem miejsca zamieszkania w okolicach Avignonu. Potem był areszt w Hiszpanii, no i podróż do Portugalii. Tam od razu zaczęły się problemy. Nagle ataszat w Lizbonie przekazał Matuszewskiemu depeszę od premiera zapowiadającą powierzenie mu funkcji „łącznika z gen. Weygandem" i „tajnego reprezentanta Naczelnego Wodza w Maroku". Mówiąc wprost – premier i Naczelny Wódz zaproponował Matuszewskiemu powrót do pracy w tajnych służbach, objęcie ważnej placówki wywiadowczej i stworzenie siatki agentów, mimo że wcześniej był głuchy na propozycje współpra-

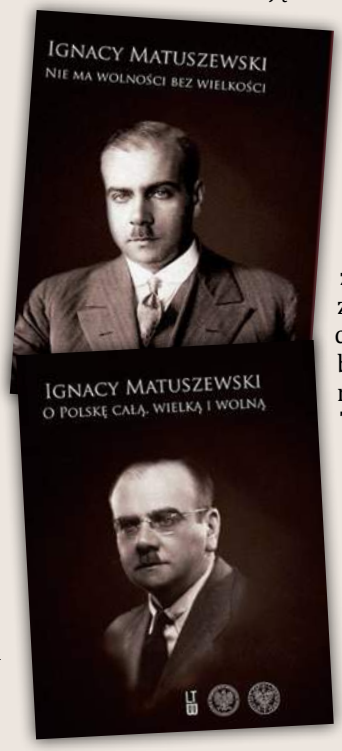

IGNACY MATUSZEWSKI „NIE MA WOLNOŚCI BEZ WIELKOŚCI", „O POLSKĘ CAŁĄ, WIELKĄ I WOLNĄ"
RED. SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
LTW

eprasa.pl cca2dcaa5c

cy, krytykował postawę pułkownika w Paryżu, a jednocześnie patronował rządowej intrydze skierowanej przeciwko niemu w związku z wywozem złota Banku Polskiego. Odpowiedź Matuszewskiego była jednoznaczna. Propozycja Sikorskiego była pozbawiona wiarygodności i powagi już przez sam fakt, że Matuszewski miałby podlegać ministrowi Kotowi, który z charakterystyczną dla siebie pasją zwalczał pułkownika w okresie paryskim.

Za najważniejsze w tamtym momencie uznał Matuszewski podniesienie pozycji sprawy polskiej poprzez umiejętne wykorzystanie wyjątkowego momentu, którym były: rozbicie Armii Czerwonej przez Wehrmacht, zepchnięcie Sowietów w stronę Azji i śmiertelne zagrożenie dla istnienia ZSRS. Prywatnie, o czym nie pisał w listach ani politycznych memoriałach, uważał, że najdalej w połowie września 1941 r. Niemcy pokonają Sowietów.

W tej zmieniającej się sytuacji pilną potrzebą było wydostanie się z Portugalii, w której nie mogłoby być przecież mowy o aktywności politycznej. Rozwój wypadków światowych podpowiadał Matuszewskiemu, że Ameryka stanie się centrum politycznym globu, które zadecyduje o przyszłości świata (a więc i Polski). Udał się więc do Nowego Jorku. Kiedy 22 sierpnia 1941 r. Matuszewski wchodził w Lizbonie na pokład amerykańskiego statku „Excelsior", od kilku tygodni znał już treść układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r. Sygnując układ z Sowietami, w którym kwestia naszej granicy wschodniej została faktycznie sprowadzona do deklaracji o uznaniu traktatów sowiecko-niemieckich z 1939 r. za „tracących swą moc", Sikorski był dla Matuszewskiego ostatecznie skończony. Pozbył się też złudzeń co do Anglików, o których, żegnając się z kolegami w Lizbonie, miał powiedzieć prorocze słowa: „Pamiętajcie, że nim ta wojna się skończy, będziecie nienawidzili Anglików gorzej, niż nienawidzimy Niemców".

Matuszewski zdążył jeszcze w Portugalii skończyć (w sierpniu 1941 r.) i wysłać do Londynu jeden ze swoich najważniejszych w całym życiu esejów – „Wola Polski", który za kilka miesięcy wywoła niemałe poruszenie w kręgach rządowych, masach uchodźczych i zirytuje Brytyjczyków. „Wola Polski" pozostanie już na zawsze tekstem

Generał Władysław Sikorski, premier RP, podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych

FOT. NAC

kanonicznym wszystkich przeciwników paktu Sikorskiego ze Stalinem. Będzie drukowany w okupowanym kraju, powielany w armii polskiej na Wschodzie, w Palestynie i tłumaczony na różne języki. To był pierwszy polski akt oskarżenia Anglików wpychających nas w objęcia Sowietów. Sprawa brytyjskich gwarancji granicznych z 1939 r. będzie od teraz leitmotivem jego publicystyki.

2 września 1941 r. Matuszewski przypłynął do Nowego Jorku. Spotkał tu Henryka Floyar-Rajchmana i Wacława Jędrzejewicza oraz całą grupę oddanych mu ludzi. Jego słowa z „Woli Polski", powielone później w poczytnej broszurze „O co walczymy?" o tym, że „nie ma ziemi polskiej na sprzedaż, nie ma ziemi polskiej do odstąpienia, ani kawałka, ani płachetka, ani dla wrogów, ani dla miłości sprzymierzeńców", stały się swoistym credo niepodległościowej Polonii amerykańskiej. Trzeba też tu nadmienić, że „Wola Polski" od razu spowodowała reakcję premiera Sikorskiego, który postanowił go zwalczać.

Najistotniejsza w tym czasie była wciąż krytyka układu polsko-sowieckiego z lipca 1941 r. i próba złagodzenia konsekwencji wynikających z jego treści dla sprawy polskiej. Na każdą brednię premiera, ministrów jego rządu i doradców o „zarzuceniu planu światowej rewolucji" przez Moskwę, o panującej w Sowietach „swobodzie religijnej" i „postępującej demokratyzacji" Matuszewski reagował przywoływaniem dowodów na to, że rewolucjoniści Moskwy działają w najlepsze na Zachodzie, a w Sowietach w dalszym ciągu mordowani są ludzie, o czym świadczy „zaginięcie" tysięcy Polaków, którzy od lipca 1941 r. nie zgłosili się do jakichkolwiek polskich stacji zbornych armii gen. Władysława Andersa.

Przeszło rok przed ujawnieniem przez Niemców mordu katyńskiego pułkownik domagał się prawdy o rodakach pojmanych przez Sowietów po 17 września 1939 r.: „Wiadome jest, że 7 tys. wybitnych oficerów, szczególnie oficerów sztabu, a również sędziów, prokuratorów i urzędników bezpieczeństwa Rzeczypospolitej – zostało umieszczonych w specjalnym obozie. Nie negując istnienia takiego obozu, władze sowieckie szukają go po Rosji już od 7 miesięcy… Bezskutecznie. Nie mogą go znaleźć. Za czasów carskich krążyła po Rosji anegdota o tym, jak zginęła cała kolej, skradziona przez łapowników. »Zaginięcie« obozu z 7 tys. ludzi nie jest anegdotą – jest ponurą, krwawą, sowiecką rzeczywistością. Władze sowieckie tak samo nie mogą odszukać szeregu więźniów politycznych, którzy – oby nie dosłownie – zapadli się pod ziemię".

Wszystko, o czym zaczął pisać i mówić w Ameryce, stawało się coraz bardziej kłopotliwe, a nawet niebezpieczne, bo godziło w strategiczną koncepcję współpracy Waszyngtonu z Moskwą (i Londynem) w wojnie z III Rzeszą. Co ciekawe, jeszcze zanim Amerykanie objęli Matuszewskiego formalną inwigilacją przez kontrwywiad w ramach Foreign Agent Registration Act (od marca 1943 r.), już w 1941 r. zaczęli skrzętnie przyglądać się polskim krytykom sojuszu ze Związkiem Sowieckim, śledząc ich i prawdopodobnie wyrywkowo kontrolu-

eprasa.pl cca2dcaa5c

jąc prywatną korespondencję. Powstała zaledwie w sierpniu 1941 r. Samodzielna Ekspozytura Wywiadowcza „Estezet" Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza już w listopadzie tego roku zaczęła bacznie przyglądać się Matuszewskiemu.

Od tej pory „Estezet" na bieżąco śledził aktywność publicystyczną i polityczną pułkownika, ale też jego relacje z różnymi osobami, kondycję finansową i życie prywatne, a jego artykuły i broszury oraz omówienia publicznych występów przesyłał do szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie. Ekspozytura „Estezet" starała się zresztą tak stymulować środowiska polonijne i polską prasę – chociażby przez publiczne ogłaszanie informacji o „dezercji" i niejasnym statusie pułkownika w Ameryce – aby te zaczęły go aktywnie zwalczać.

Amerykański kaganiec

Od wiosny 1942 r. Matuszewski był już pod obserwacją agenta specjalnego Josepha E. Deana z nowojorskiego biura FBI, a raporty o nim trafiały na biurko samego szefa FBI Johna Edgara Hoovera. Pod koniec lutego 1943 r. Lawrence M.C. Smith ze Specjalnej Jednostki ds. Polityki Wojennej Departamentu Sprawiedliwości zakomunikował, że w rezultacie rozmów z Józefem H. Retingerem podległe mu służby doszły do przekonania, iż publicystyka Ignacego Matuszewskiego i „Nowy Świat" „swoim zasięgiem objęły polskie wojska stacjonujące na Bliskim Wschodzie" i mogą „negatywnie wpływać na morale żołnierzy". Amerykanie podjęli wówczas decyzje o ograniczeniu możliwości kolportażowych „Nowego Świata" za granicą i zarejestrowaniu Matuszewskiego jako „foreign agent".

Formalna rejestracja nastąpiła 24 maja 1943 r. Jako „foreign agent" został zobowiązany do każdorazowego powiadamiania czytelników, że podlega takiej rejestracji. Ponadto Amerykanie nałożyli na niego obowiązek przesyłania wszystkich artykułów do sekcji Foreign Agents Registration Departamentu Sprawiedliwości. Był to rodzaj stygmatyzacji, za którą kryła się brutalna prawda o stosunku Ameryki do Polaków walczących o Polskę wolną, niepodległą i całą. O ile Matuszewski domyślał się, że administracja Roosevelta robiła wiele, by pomniejszyć znaczenie informacji, które przedstawiały Sowietów w niekorzystnym świetle, o tyle nie wiedział przecież, że w 1943 r. „Biuro Informacji Wojennej (OWI) wymusiło na kilku krajowych stacjach radiowych zaprzestanie nadawania komentarzy sugerujących, że to Sowieci ponoszą odpowiedzialność za masakrę w Katyniu".

Za antysowietyzm potępiali go amerykańscy politycy, dziennikarze, wielu polonijnych księży głoszących jak zawsze zaklęcia o „jedności Polonii", Ambasada RP w Waszyngtonie, Konsulat RP w Nowym Jorku, polski ataszat wojskowy i potężna sieć wpływów sowieckiej agentury starającej się kontrolować centrale związkowe, a nawet administrację rządową z wywiadowczym Biurem Służb Strategicznych (Office of Strategic Services) oraz Biurem Informacji Wojennej (Office of War Information) na czele. Latem 1943 r. doszło w Waszyngtonie do radykalnej i ostatecznej „degradacji sprawy polskiej". Dzisiaj już wiemy, że tajne służby i elity polityczne Ameryki robiły wówczas wszystko, „by zdyskredytować polskich antykomunistów i zadbać o interesy Moskwy".

W zainteresowaniu służb amerykańskich znaleźli się w zasadzie wszyscy współpracownicy i znajomi Matuszewskiego oraz organizacje, z którymi współpracował. Rozpoznanie prowadzono również metodami operacyjnymi przez wprowadzanie do polskich środowisk tajnych informatorów FBI („Confidential Informants"), którzy interesowali się dosłownie wszystkim. Obszerne dwa raporty Stephena W. Mamchura z lipca 1944 r. przygotowane na podstawie informacji wprowadzonego do KNAPP „Confidential Informant PA" (znał się m.in. z Piotrem Yollesem) ukazują skalę zainteresowania Amerykanów antysowieckimi Polakami. Charakterystyka dotyczy m.in. takich organizacji jak KNAPP, Instytut Piłsudskiego, Fundacja Pułaskiego oraz osób: Ignacego Matuszewskiego, Maksymiliana Węgrzynka, Piotra Yollesa, Wacława Jędrzejewicza, Henryka Floyar-Rajchmana, Adama Koca, Michała Kranca, Ignacego Morawskiego, Stanisława Strzetelskiego, Jana Kucharzewskiego, Rudolfa Rathausa i Romualda Gantkowskiego.

Wypadkową antykomunizmu Ignacego Matuszewskiego był jego stosunek do Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka, a w zasadzie wywodził z niego całą perspektywę oceny polityki polskiej z lat 1941–1945. Sikorskiego miał Matuszewski za zakompleksionego ambicjonera politycznego i żądnego odwetu naiwniaka, ale już Mikołajczyka za prowokatora i zdrajcę. To on nawet w sferze deklaracji „złamał linię polityczną" swego poprzednika, który wprawdzie „niedostatecznie zabezpieczył prawa Polski" do naszych granic wschodnich z 1921 r., ale z nich nigdy nie rezygnował. „Sikorski był błaznem, ale był chociaż megalomanem – pisał do Stanisława Mackiewicza – ten [Mikołajczyk] wygląda na zwyczajnego draniaszka, który gotów jest zrobić wszystko dla pozorów władzy".

Kiedy już nad Polską trzepotała sowiecka czerwień, Amerykanie zaczęli Matuszewskiego na większą skalę doceniać, a nawet zapraszać z wykładami do prestiżowych gremiów politycznych. Zmieniała się Ameryka. Nadchodziła spóźniona era antykomunistycznej reakcji na rooseveltowski eksperyment sojuszu z Sowietami i wewnętrznej koegzystencji z komunistami i ze szpiegami Moskwy. No i wielkimi krokami nadciągała zimna wojna, z wielką nadzieją na tę trzecią, światową. Dlatego wiosną 1946 r. Amerykanie oficjalnie zdjęli Matuszewskiemu nałożony w 1943 r. kaganiec, łaskawie informując go listownie, że „w związku ze zmianami w polskim rządzie i armii od 5 lipca 1945 r." jego rejestracja jako „foreign agent" została wycofana z dniem 21 grudnia 1945 r.

Matuszewski był wyczerpany, ale wciąż nie zwalniał tempa. Temperament polityczny i poczucie obowiązku wobec Polski nie pozwalały mu zaprzestać działalności. Zmarł nagle 3 sierpnia 1946 r.

Jan Lechoń nazwał Matuszewskiego na pożegnanie „pielgrzymem wolności" i „Mochnackim naszej emigracji", a nawiązując do jednego z pierwszych swoich wierszy z „Karmazynowego poematu", napisał: „Ignacy Matuszewski był Mochnackim emigracji powrześniowej. Jak Mochnacki cierpiał straszliwie, wiedząc na pewno, że on ma rację, że on wie, co robić należy, i widząc, jak rady jego były lekceważone, podejrzewane i zniesławiane najczystsze jego zamiary. Jak Mochnacki pisał on pod rytm wzburzonego i zrozpaczonego narodową klęską serca aż do ostatniego tego serca uderzenia, uderzenia dla Polski, dla Polaków".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Nikt bowiem nie zdawał sobie sprawy
trudności przenoszenia skrzyń i worków ze złotem. Od wagonów
o windy okrętowej odległość wynosiła około 15 mtr., od miejsca
wyładowania na statku - do składu - ok. 2o mtr. trudnej drogi
poprzegradzanej rowami i urządzeniami okrętowemi. To też próba
przeładunku przy pomocy załogi - zawiodła. Po upływie pół go-
dziny musiałem użyć do przeładunku całego personelu towarzyszą-
cego transportowi nie wyłączając siebie. W ten sposób przenie-
siono na statek około 1/3 złota. W międzyczasie p. Freyman oraz
mjr. Zimmal, pomimo nocy, zwerbowali tragarzy specjalistów.
mo ostrzeżeń V.Konsula brytyjskiego, że w ten sposób ułatwi
zamach dywersyjny, zdecydowałem się użyć tych tragarzy, uwa
iż pośpiech jest ważniejszy niż mało prawdopodobne niebezpi
czeństwo zamachu.

W ten sposób wspólnemi siłami tragarzy i personelu, prz
możliwie ścisłej kontroli zakończono o godz. 7.15 przeładu
zaczęty o godz. 1 w nocy. V.Konsul brytyjski oddał wówczas
cjalnie kapitana statku pod moje rozkazy.

Odpłynąć natychmiast nie było można, gdyż 6 członków z
złożonej poza oficerami Anglikami z Rumunów - zdezertowal
statku lękając się zatopienia. O godz. 1o-tej odbito wi
brzegu wychodząc na reis i tam stając na kotwicy. Kapit
chał na ląd dla zwerbowania brakującej załogi i zakończ
malno

Dnia 16-go o godz. 15.3o zarzucono kotwicę w Bosforze pod Stambułem. Musiałem tu rozstrzygnąć, czy dobijać do brzegu, narażając statek na rewizję celną, ale uzyskując możność zejścia na ląd i porozumienia się z władzami i ambasadą, czy też wywiesić znaki okrętu w tranzycie, uniemożliwiając w ten sposób sobie i komukolwiek poza kapitanem dostanie się na brzeg, ale unikając wglądu władz tureckich. Wobec nieznanego mi stanowiska Turcji, wybrałem to drugie rozstrzygnięcie.

W dniu 27 wrzenia 1939 r w piwnicy gmachu Ambasady P
w Bukareszcie przystapiono do pracy segrego[illegible]artosci
FON w obecnosci: p. min. Jastrzebskiego, J[illegible]kows-
kiego, Waclawa Skarzynskiego, Stefana Ol[illegible]
6 delegowanych urzednikow Banku Polskie[illegible]
Tadeusza, Lorentza Witolda, Heclika W[illegible]
czaka Czeslawa, Zakrzewskiego Zbigni[illegible]
oraz inz Janowicza Dominika. Otwa[illegible]
ofiarodawcow i posegregowano dary [illegible]
o malej wartisci i na waluty zag[illegible]

Po skonczonej pracy wieczo[illegible]
rod[illegible]
Str[illegible]

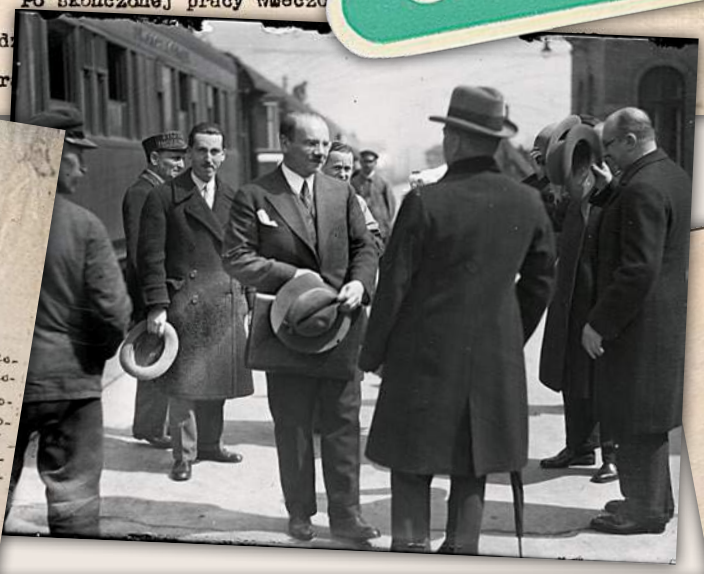

ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE

2

119

SPIS
osob uczestniczących w transporcie
złota z Konstancy do Francji.

Z Banku Polskiego:

1. Orczykowski - Główny Skarbnik 40-

Urzędnicy

2. Bojarski	urz. Biura Kom. Dew.	20-
3. Godlewski	" Skarbca Em.	20-
4. Gorka	" Wydz. Admin.	20-
5. Kaliszuk	" " Kred.	20-
6. Kakolewski	" " Pers.	20-
7. Kuzniarz	" Oddz. Główn.	20-
8. Matukiewicz	" " "	20-
9. Rdzanek	" Wydz. Admin.	20-
10. Sidorowicz	" " Zagr.	20-
11. Spychałowicz	" Oddz. Główn.	20-
12. Wysocki	" Wydz. Kred.	20-
13. Zabrzycki	" Oddz. Główn.	20-

Woźni

14. Jankowski	20-
15. Jasiński	20-
16. Romański	20-
17. Skrzypek	20-

Z poza Banku:

1. Min. Matuszewski	20-
2. Matuszewska - żona	20-
3. Ostrowski - Prezes Rady N.Z.D.	20-
4. Ostrowska - żona	20-
5. Ostrowska - córka	20-
6. Teściowa p. Ostrowskiego	20-
7. Reichmanowa Mjrowa	20-
8. Reichmanowna córka	20-
9. Matka p. Reichm.	20-
10. Orczykowska - żona Skarbnika B.P.	

AMBASSADE POLOGNE PARIS LUKASIEWICZ KOC
Sobotę wieczów odeszło 886 skrzyń i dwuch konwojentów.
Proszę aby Karpiński był w miejscu przybycia dla odbioru.
Datę i miejsce powinni podać francuszi. Posyłka została zadeklarowana jako własność Banku Polskiego, adresowana do Ambasady w Paryżu.
Proszę nie decydować o dalszych ruchach bez uprzedniego porozumienia ze mną. Telegrafować Konsulat Jerozolima, ~~[illegible]~~ Ja i personel jestem w Beyrucie.

Matuszewski

www.DORZECZY.pl

eprasa.pl ccaz dcaa5c

Przejazd przez Rumunję uzyskany na skutek depeszy M.S.Z. dnia 1o.IX r.b. zorganizowany został przez Ambasadę R.P. w Bukareszcie przy współudziale płk . Koca i Dyr. Karpińskiego w sposób zupełnie dobry. Pociągł biegł bez dłuższych postojów od Sniatynia do Konstancy omijając Bukareszt. Konwój policyjny rumuński, dublowany zresztą ciągle przez towarzyszących transportowi Polaków, pełnił służbę nienagannie. Przydzieleni do transportu na terenie Rumunji: pomocnik attaché wojskowego w Bukareszcie mjr. Zimmal, oraz p. Freyman okazywali skuteczną pomoc. Jedynym, niestety, nieuchronnym brakiem była niedyskrecja ze strony władz i urzędników rumuńskich. Na stacjach przez które przechodził pociąg, gromadzili się, wiedzący widać o charakterze transportu, ciekawi. Na skutek tego dokładne wiadomości o przyjeździe podała już dnia następnego agencja Stefani.

Dnia 2.X.rb. w chwili odjazdu kontrtorpedowca "Vauban" i "Epervier" zakończony został drugi etap zadania. Uniknięto szczęśliwie niebezpieczeństw wojennych, uniknięto zatrzymania w krajach neutralnych, co szczególniej w Rumunji zdawało się bardzo groźne. Uniknięto niebezpieczeństw zwykle związanych z transportem: kradzieży, rabunku i awarji - głównie dzięki czynnej opiece personelu. Uzyskano uznanie szczególnego charakteru ładunku i stwierdzenie piśmienne, iż stanowi on własność Banku Polskiego.

.....

Pozwalam sobie zwrócić się z prośbą, aby Rząd Polski wystosował podziękowanie w sposób jaki uzna za stosowny, do następujących osób, które przyczyniły się do szczęśliwego przewozu złota:

Do Wysokiego Komisarza dla Syrji i Libanu, p. Puaux,
Do Admirała de Carpentier,
Do dowódców statków "Emil Bertin" i "Vauban" i "Epervier",
Do V.Konsula brytyjskiego w Konstancy,
Do kapitana statku "Eocene" p. Roberta Bretta,
Do Dyrektora Vacuum Oil Company w Ankarze p. Walker'a.

Ponadto pozwalam sobie podkreślić, iż transport zawdzięcza w wiele współpracy p. Ambasadora Rogera Raczyńskiego w Bukareszcie i jego attachatu wojskowego, oraz konsula w Czerniowcach, p. Ambasadora Sokolnickiego w Turcji, Konsula generalnego Witolda Hulanickiego i wicekonsula Witolda Grosera w Bejrucie.

31.X.39. /) / Ignacy Matuszewski

-go rano paliwo zostaje uzupełnione i statek p
odpłynięcia. O godz. 14-tej kapitan uzyskuje od dyżur-
icjantów pozwolenie zejścia na ląd i po odwiedzeniu
tu brytyjskiego i polskiego p omocy dostaje dal-
48 godzin w tranzycie. Konie ten
odsunięta.
eczorem tegoż dnia Konsul pow
Ankary: dnia 17.IX. na konfe
tyjskiego i francuskiego stwierdzono:
że statki wojskowe koalicji nie mogą wejść do Bosforu
sprzeciwu Turcji, przeładunek więc w Bosforze jest niemożli-
wy.
b. że szybkie zorganizowanie konwoju nie jest możliwe ze wzglę-
dów technicznych.
c. że wobec tego proponują dalszy transport lądem do Syrji.
odpowiedzieć telefonicznie Ankarze, że zgodzę si
warunkami:
ną odpowiedzi
i poprawne s
opłaty, w ż
em, które mi
zapewnią be
i.

Dokumenty dotyczące transportu polskiego złota, zdjęcia Konstancy i Stambułu

FOT. WBH, ARCHIWUM

Pociąg przybył o godz. 6-ej. Zawiadomiono mnie na stacji, że
1. przeładowanie na krążownik Emil Bertin ma nastąpić natychmiast,
2. że krążownik ten ma zabrać całość ładunku,
3. że nie weźmie personelu.

Udałem się natychmiast do Wysokiego Komisarza komunikując mu:
1. że wedle instrukcji, jakie otrzymałem na wyjezdnem ze Sniatynia - nie miałem ładować na jeden - lecz na kilka statków,
2. że jeśli z francuskiej oceny wynika, że w danej sytuacji lepiej dać całość na jeden statek - proszę o 24 godzin zwłoki, żebym mógł się skomunikować z naszą Ambasadą w Paryżu.

Wysoki Komisarz zawezwał Admirała i dowódcę statku. Z rozmowy z nimi wynikło, co następuje:
1. Admirał żąda natychmiastowego wyjazdu - wiele załadujemy, to go nie obchodzi, choć podniósł , że nie może więc ze względów bezpieczeństwa zgodzić się na 24 godz. zwłoki.
2. Komisarz wywiera wyraźny nacisk - powołując się na rozkazy swojego rządu - i oświadczając, że nie gwarantuje transportu następnej części. Nie ma nic przeciw porozumieniu z Paryżem i 24 godzinom zwłoki - ale to nie może krępować władz morskich.

OLATO GENERALE D'ITALIA
GERUSALEMME

№ 59

IL CONSOLE GENERALE DI SUA MAESTÀ IN PALESTINA E TRANSGIORDANIA prega le Regie Autorità di frontiera di voler usare le facilitazioni compatibili con le Leggi e con i Regolamenti in vigore a S.E. MATUSZEWSKI Ignacy, ex Ministro delle Finanze di Polonia e Signora

i quali si recano nel Regno.

Gerusalemme, li 3 Ottobre 1939-XVII

R. CONSOLE GENERALE
Quinto Mazzolini

ALLE REGIE AUTORITÀ DI FRONTIERA

Wrzesień 1939 r. / Ratowanie zabytków kultury

Obrona dzieł Wita Stwosza i Matejki

eprasa.pl cca2dcaa5c

Jan Matejko „Bitwa pod Grunwaldem" FOT. WIKIPEDIA

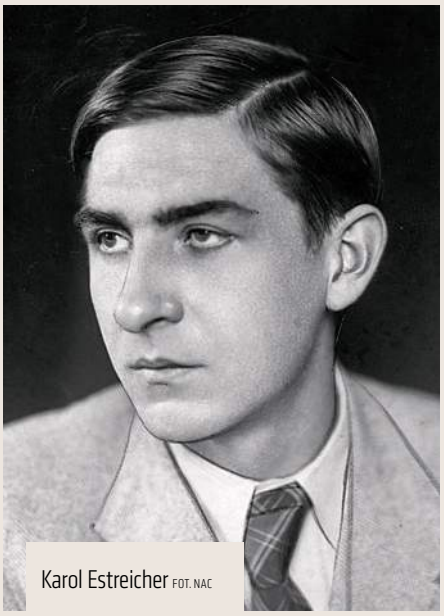

Karol Estreicher FOT. NAC

Wiosną 1939 r., po wypowiedzeniu przez Niemcy układu o niestosowaniu przemocy w stosunkach wzajemnych i mowie w Sejmie Józefa Becka, ministra spraw zagranicznych, stawało się jasne, że wybuch wojny jest coraz bardziej prawdopodobny. Muzealnicy, archiwiści i bibliotekarze, pełni niepokoju, zaczęli przygotowywać się do zabezpieczenia zbiorów na czas wojny. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, wspomniał, że muzealnicy usiłowali uzyskać od władz państwowych dyrektywy w sprawie zbiorów. Czy zabezpieczać je na miejscu, czy ewakuować. Niestety, nie doczekali się odpowiedzi. „W rezultacie postanowiliśmy, że każdy będzie na własną rękę czynił przygotowania w ramach swych możliwości" – relacjonował dyrektor Lorentz.

Chodziło o zabezpieczenie zbiorów przed bombardowaniami i ostrzałem artyleryjskim. Nikt chyba nie spodziewał się, że Niemcy będą chcieli dokonać ogromnej grabieży w polskich archiwach, bibliotekach i muzeach. Tymczasem do takiej akcji przygotowywali się pełnomocnicy Hermanna Göringa – dr Kajetan Mühlmann, oraz Heinricha Himmlera – prof. Peter Paulsen. Ten ostatni miał polować na wszelkie dzieła sztuki związane z kulturą niemiecką. A do takich należał ołtarz mariacki, dzieło Wita Stwosza.

Karol Estreicher, historyk sztuki z Krakowa, jeszcze w 1938 r. zaczął martwić się o los ołtarza mariackiego. Obawiał się, że zabytek może zostać zniszczony w wyniku działań wojennych lub zabrany przez Niemców, jeśli ci podbiją Polskę. Profesor proponował wywiezienie go do Stanów Zjednoczonych pod pretekstem pokazania na Wystawie Światowej w Nowym Jorku w 1939 r. Gdy nie uzyskał na to zgody, przedłożył zarządowi Krakowa i kurii biskupiej pomysł urządzenia specjalnego schronu dla ołtarza mariackiego.

„Zgłoszona propozycja nie doczekała się ani aprobaty, ani tym bardziej realizacji. Po przyłączeniu Austrii do III Rzeszy świat zaczął mieć nadzieję, że wojny nie będzie" – pisał prof. Stanisław Waltoś w książce „Grabież ołtarza Wita Stwosza".

Obraz Rafaela

Latem 1939 r. zaczęto wywozić najcenniejsze zbiory publiczne i prywatne z województw zachodnich. Roger Raczyński, po rozmowie z dyrektorem Stanisławem Lorentzem, zdeponował w Muzeum Narodowym ponad 300 obrazów z pałacu w Rogalinie. Lorentz wspominał, że – aby ukryć ich pochodzenie – na obrazach zmieniono nalepki identyfikacyjne, a obrazy malarzy obcych opisano jako dzieła polskich artystów. Było to bardzo przezorne działanie. Niemcy po zajęciu Warszawy szukali w Muzeum Narodowym kolekcji z Rogalina. Bez rezultatu.

Czartoryscy przenieśli najcenniejsze zabytki z zamku w Gołuchowie do oficyn pałacu w Sieniawie, niedaleko Rzeszowa. Tam też trafiły ich zbiory z Krakowa. Niestety, skrytka została odnaleziona. Łupem żołnierzy niemieckich padła „Szkatuła królewska", zawierająca pamiątki po polskich monarchach. „Portret młodzieńca" Rafaela, „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci i „Krajobraz z miłosiernym

eprasa.pl cca2dcaa5c

Samarytaninem" Rembrandta wpadły w ręce generalnego gubernatora Hansa Franka.

Obrazu Rafaela ani zawartości „Szkatuły królewskiej" nie udało się do dziś odnaleźć.

Dyrektor Lorentz stanął przed dylematem: czy pozostawić najcenniejsze zbiory Muzeum Narodowego na miejscu, czy wywieźć je z Warszawy. Nie udało mu się znaleźć odpowiednich pomieszczeń na wschód od stolicy. Ostatecznie stwierdził: „Nowy gmach muzeum uważałem za bezpieczniejszy w wypadku pożaru niż jakiś przypadkowy budynek poza Warszawą". Polecił wykonanie ok. 200 skrzyń dla najcenniejszych zabytków i złożenie ich w piwnicach.

Do wojny przygotowywała się Biblioteka Narodowa. Część cennych zbiorów została umieszczona w jednym z warszawskich fortów. Alodia Kawecka-Gryczowa, zastępca kierownika działu Starych Druków BN, wspominała: „Przedtem jednak złożono w skarbcu Banku Gospodarstwa Krajowego dwa kuferki wypełnione największymi cimeliami, jakimi chlubiła się BN. Znalazły się tam drogie sercu każdego Polaka najstarsze zabytki języka polskiego »Kazania świętokrzyskie« odtworzone przez Aleksandra Brücknera z pociętych paseczków pergaminowych oraz »Psałterz floriański« z opactwa Sankt Florian koło Linzu, za ogromną sumę 650 000 zł, a obok nich odwieczne kroniki i zapiski historyczne z »Rocznikiem Świętokrzyskim Dawnym« z XII w., z najstarszym odpisem »Kroniki Kadłubka« i inne. Dołączono też kilkanaście rękopisów iluminowanych oraz tekę z autografami Chopina".

Ołtarz mariacki

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. wywieziony został z Krakowa ołtarz mariacki. Nalegał na to nie tylko Karol Estreicher, lecz także prof. Tadeusz Szydłowski, autor monografii tego zabytku. Nie obyło się bez trudności, gdyż zdjęciu i wywiezieniu rzeźb ołtarzowych sprzeciwiał się proboszcz kościoła Mariackiego. Opór ten – jak sądzi Stanisław Waltoś – został przełamany dzięki decyzji abp. Adama Sapiehy. Elementy ołtarza zostały załadowane na galar i przewiezione Wisłą do Sandomierza. Umieszczono je w budynku seminarium duchownego oraz w podziemiach katedry. Części ołtarza ukryto też w Krakowie. Niemcy, natychmiast po wkroczeniu do miasta, zainteresowali się miejscem ukrycia dla ołtarza mariackiego. Sprawdziło się przypuszczenie prof. Estreichera, że będą chcieli go zrabować.

Arcybiskup krakowski Adam Sapieha, wychodząc z założenia, że Niemcy i tak dotrą do miejsca złożenia elementów ołtarza w Krakowie, a wprowadzanie ich w błąd może spowodować ciężkie represje, zdecydował się ujawnić sandomierską kryjówkę. Ołtarz mariacki, wraz z częścią elementów odkrytych w krakowskich skrytkach, został wywieziony do Niemiec. Na szczęście nie uległ tam zniszczeniu podczas działań wojennych i wrócił do Polski.

Architekt Józef Krzywda-Polkowski został mianowany w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. komendantem ochrony Wawelu. Uważał, że z zamku trzeba wywieźć arrasy jagiellońskie. Natrafił jednak na opór administratora zamku, który twierdził, że wojny nie będzie...

Profesor Adolf Szyszko-Bohusz, kierownik odbudowy Wawelu i kustosz jego zbiorów, kazał jednak administratorowi podporządkować się bezwzględnie decyzji o ewakuacji arrasów. Skrzynie były już gotowe. Jak pisał Stanisław Waltoś, zamówiono je z inicjatywy dyrekcji Wawelu, która nie doczekała się pieniędzy na ten cel od władz centralnych.

Krzywda-Polkowski pisał we wspomnieniach „Z Wawelu do Kanady", że bezskutecznie usiłował uzyskać od wojska przydział ciężarówek. Ostatecznie zaproponowano mu pociąg. Polkowski stwierdził jednak, że linie kolejowe będą bombardowane, bezpieczniejsza będzie więc droga wodna. Po gorączkowych poszukiwaniach znaleziono galar, na który 3 września załadowano arrasy.

Krzywda-Polkowski stwierdzał: „Zaznaczam tu z całą powagą, że uratowanie zbiorów przed Niemcami jest zasługą jedynie dwóch osób: galarowego Franciszka Misi z jego pomocnikiem, którego nazwisko było Nowak Antoni, oraz zasługą naczelnika poczty w Kazimierzu Dolnym, którego nazwiska nie pamiętam".

Początkowo arrasy miały być wyładowane w Sandomierzu i stamtąd przewiezione pociągiem do Jarosławia. Kiedy jednak galar dopłynął do Sandomierza, okazało się, że nie ma tam już władz administracyjnych i na pociąg nie można było liczyć. Ostatecznie transport dotarł do Kazimierza Dolnego. Jak wspominał Krzywda-Polkowski, naczelnik poczty (był nim Leopold Pisz) robił nadludzkie wysiłki, by nawiązać łączność telefoniczną z władzami wojskowymi lub cywilnymi, żeby zapewnić transport arrasów. Dzięki jego staraniom przysłano z Lublina autobusy, na które załadowano skrzynie z arrasami. Dalsza ich droga wiodła przez wschodnie województwa. Dzień przed napaścią Związku Sowieckiego na Polskę transport z arrasami przekroczył granicę. Edward Raczyński, wówczas ambasador w Londynie, wspominał, że zamierzano arrasy złożyć na przechowanie w Watykanie, lecz watykańscy urzędnicy w obawie przed komplikacjami politycznymi nie zgodzili się na to.

Ostatecznie w czasie wojny arrasy znalazły się w Kanadzie, skąd powróciły do Polski w 1961 r. Po zajęciu Krakowa prof. Szyszko-Bohusz został wezwany do siedziby gestapo. Zagrożono mu, że nie zostanie zwolniony dopóty, dopóki nie powie, co się stało z arrasami. Profesor oświadczył, że zostały wywiezione za granicę.

Polskę opuściły we wrześniu 1939 r. także cimelia z Biblioteki Narodowej, złożone w Banku Gospodarstwa Krajowego. Niemcy musieli

„Zesłanie Ducha Świętego", fragment Ołtarza Mariackiego

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl cca2dcaa5c

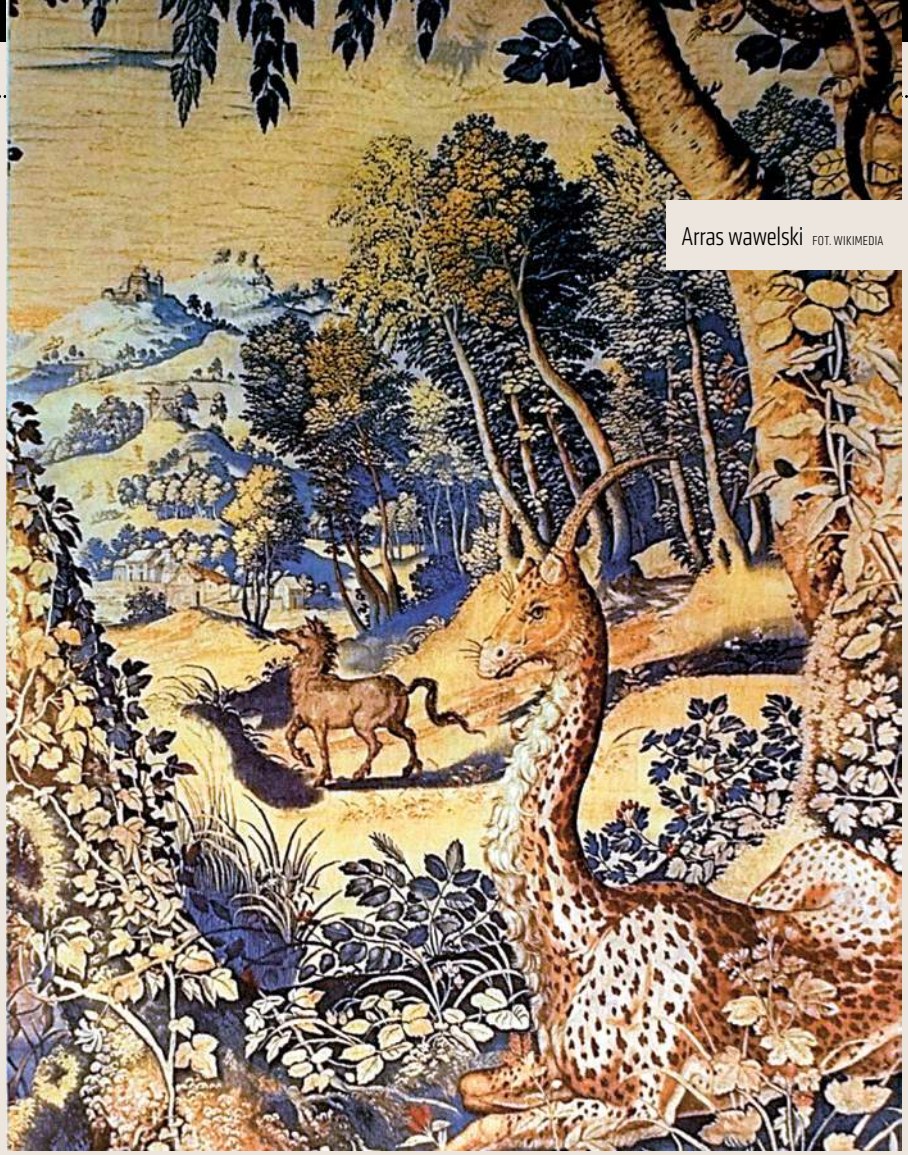

Arras wawelski FOT. WIKIMEDIA

wiedzieć, że zostały tam przewiezione, bo żądali od dyrekcji biblioteki wydania kluczy od skrytek i kufrów, co w razie niewykonania nakazu groziło aresztowaniem. Alodia Kawecka-Gryczowa wspominała, że w bibliotece nie wiedziano, czy cimelia nadal są w banku, czy zostały wywiezione. Bibliotekarze obawiali się jednak surowych represji i klucze wydali.

„Grunwald"

Niemcy za wszelką cenę chcieli dostać w swoje ręce drażniące ich niezwykle dwa obrazy Jana Matejki: „Bitwę pod Grunwaldem" i „Hołd pruski". Nie chodziło jednak o grabież w celu wzbogacenia niemieckich zbiorów – tak jak w przypadku ołtarza mariackiego – lecz co najmniej skonfiskowanie, jeśli nie – co bardziej prawdopodobne – zniszczenie tych płócien.

Dopiero po wybuchu wojny z gmachu warszawskiej Zachęty wywieziono „Bitwę pod Grunwaldem". Były kłopoty ze zdjęciem ogromnego obrazu ze ściany i z załadowaniem go na konny wóz. Skorzystano więc z pomocy przechodniów. 9 września 1939 r. obraz dotarł do Lublina, gdzie ukryto go w tamtejszym muzeum w specjalnie wykonanej obudowie, obłożonej książkami. Pustą skrzynię wywieziono z Lublina, co miało sugerować, że dzieło Matejki opuściło miasto i zostało gdzieś indziej ukryte lub wywieziono je za granicę. Było to roztropne działanie.

Niemcy byli bowiem na tropie „Bitwy pod Grunwaldem" i trafili do Lublina.

„Profesorowi Woydzie [dyrektor muzeum – przyp. T.S.] oferowano ponoć niemieckie obywatelstwo i wyjazd do Rzeszy za jakąkolwiek informację o dziele Matejki. Usłyszeli tylko, że obraz wojsko wywiozło z miasta. Gdzie? Pewnie do Rumunii..." – pisał Leszek Adamczewski w książce „Skarby w cieniu swastyki".

Przesłuchiwany przez Niemców dyrektor muzeum mógł się powołać na to, że przecież wiele osób widziało, jak wielka skrzynia opuszcza Lublin. Nie pomogło też wyznaczenie dużej nagrody – 2 mln marek – za informacje o miejscu przechowywania dzieła Matejki. Żeby do końca zdezorientować Niemców, BBC podało, że „Bitwa pod Grunwaldem" opuściła Polskę i szczęśliwie dotarła do Wielkiej Brytanii. Uwierzyli w to i zaprzestali poszukiwań obrazu. Jednak ponieważ Niemcy chcieli przejąć budynek muzeum, zdecydowano się obraz Matejki zabrać stamtąd i schować w garażach lubelskiego transportu miejskiego. Przetrwał tam do końca wojny.

Profesor Feliks Kopera, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, zdecydował, że należy ewakuować i ukryć „Hołd pruski". Zwinięto go i umieszczono w metalowej tubie. Obraz został przewieziony do Zamościa i tam ukryto go w podziemiach kościoła św. Katarzyny. Do świątyni, jeszcze w czasie działań wojennych, wdarli się jacyś rabusie, rozbili też tubę z dziełem Matejki. Było ono oczywiście za duże, by chcieli i mogli je ukraść. Proboszczowi, ks. Wacławowi Staniszewskiemu, fakt włamania był na rękę. Po wkroczeniu do Zamościa wojsk niemieckich zgłosił okupantom rabunek.

„Gdy funkcjonariusze krakowskiego gestapo dowiedzieli się, że obraz trafił do zamojskiego kościoła, przesłuchiwany ksiądz Staniszewski potwierdził ten fakt. I poinformował gestapowców, że było włamanie i obraz ktoś ukradł. Na dowód pokazał autentyczne zaświadczenie wojskowe" – pisał Leszek Adamczewski.

Później jednak, być może obawiając się, że Niemcy nabiorą podejrzeń w stosunku do takiej wersji zdarzenia, postanowiono – w myśl powiedzenia, że najciemniej jest pod latarnią – wywieźć obraz do Krakowa. Ukryto go w Muzeum Czapskich, gdzie „Hołd pruski" doczekał końca wojny. Niestety, nie wszystkie cenne dzieła sztuki można było i udało się ukryć. Zorganizowana przez państwo niemieckie grabież zabytków przyniosła niepowetowane straty. I choć co jakiś czas udaje się skreślić kolejne pozycje z listy strat wojennych, to jednak większość zagrabionych przez Niemców dzieł sztuki nie powróciła do Polski, a wśród nich „Portret młodzieńca" Rafaela...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Wywiad

Napoleon nie

– Polacy wierzyli, że cesarz Francuzów walczy o niepodległą Polskę. On miał zupełnie inne plany – mówi Adam Zamoyski

Rozmowa z Adamem Zamoyskim

rozmawia Piotr Zychowicz

kochał Polaków

Adam Albrecht „Napoleon w płonącej Moskwie" FOT. WIKIPEDIA

PIOTR ZYCHOWICZ: Polacy kochali Napoleona, ale czy Napoleon kochał Polaków?

ADAM ZAMOYSKI: Odpowiadając krótko na pańskie pytanie: nie, nie kochał.

Czyli po naszej stronie uczucia, a po drugiej...

Chłodna kalkulacja. Własny, egoistyczny interes. Wbrew temu, co wydaje się naszym rodakom, Napoleon był cesarzem Francuzów, a nie cesarzem Polaków.

Żadnego sentymentu?

Jeżeli Napoleon miał sentyment do Polaków, to do konkretnych osób. Na przykład do swych adiutantów Józefa Sułkowskiego i Dezyderego Chłapowskiego.

No, i chyba do pani Walewskiej.

(śmiech) Tak, również do pani Walewskiej. Sprawa polska była jednak Napoleonowi w gruncie rzeczy obojętna. Nie zajmowała jakiegoś specjalnego miejsca w jego sercu. Bonaparte miał inne plany, zupełnie inne cele niż restauracja Rzeczypospolitej.

Jakie?

Po pierwsze, zapewnienie swojej ojczyźnie pozycji hegemona na kontynencie. Po drugie, rzucenie na kolana Anglii. Zmuszenie jej do uznania dominującej roli Francji w Europie. Te dwa cele były istotą, motorem napędowym jego działań. Wszystko inne było temu podporządkowane. To była jego wielka gra, której szachownicą była Europa.

A Polska?

Polska była tylko jednym z pionów. I to drugorzędnych. Najlepiej pokazuje to spotkanie Napoleona z rosyjskim cesarzem Aleksandrem I w Tylży, do którego doszło w 1807 r. Wtedy los naszej ojczyzny, los Bonapartego i los Europy zostały przesądzone.

Efektem tych obrad był traktat francusko-rosyjski.

Fatalny traktat! Francja mogła wówczas pójść różnymi drogami. Talleyrand miał zupełnie inny plan, który wstępnie uzgodnił z austriackim mężem stanu Klemensem von Metternichem. Plan ten zakładał restaurację Rzeczypospolitej, która miała stać się barierą oddzielającą Europę od Rosji. W skład nowej Polski miały wejść polskie ziemie odebrane Rosji, ale nie tylko. Austria miała oddać Polsce Galicję w zamian za zwrot części Włoch i prowincji adriatyckich, które Francja odebrała jej po bitwie pod Austerlitz. Do Polski miał zostać również włączony cały zabór pruski. Rosja zostałaby wypchnięta z Europy Środkowej, a Prusy zostałyby zredukowane do małego państewka. Gwarantami tego systemu byłyby Paryż i Wiedeń. Napoleon był w 1807 r. u szczytu potęgi, pobił właściwie wszystkich i mógł taki plan przeforsować. Gdyby wówczas zwołał wielki kongres pokojowy – np. w Wiedniu – i zaproponował takie rozwiązanie, nawet Anglia musiałaby się włączyć. Polska wróciłaby na mapę.

Bonaparte poszedł jednak inną drogą.

Tak, on wybrał sobie najgorszego możliwego alianta. Czyli Rosję, z którą Francja nie miała żadnych wspólnych interesów. Wręcz przeciwnie. Ta fatalna decyzja była początkiem końca Napoleona. Tylża leżała u podstaw wszystkich jego późniejszych tarapatów. Aż wreszcie – upadku.

Traktat w Tylży ma dla nas posmak słodkogorzki. Z jednej strony nie przewidywał on restauracji Rzeczypospolitej, ale przynajmniej powstało Księstwo Warszawskie.

No właśnie, Księstwo Warszawskie. Napoleon, żeby nie drażnić Rosji, nie użył nawet nazwy „Polska". Zdecydowaną większość ziem Rzeczypospolitej pozostawił Aleksandrowi I, a Księstwo Warszawskie trzymał jako atut, który ostatecznie gotów był podarować carowi w imię sojuszu francusko-rosyjskiego. W imię dalszej, zgodnej współpracy między Paryżem a Moskwą.

Jak pan ocenia Księstwo Warszawskie?

Były oczywiście pewne plusy. Powstała jakaś namiastka państwa polskiego. I cała Europa musiała ten fakt uznać. Był to jeden z powodów, dla których w 1815 r. na kongresie wiedeńskim wszyscy zgadzali się, że jakaś forma polskiej państwowości musi zostać przywrócona. Poza tym powstała armia, kadra wojskowa i urzędnicza, która potem odegrała pozytywną rolę w Królestwie Polskim.

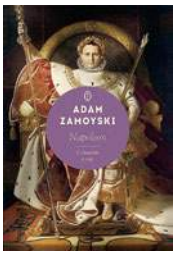

ADAM ZAMOYSKI
„NAPOLEON – CZŁOWIEK I MIT"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

A z drugiej strony...

Z drugiej strony Księstwo było kadłubowym państewkiem wasalnym wobec Francji. Jego powstanie nie przyczyniło się – i nie mogło się przyczynić – do odrodzenia prawdziwego państwa polskiego. Kiedy w drugiej połowie 1811 r. Bonaparte stanął w obliczu zapowiadającej się wojny z Rosją, miał dwa wyjścia. Albo oddać Księstwo Warszawskie Rosji, albo ogłosić restaurację Królestwa Polskiego i iść na wielką wojnę z Rosją. On skłaniał się do pierwszego rozwiązania.

Symbolem stosunku Napoleona do Polaków były chyba słynne sumy bajońskie, czyli horrendalny haracz, który nałożył na rząd Księstwa Warszawskiego.

Tak, ale jest jeszcze jedna kwestia. Cenniejsza niż złoto. Życie ludzkie. Ceną, którą Polacy zapłacili za wiarę w Napoleona, była śmierć dziesiątek tysięcy najlepszych synów Polski, którzy polegli na polach bitew całej Europy. I nie tylko. Polacy ginęli masowo w Hiszpanii, we Włoszech, w San Domingo czy Rosji. Wszyscy oni wierzyli, że giną za wolność Polski. A byli tylko mięsem armatnim Napoleona.

W swojej biografii Napoleona pisze pan, że kiedy armia Księstwa Warszawskiego pobiła Austriaków i odebrała im Galicję, Napoleon nie pozwolił przyłączyć całej Galicji do Księstwa. Część przekazał w prezencie Rosji.

Dla Polaków to był szok. Wielu Polaków – do tej pory przychylnych Bonapartemu – odwróciło się od niego. Niestety, Napoleon w Tylży uwierzył w wizję, która narodziła się w jego własnym umyśle – że będzie cesarstwo wschodu i cesarstwo zachodu. Że on reprezentuje Rzym, a Aleksander I reprezentuje Bizancjum. Francja i Rosja podzielą pomiędzy siebie strefy wpływów i Anglia wobec takiego aliansu będzie bezsilna. To była oczywiście mrzonka. Rosja nie zamierzała mu bowiem dotrzymać wierności. Napoleon jednak wierzył w swoją wizję ślepo. Zamykał oczy na rzeczywistość. Polska padła ofiarą tej wielkiej iluzji.

eprasa.pl cca2dcaa5c

To dlaczego Napoleon w 1812 r. jednak poszedł na wojnę z Rosją?

Ponieważ nie miał wyboru! Został przyparty do muru. Aleksander, który miał wielkie ambicje i dalekosiężne plany, rozumiał, że traktat z Tylży jest sprzeczny z interesami jego państwa. Zobowiązywał on bowiem Rosję do udziału w blokadzie kontynentalnej, do wojny ekonomicznej z Anglią. To się po prostu Rosji nie opłacało. Dlatego Aleksander oficjalnie utrzymywał poprawne relacje z Francją, ale tak naprawdę już od 1807 r. szykował się do walnej rozprawy z Napoleonem. Odbudowywał swoją armię, unowocześniał ją. Co najmniej od końca 1810 r. jawnie przygotowywał się do wkroczenia do Księstwa Warszawskiego. Miał nadzieję, że przez swojego przyjaciela Adama Czartoryskiego uda mu się pojednać z Polakami i pociągnąć ich za sobą. Planował też poderwać przeciwko Francji Prusaków.

Czyli atak na Rosję był wojną prewencyjną?

Tak. Napoleon uprzedził uderzenie Aleksandra I. Cesarz nie mógł dłużej czekać. Spodziewając się ataku Rosji, który mógł nastąpić w każdej chwili, Bonaparte musiał trzymać swoje wojska na wschodzie Europy i nie mógł przerzucić ich do Hiszpanii, z której próbował wyrzucić Anglików. Wiedział, że w chwili, w której wkroczy do Hiszpanii, Aleksander go zaatakuje z drugiej strony. I dojdzie do katastrofy. Napoleon nie miał więc wyboru. Musiał iść na Wschód. Problem w tym, że wyprawa na Rosję nie była wojną na poważnie.

Jak to?

Gdyby Napoleon postanowił wówczas zniszczyć Rosję, to myślę, że mógłby to zrobić. To jednak wymagało zdecydowanego działania, na 100 proc. Napoleon powinien był proklamować restaurację Królestwa Polskiego, wywołać rewolucję w Rosji. Zbuntować kozaków i stworzyć na południu Rosji państwo kozackie. Obiecać Prusom, że w zamian za udział w wyprawie otrzymają rosyjskie wybrzeże bałtyckie, które w dużej mierze było niemieckojęzyczne. Taki plan miał duże szanse powodzenia, Napoleon mógłby rozbić Rosję w drobny mak. On miał jednak zupełnie inny plan…

Wojciech Kossak „Wizja Napoleona pod Somosierrą" FOT. POLSKI DOM AUKCYJNY

eprasa.pl cca2dcaa5c

Atak polskich szwoleżerów pod Somosierrą. Obraz Januarego Suchodolskiego FOT. WIKIPEDIA

Jaki?

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale on chciał tylko Aleksandra postraszyć, zmusić go do powrotu do sojuszu z Francją. Dlatego – jak się wyraził – wojował z „najwyższą uprzejmością". To tak, jakby chciał przywołać do porządku niewierną kochankę tupnięciem nogi. Napoleon był przekonany, że Aleksander ma słaby charakter i się ugnie. Było w tym dużo prawdy, ale Aleksander był też bardzo uparty. I nie zamierzał ustępować. Napoleon w ten sposób wpakował się w idiotyczną sytuację.

Napoleon zachowuje się dziwacznie. Z jednej strony nazywa wyprawę na Rosję „drugą wojną polską", a z drugiej – gdy przybywają do niego polscy delegaci z prośbą, by uroczyście ogłosił akt restauracji Królestwa Polskiego – odsyła ich z kwitkiem. Dlaczego?

Ta odmowa, która dla Polaków była wstrząsem, wynikała z tego, że Napoleon nie chciał palić mostów w relacjach z Aleksandrem. Gdyby restaurował Polskę, nie miałby już szans na ugodę z Rosją. Na skłonienie Aleksandra do kompromisu. Powtarzam: celem wyprawy na Moskwę było odzyskanie sojuszu przyjaźni Aleksandra.

Ależ to wariactwo!

Całkowite. Napoleon szedł jednak w głąb Rosji i powtarzał, że jest gotów na wszelkie ustępstwa. On prowadził tę wojnę bez przekonania, bez określonego celu. Nie wiedział, do której linii chce dojść, ani co chce zrobić ze zdobytymi ziemiami. Cały czas czekał na to, że Aleksander przystąpi do rozmów i obieca, że zamknie swoje porty przed angielskimi statkami. Właśnie to – brak określonego celu wojny – skazywało całe przedsięwzięcie na klęskę.

To, co pan mówi, będzie szokiem dla tych czytelników, którzy święcie wierzą, że Napoleon poszedł na Rosję, aby odtworzyć Polskę.

Przykro mi, ale to legenda. Mit. Odtworzenie Rzeczypospolitej nie leżało w intencjach Napoleona. Gdyby chciał to zrobić, to uczyniłby to w momencie przekroczenia granicy z Rosją. To było dla wszystkich ówczesnych oczywiste.

Oprócz tych Polaków, którzy pociągnęli z nim na wschód.

Pamiętajmy jednak o jednej ważnej sprawie, o której dzisiaj niechętnie się w Polsce mówi. Polacy nie byli wówczas monolitem. Spora część społeczeństwa polskiego była antynapoleońska. Część Polaków stała za nim murem, ale część wprost przeciwnie – widziała w nim poważne zagrożenie. Kiedy Napoleon stworzył Księstwo Warszawskie, narzucił Polakom rozwiązania prawne, które zmieniały pozycję chłopów i bardzo nie podobały się szlachcie. Ziemianie Wielkiego Księstwa Litewskiego też nie byli zachwyceni, gdy w 1812 r. do ich kraju wlała się rewolucyjna Francja.

Bonaparte był nazywany „Robespierre'em na koniu". Wszędzie, gdzie wkraczał, wprowadzał idee rewolucji niszczące stary, konserwatywny porządek. Używając dzisiejszej nomenklatury, Napoleon był przedstawicielem skrajnej lewicy. Burzycielem państw, ale także tradycyjnego ładu.

A polskie społeczeństwo było społeczeństwem szlacheckim. Wkroczenie Wielkiej Armii na Litwę wyglądało

eprasa.pl cca2dcaa5c

zupełnie inaczej, niż po latach opisał to w „Panu Tadeuszu" Adam Mickiewicz. Mówiąc wprost: to był jeden wielki horror. Cała Litwa została totalnie zdewastowana przez żołnierzy i maruderów ciągnących za oddziałami. Wszystkie dwory polskie zostały napadnięte i obrabowane. Kościoły sprofanowane. Polki były gwałcone, a Polacy mordowani. Żołnierze francuscy nie mieli pojęcia o Europie Wschodniej. Przekroczyli granicę Cesarstwa Rosyjskiego i uznali, że znaleźli się na terytorium wroga.

A jakie stanowisko wobec Polaków zajął Napoleon?

Napoleon zrobił rzecz zdumiewającą, naprawdę zdumiewającą. Niechętne mu kontyngenty austriackie i pruskie zostawił na skrzydłach, na których w ogóle nie musiały walczyć. I gdzie miały wszelkie możliwości, żeby go zdradzać. A Polaków rzucił na pierwszy ogień. W straszliwy sposób wykrwawił ich pod Smoleńskiem i Możajskiem. Wystawił ich po prostu na rzeź. Straty polskie pod Smoleńskiem były wprost horrendalne. Zginęła większość naszych żołnierzy. Należało oczywiście zrobić odwrotnie – wykrwawić Prusaków i Austriaków. A ocalić Polaków.

Ta historia nie pasuje do pięknej legendy napoleońskiej, w którą wciąż wierzy wielu naszych rodaków.

Myśmy sami stworzyli tę legendę w XIX w. Ona nie miała się trzymać faktów, ona miała podtrzymywać ducha. Pokrzepiać serca. Wielka Emigracja po klęsce powstania listopadowego skupiła się głównie we Francji. Nasi emigranci próbowali pozyskać serca Francuzów i skłonić ich do pomocy Polsce. Idealnym narzędziem do tego było odwoływanie się do polsko-francuskiego braterstwa broni z czasów napoleońskich. Polacy, którzy znaleźli się w Paryżu, przedstawiali swoją ojczyznę jako „młodszą siostrę" Francji leżącą w Europie Wschodniej.

Polski bonapartyzm to jednak nie tylko produkt eksportowy. To idea, którą przyjęła spora część naszych rodaków.

Tak to często bywa, że narody padają ofiarą własnej propagandy. Francuzi oczywiście w bajki, które im opowiadali Polacy, mało wierzyli. Uwierzyli w nie natomiast sami Polacy. Bonapartyzm był również pewnym pocieszeniem. Polacy mogli sobie powiedzieć: przegrywamy kolejne wojny i powstania. Nic nam nie wychodzi, ale nawet wielki Napoleon, Bóg wojny, największy człowiek w dziejach świata, przegrał z połączonymi siłami Rosji, Austrii i Prus. Nie tylko my. To dawało jakieś pocieszenie.

Bonapartyzm całkowicie zamyka oczy na fakty. Naszą rozmowę rozpoczęliśmy od traktatu w Tylży, ale przecież wcześniej wielokrotnie Polacy się na Napoleonie sparzyli. Legiony Polskie miały iść z „ziemi włoskiej do Polski", a...

... wylądowały na Karaibach. Po tym, gdy Napoleon zawarł pokój z Austrią, nie potrzebował już Polaków. W 1802 r. część polskich oddziałów wcielił więc do armii francuskiej i wysłał na San Domingo. Mieli tam pacyfikować powstanie niepodległościowe miejscowej ludności. Była to więc tropikalna ekspedycja karna. Straty polskiego korpusu były po prostu zastraszające. Gwoli sprawiedliwości należy jednak dodać, że francuskie pułki na San Domingo poniosły równie wysokie straty.

O ile jednak można uznać, że w interesie Francji leżało stłumienie tego powstania, o tyle Polacy przecież poszli pod sztandary Napoleona, aby walczyć o wolność. A tu nagle musieli dławić wolnościowy zryw innego narodu.

Popiersie cesarza Napoleona I na pl. Powstańców Warszawy (przed wojną pl. Napoleona) w Warszawie

FOT. WIKIPEDIA/SZCZEBRZESZYNSKI

Zgoda, to było ze strony Bonapartego bardzo cyniczne. Napoleon traktował jednak Polaków po prostu jako żołnierzy. Oni się mieli bić tam, gdzie on im wskazał. I przeciwko temu, kogo im wskazał. To, o co oni sami chcieli walczyć, to, w co wierzyli, nie miało dla niego większego znaczenia. Do podobnej sytuacji doszło w 1808 r., gdy wysłał armię Księstwa Warszawskiego, by podbijała dla niego Hiszpanię.

Widziałem kiedyś hiszpański obraz batalistyczny przedstawiający bitwę pod Somosierrą. Polski szwoleżer podnosi szablę do cięcia, a przed sobą ma katolickiego mnicha zasłaniającego się krzyżem. To chyba dobra alegoria. Polacy po stronie rewolucyjnej armii bezbożników narzucali system okupacyjny bratniemu, katolickiemu narodowi.

Tak, w Hiszpanii działy się dantejskie sceny. Tam również niszczono kościoły, gwałcono zakonnice. Grabieże i mordy były na porządku dziennym. Polacy niestety musieli brać w tej brudnej wojnie udział. Taka była bowiem wola Napoleona.

Skoro Napoleon tak nas traktował – czy książę Józef Poniatowski musiał do końca dotrzymać mu wierności? Musiał w 1813 r. skakać do Elstery?

Poniatowski zachował się bez wątpienia w sposób honorowy. Elegancki.

To była jednak polityka. Tutaj na elegancję nie ma miejsca. Tu trzeba ratować naród.

Poniatowski był dzielnym żołnierzem, ale nie był zbyt mądrym człowiekiem. Mądry człowiek w momencie, w którym stało się jasne, że Napoleon poniesie klęskę na wschodzie, nawiązałby kontakt z dworem rosyjskim. Czyli zrobiłby to, co zrobili Prusacy i Austriacy, którzy mimo tego, że byli w wojsku napoleońskim już w 1812 r., nawiązali tajne kontakty z dworem rosyjskim. Gdyby Poniatowski zrobił tak samo, na początku 1813 r. jego sytuacja byłaby o wiele mocniejsza.

Ma pan na myśli działania Adama Czartoryskiego?

Tak, byłego ministra spraw zagranicznych Rosji i przyjaciela Aleksandra I. To był mądry człowiek, który potrafił myśleć pragmatycznie. Jego ideą było połączenie wszystkich ziem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej – zaboru pruskiego, austriackiego

eprasa.pl cca2dcaa5c

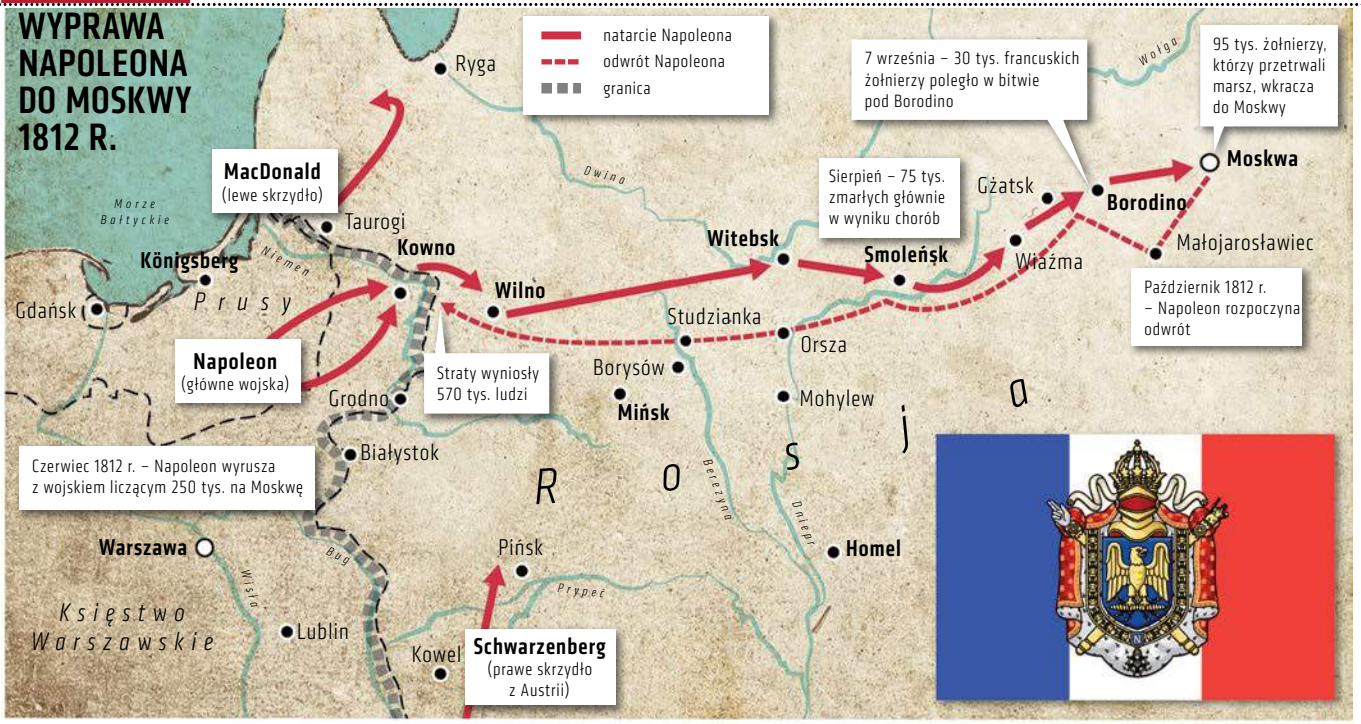

RYS. JACEK GRAMBURG

i rosyjskiego – i stworzenie z nich Królestwa Polskiego, które znalazłoby się w unii z Rosją. Królem Polski byłby oczywiście cesarz Aleksander I lub jeden z jego braci.

Czyli manewr, który w 1867 r. wykonali Madziarzy, tworząc Austro-Węgry. Czartoryski chciał stworzyć Rosjo-Polskę.

Mniej więcej tak. Trudno powiedzieć, czy były szanse na realizację takiej śmiałej wizji. Pod koniec XVIII i na początku XIX w. nastąpiło jednak znaczne społeczne i kulturalne zbliżenie między elitami Polski a Rosji. Polska była wśród rosyjskiej arystokracji dość modna. Wielu rosyjskich arystokratów nie tylko mówiło wówczas po polsku, lecz także żeniło się z Polkami, a nawet przechodziło na katolicyzm. Myślę więc, że klimat dla takiego projektu istniał. Mimo rozbiorów, powstania kościuszkowskiego, rzezi Pragi i wojny 1812 r., gdy Polacy znaleźli się w Moskwie.

Czartoryski nie zrealizował jednak swojego wielkiego planu.

Tak, nie udało mu się. Bez wątpienia jednak zasługą Czartoryskiego było to, że na kongresie wiedeńskim w 1815 r. stworzono Królestwo Polskie. Kraj mniejszy, niż projektował to Czartoryski, kraj niezaspokajający terytorialnych ambicji Polaków. Było to jednak państwo o wiele bardziej udane i lepsze dla Polaków niż Księstwo Warszawskie.

Dlaczego?

Zacznijmy od samej nazwy. Aleksander, w przeciwieństwie do Napoleona, nie bał się użyć słowa „Polska". Niemal cała władza w Królestwie została oddana w ręce Polaków. Państwo to trwało dwa razy dłużej niż Księstwo Warszawskie. Wykształciło znakomite elity, całe wspaniałe pokolenie na czele z Mickiewiczem i Szopenem. Pokolenie ludzi, dzięki którym idea polska mogła przetrwać.

A mimo to cesarz Aleksander uznawany jest przez Polaków za czarny charakter, a Napoleon za dobroczyńcę.

Tak, to absurd. Kolejny dowód na to, że wielu Polaków w ocenie zdarzeń i postaci historycznych kieruje się emocjami, a nie faktami. Swego czasu napisałem, że nie rozumiem, dlaczego w Warszawie stanął pomnik Napoleona. Bonaparte bowiem niczego dla Polski nie zrobił, ale przyczynił się do śmierci dziesiątek tysięcy Polaków. Jeżeli już, to zamiast Napoleonowi Polacy powinni postawić pomnik Aleksandrowi.

Jaka była reakcja na ten artykuł?

Odsądzono mnie od czci i wiary! Byłem nazywany ruskim agentem, pachołkiem Putina. A przecież jedynie przytoczyłem fakt historyczny, że Aleksander dał Polakom więcej niż Napoleon.

Pomnik Napoleona to chyba niejedyny pomnik, który nie powinien był stanąć w Warszawie.

To na pewno. Dobrym przykładem może być pomnik Charles'a de Gaulle'a. To już całkowity nonsens. Przecież to de Gaulle był pierwszym przywódcą zachodnim, który w 1944 r. wysłał swojego przedstawiciela do Lublina i uznał sowiecki PKWN za prawowity rząd Polski. De Gaulle Polskę miał w nosie. Stawianie mu pomników przez Polaków to jakieś gigantyczne nieporozumienie. No i trochę snobizmu kulturowego. Niestety – powtarzam to jeszcze raz – Polacy wolą piękne miraże niż twardą rzeczywistość.

Myśli pan, że kiedyś nastawienie Polaków się zmieni i w Warszawie stanie pomnik cesarza Aleksandra?

Nie. Ja w przeciwieństwie do wielu moich rodaków jestem realistą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Zamoyski jest polskim historykiem, który wychował się w Anglii. Na całym świecie propaguje wiedzę o historii Rzeczypospolitej. Jest autorem międzynarodowych bestsellerów: „Orły nad Europą", „1812. Wojna z Rosją", „Warszawa 1920. Nieudany podbój Europy", „Święte szaleństwo".

eprasa.pl cca2dcaa5c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA „HUBAL"

JHENRYK DOBRZAŃSKI "HUBAL" TO LEGENDA. OSTATNI ŻOŁNIERZ WRZEŚNIA. ZBUNTOWANY DUCH GNĘBIĄCY NIEMCÓW W DAWNO JUŻ OKUPOWANYM KRAJU.

Hubal dla wrogów Ojczyzny miał tylko kule, a dla żołnierzy słowa:
Nie było rozkazu kapitulacji...przeszliście przez piekło...za nami groby kolegów...czy po to ginęli, abyśmy teraz mieli złożyć broń?
Ja w żadnym razie broni nie złożę. munduru nie zdejmę...
Tak mi dopomóż Bóg!

Poprzez bagna i zawieruchę wojny, zasadzki i obławy prowadził Wydzielony Oddział Wojska Polskiego. Dzięki niemu, symbolicznie, Rzeczpospolita nie poddała się nigdy.

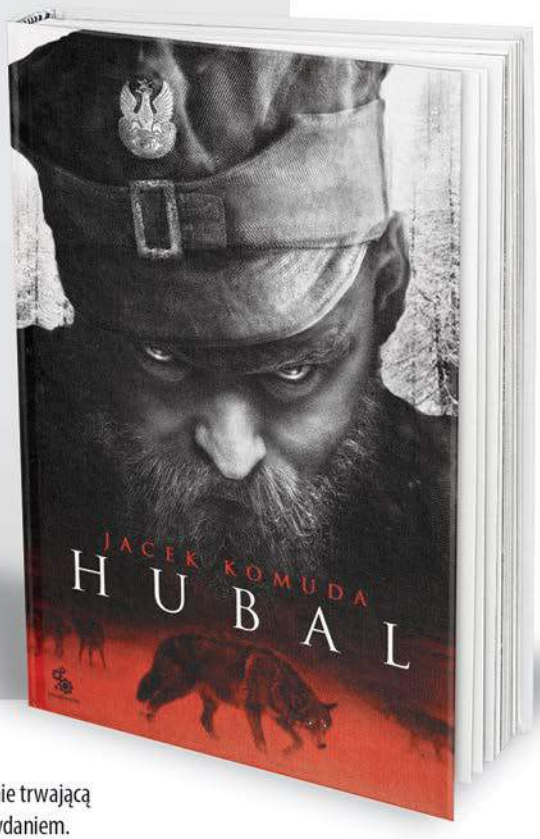

77 zł
oszczędność 75 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cca2dcaa5c

Firma ze Lwowa / Najczystsze spirytualia w najpiękniejszym szkle

Fabryka Baczewskiego we Lwowie

FOT. BN, NAC

Saga rodu Baczewskich

Sławomir Koper

Jeszcze przed odrodzeniem Polski nazwa „Baczewski" zaczęła być używana na świecie jako synonim słowa „wódka"...

Jeden oktawy wielbi Słowackiego,
Drugi znajduje cały smak w sonecie,
Dla mnie zaś cztery wódki Baczewskiego
Tworzą najlepszy czterowiersz na świecie...

Wiersz autorstwa lwowskiego poety Henryka Zbierzchowskiego idealnie oddaje pozycję produktów fabryki rodziny Baczewskich. Ekspansję i sukcesy firmy można było porównywać wyłącznie do warszawskiej fabryki Wedla – była rozpoznawana poza granicami Polski i zbierała wszelkie możliwe nagrody i wyróżnienia.

Historia firmy zaczęła się we wsi Wybranówka, niecałe 50 km od Lwowa, gdzie w 1782 r. niejaki Lejb Baczeles założył wytwórnię wódki. Nic więcej właściwie o nim nie wiadomo, poza tym, że twórca słynnej marki zmarł w 1811 r. Dwadzieścia lat później we Lwowie istniała już firma Chana Baczeles Und Son, którą z czasem przejął Mayer Baczeles. Prawdopodobnie był wnukiem Lejba, po latach jednak jest to niemożliwe do ustalenia.

Mayer Baczeles uległ polonizacji i już niebawem został Leopoldem Maksymilianem Baczewskim. Firma prosperowała coraz lepiej, co osiągnięto dzięki udanym inwestycjom. Już w latach 30. XIX w. wykorzystywano nowatorskie metody rektyfikacji spirytusu umożliwiające pracę w systemie ciągłym i znacznie poprawiające jakość produktów. Były one znacznie bardziej czyste i łagodniejsze w smaku od konkurencyjnych trunków, dzięki czemu bez problemów znajdowano nowych nabywców. Sława wódek od Baczewskich przekroczyła niebawem granice Galicji; już w połowie stulecia firma miała swoją filię w cesarskim Wiedniu.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Po śmierci Leopolda Baczewskiego wytwórnię przejęła wdowa po nim, Debora, a następnie syn (?) Józef. Firma dalej prężnie się rozwijała, w 1867 r. zdobyła nagrodę na wystawie w Paryżu, a pięć lat później brała udział w wystawach w Wiedniu i we Lwowie. Już wówczas Baczewscy zwracali szczególną uwagę na wizualną oprawę swoich wyrobów, wychodząc z założenia, że poza smakiem ważne jest także atrakcyjne opakowanie produktu.

„Flaszki, flakony i różnego rodzaju butle ze szkła, porcelany – zachwycał się dziennikarz »Gazety Lwowskiej« – ozdobione pięknymi etykietami […] i eleganckimi korkami, przedstawiają się z dala jakby wystawa wspaniałych wyrobów galanteryjnych. Staranność o ozdobną powierzchowność, w której pp. Baczewskich nikt nie przewyższa, łączy się z wielką starannością o dobroć spirytualii w tych flakonach zawartych".

Baczewscy dysponowali wówczas dwiema wytwórniami alkoholi. Jedna z nich położona była we wsi Zniesienie pod Lwowem, natomiast druga znajdowała się w samym mieście. Fabryki miały różnych właścicieli, chociaż należeli oni do tej samej rodziny.

Mistrz reklamy

Zapewne firma nigdy nie zdobyłaby takiej pozycji wśród europejskich wytwórców alkoholu, gdyby nie prawnuk założyciela, Józef Adam. Był bez wątpienia najwybitniejszym przedstawicielem rodu, wizjonerem i biznesmenem, a przede wszystkim mistrzem reklamy i marketingu. Nic nie wiemy o wykształceniu jego poprzedników, natomiast w przypadku Józefa Adama jego edukacja zawodowa doskonale przygotowała go do prowadzenia rodzinnego biznesu. Ukończył Wydział Technologii na Uniwersytecie Lwowskim, kształcił się także w produkcji alkoholi w zachodniej Europie. W jego biografii nie zabrakło też patriotycznych wątków – mając niewiele ponad 30 lat, wziął udział w powstaniu styczniowym. Natomiast później działał już w legalnych strukturach autonomii galicyjskiej oraz stowarzyszeniach handlowych i przemysłowych.

Józef Adam przejął kontrolę nad interesami Baczewskich w stulecie istnienia firmy. Niebawem też zdecydował się na przeniesienie jej siedziby do dawnego pałacu Cieleckich, zlokalizowanego poza ówczesnymi granicami miasta, przy rogatce Żółkiewskiej. Budynek ten został gruntownie przebudowany w 1908 r. i w niezmienionym stanie przetrwał do II wojny światowej.

Wprawdzie Baczewscy już wcześniej proponowali duże zróżnicowanie opakowań swoich wyrobów, jednak dopiero za czasów Józefa Adama można mówić o prawdziwej eksplozji inwencji stylistów. Do najważniejszych należała sprzedaż mocnych trunków w przejrzystych, kryształowych butelkach i karafkach o futurystycznych kształtach, czego dotychczas w ogóle nie stosowano. Chociaż opakowania miały bowiem czasem dość wymyślne kształty, to wytwarzano je z porcelany lub ciemnego szkła. Natomiast Baczewski uznał, że jego wyroby są tak klarowne i czyste, iż nie ma powodów, by ukrywać ich zawartość przed wzrokiem nabywców. W efekcie osiągnięto niezwykłe doznanie wizualne, które dopełniały atrakcyjne etykiety ze słynnym logo firmy (inicjały „J.A."). Do tego dochodził jeszcze wysoko ceniony na obszarze monarchii Habsburgów wizerunek cesarskiego orła używanego przez firmę już od lat 80. XIX w.

Józef Adam nie ograniczał się tylko do marketingu i reklamy, lecz także cały czas dbał o podnoszenie jakości produkowanych trunków. Doskonale wiedział, że walka konkurencyjna nie ogranicza się wyłącznie do atrakcyjnej oprawy wyrobów, dlatego w jego fabryce montowano urządzenia najnowszej generacji sprowadzane z Zachodu. Przy okazji właściciel poddał też modernizacji rafinerię spirytusu, dzięki czemu zbierał nagrody na wystawach od Barcelony do Melbourne. W efekcie nazwa „Baczewski" zaczęła być używana jako synonim słowa „wódka".

„Pamiętam […] doskonale – wspominał Jerzy Zaruba – jak kiedyś Benedykt Hertz, ubrany w przedpotopowy smoking i aksamitną kamizelkę koloru wina, odtańczył solo dookoła sali walca wiedeńskiego z przytupywaniem, a kiedy zwróciłem mu uwagę, że solo się nie tańczy, oświadczył, że wszystkie damy mu odmówiły. »Zresztą dodał, czy to ja tańczę? To Baczewski tańczy«. Rzeczywiście zalatywało od niego pomarańczówką".

Czasy II RP

Józef Adam Baczewski zmarł w 1911 r., a firmę przejęli jego synowie: Leopold i Henryk. Pierwszy z nich poza prowadzeniem rodzinnego biznesu zasłużył się także jako działacz gospodarczy i filantrop, natomiast jego brat był przez wiele lat członkiem Rady Miejskiej Lwowa. To właśnie za ich życia przebudowano należącą do rodziny kamienicę pod nr. 31 na lwowskim Rynku, a na jej parterze zlokalizowano elegancki sklep firmowy. Gdy firmę przejęli ich synowie – Stefan i Adam – wciąż stawiano na nowe

Reklamy firmy Baczewskiego FOT. BN

eprasa.pl cca2dcaa5c

technologie, starając się być zawsze krok przed konkurencją.

„Fabryka posiada 2 maszyny parowe o sile 125 kilowatów – informowano w ulotce reklamowej – 14 motorów o łącznej sile 70 kilowatów, 3 dynama o łącznej sile 500 amperów; 1 turbo-dynamo o sile 200 amperów i cały szereg pomp parowych. Rafineria posiada 3 aparaty rektyfikacyjne systemu Barbeta – Pompego i Savala o sprawności 336 hektolitrów dziennie, 5 aparatów do destylacji ziół i innych surowców oraz prasy hydrauliczne. Zdolność wytwórcza fabryki wynosi dziennie 4, 5 wagonów".

Do tego doszła jeszcze bardzo skuteczna akcja reklamowa, w wielu czasopismach pojawiły się humorystyczne rysunki reklamujące wyroby Baczewskich.

Leopold Baczewski FOT. NAC

Ostatecznie wydano je w formie osobnej książeczki uzupełnionej podstawowymi informacjami o przedsiębiorstwie, żartobliwymi wierszami oraz tzw. alfabetem Baczewskiego. To bardzo interesująca lektura, a przy okazji przegląd produktów firmy:

„Babula by już dawno wyciągnęła nóżki, ale kieliszek Johna Bulla bierze do poduszki".

Produkty firmy miały być dobre na wszystko, nawet na problemy męsko-damskie w małżeństwie:

„Ewa skarży się wszędzie, że mąż niedołęga, esencja Baczewskiego wiele stadeł sprzęga".

Trunki ze Lwowa miały być także bardzo skuteczne w leczeniu bezpłodności:

„Hela co rok w Krynicy z kuracją się pęta, hetmanównę niech pije, a będą bliźnięta".

Podobno „likiery Baczewskiego nawet Murzyn pijał", a wielbicielom Orange „miały się przyśnić Włochy", natomiast smakoszom Pepermintu słynne jezioro Garda. Jednak i tak najwięcej powabów miała mieć czysta wódka:

„Całus lubią mężczyźni, ale najczęściej baby, czysta wódka polska większe ma powaby".

I ponownie słowa „wódka" i „Baczewski" były synonimami.

Monopol państwa

Odradzające się państwo polskie poszukiwało dochodów, a duże i regularne wpływy miały załatać dziury budżetowe. Jednym z rozwiązań miało być utworzenie państwowych monopoli, jednym z pierwszych był monopol loteryjny, za nim utworzono tytoniowy. Następnie, w lipcu 1924 r., przyszedł czas na Państwowy Monopol Spirytusowy. Zgodnie z obowiązującym prawem produkcja alkoholu pozostała w rękach prywatnych, jednak całość powstałej wódki czystej miała być odsprzedawana państwu. W efekcie produkcja musiała odbywać się pod egidą PMS, natomiast przedsiębiorcy mogli swobodnie wytwarzać wyłącznie: wódki gatunkowe, rum, destylaty, koniaki i likiery.

Powstanie monopolu spirytusowego było też elementem szerszej akcji walki z alkoholizmem w kraju. Już w kwietniu 1920 r. Sejm Ustawodawczy przyjął tzw. lex Moczydłowska, ustawę drastycznie ograniczającą sprzedaż alkoholu. Zakazano handlu trunkami w soboty i niedziele, w dni targowe oraz dzień poboru wojskowego. Dopuszczano istnienie tylko jednego sklepu sprzedającego alkohol na 2,5 tys. mieszkańców, co oznaczało, że na Kresach przez wiele kilometrów nie można było legalnie nabyć żadnych trunków. Do tego punkty dystrybucji alkoholu (czyli także lokale z wyszynkiem) musiały być oddalone o minimum 300 m od: budowli sakralnych, więzień, sądów, stacji kolejowych, szkół, przedszkoli, przystani wodnych i zakładów pracy zatrudniających ponad 100 pracowników. W praktyce w wielu miejscowościach właściwie nie było miejsca, gdzie można było zakupić czy spożyć alkohol. Tym bardziej że ustawą objęto wszelkie trunki o zawartości alkoholu od 2,5 do 45 proc., a mocniejszych napoi w ogóle nie dopuszczano do sprzedaży. Był to poważny cios dla Baczewskich, gdyż ok. 80 proc. asortymentu firmy stanowiły wódki czyste.

Jednak właściciele firmy potrafili sprostać nowej sytuacji. Już wcześniej część wyrobów wysyłano na eksport, teraz znacznie zwiększono ekspansję za granicą. Sukcesy na Londyńskiej Wystawie Spirytusowej w 1925 r. umożliwiły nawiązanie kontaktów z dystrybutorami nie tylko z niemal całej Europy, lecz także z obu Ameryk i Australii. Jednocześnie na rynkach krajowych umiejętnie rozwijano sprzedaż produktów dopuszczanych do obrotu. Symbolem sukcesu firmy było wyposażenie w jej trunki polskich transatlantyków, a Baczewscy nie zapominali też o zaskakiwaniu swoimi nowatorskimi pomysłami. Na lwowskich Targach Wschodnich w 1926 r. pawilon firmy miał kształt ogromnej karafki.

Smutna epoka

Wybuch II wojny światowej oznaczał koniec polskiego imperium rodziny. Już w pierwszych dniach września ofiarą nalotu Luftwaffe padły budynki fabryczne i magazyny firmy.

„Od górnego Łyczakowa – wspominał Witold Szolginia – wyraźnie było widać, jak ginie trafiony bombami »stary Baczewski«. W dzień nad wzgórzami […] wznosił się […] olbrzymi grzyb dymu, zamieniający się wieczorem i nocą w jakiś potworny, łopoczący ognisty gejzer. […] Wszyscy mężczyźni na Łyczakowie (i z całą pewnością także w innych lwowskich dzielnicach) strasznie żałowali gwałtownie palącego się bez przerwy »Baczewskiego«, tyle alkoholu w jego magazynach, tyle dobra się marnuje, tyle dobra… Z lubością i wielkim żalem wspominali różne gatunki wódek i likierów znakomitej firmy".

Po wkroczeniu Sowietów do miasta Stefan i Adam Baczewscy zostali aresztowani i ślad po nich zaginął. Natomiast z odgruzowanych magazynów okupanci wywozili do Moskwy całymi wagonami ocalałe produkty firmy. Podobno cieszyły się one ogromnym powodzeniem wśród przedstawicieli najwyższych kręgów władzy sowieckiego imperium. Nie ocaliło to jednak ostatnich właścicieli firmy, chociaż przez wiele lat ich los pozostawał niewyjaśniony. Ostatecznie dopiero niedawno ustalono, że Stefan Baczewski został zamordowany wiosną 1940 r., a jego nazwisko znalazło się na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej. Prochy biznesmena

eprasa.pl cca2dcaa5c

spoczywają prawdopodobnie na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni. Ofiarą zbrodniarzy z Kremla padł również jego kuzyn, Adam; nie wiadomo jednak, gdzie został pochowany. Przez pewien czas utrzymywała się legenda, że obaj Baczewscy zmarli, pracując w kopalniach Donbasu, ale nie była to prawda.

W ocalałych budynkach firmy Sowieci uruchomili produkcję alkoholi, oczywiście na etykietach nie było śladu po nazwisku właścicieli. Większy szacunek do sławnej marki wykazali Niemcy – gdy po zajęciu Lwowa wznowili produkcję, na butelkach pojawiała się przedwojenna nazwa firmy. Ostatnie produkty z nazwą „Baczewski" na butelkach opuściły lwowską fabrykę latem 1944 r.

Firma odrodziła się po wojnie w Wiedniu, gdzie znalazł schronienie ostatni przedstawiciel rodu, Jacek Aleksander Baczewski. Wspólnie z innymi przedstawicielami wódczanego biznesu z terenu dawnej monarchii Habsburgów, rodziną Gesslerów, stworzył markę Altvater Gessler – J.A. Baczewski, która przejęła tradycję lwowskich producentów.

Obie rodziny były ze sobą spowinowacone (aczkolwiek bardzo dawno), ważniejsze było, że jeszcze w czasach II RP łączyły je wspólne interesy. Zarówno Gesslerowie, jak i Baczewscy bardzo ucierpieli podczas wojny, ale zachowali prawa do swoich marek, a co najważniejsze – przechowali bezcenne receptury. Dlatego produkcja wznowiona w Wiedniu w 1956 r. szybko przyniosła sukces,

FOT. ARCHIWUM

a koneserzy na całym świecie szczególnie cieszyli się z powrotu legendarnej Wódki Monopolowej. Miała ona ogromne powodzenie, szczególnie w USA, które stały się jej największym odbiorcą. Tylko nad Wisłą trzeba było czekać aż do 2011 r., by sławna marka ponownie oficjalnie pojawiła się w sklepach. Wprawdzie wcześniej istniał prywatny import, ale właściwie dopiero obecnie polscy koneserzy mogą porównać smak wyrobów Baczewskiego z relacjami swoich dziadków. I nie ma znaczenia, że firma znalazła się już w całości w rękach Gesslerów. Ważne, że do dziś zachowane są oryginalne metody produkcji.

Niewiele pozostało śladów po Baczewskich we Lwowie, w ich dawnej fabryce Sowieci zlokalizowali zakłady produkujące materiały ścierne, chociaż data 1782 r. pozostała nad bramą. Na cmentarzu Łyczakowskim zachowała się piękna kaplica grobowa rodu, gdzie do dziś spoczywają szczątki Józefa Adama i jego rodziny. Niestety, nigdy nie trafiły tam prochy jego zamordowanych wnuków ani odnowiciela marki z Wiednia. Natomiast w 2015 r. przy ul. Szewskiej rozpoczęła działalność restauracja Baczewski nawiązująca do tradycji sławnej marki…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: T. Lachowski, „JA Baczewski. Ilustrowana historia wódki", bdw; I. Kotłobułatowska, „Baczewski, Baczewski", http://www.lwow.com.pl/brama/baczewski/baczewski.html; W. Szolginia, „Tamten Lwów. Rozmaitości", Wrocław 1994; J. Zaruba, „Z pamiętników bywalca", ebook, Warszawa 2011.

REKLAMA

eprasa.pl cca2dcaa5c

Marcin Bartnicki

1943 r. / Dezinformacji przed inwazją Sycylii

Operacja „Mincemeat”

Brytyjczycy ubrali ciało bezdomnego w mundur majora, przytwierdzili do niego teczkę z fałszywymi tajnymi dokumentami i wrzucili je do wody u wybrzeży Hiszpanii

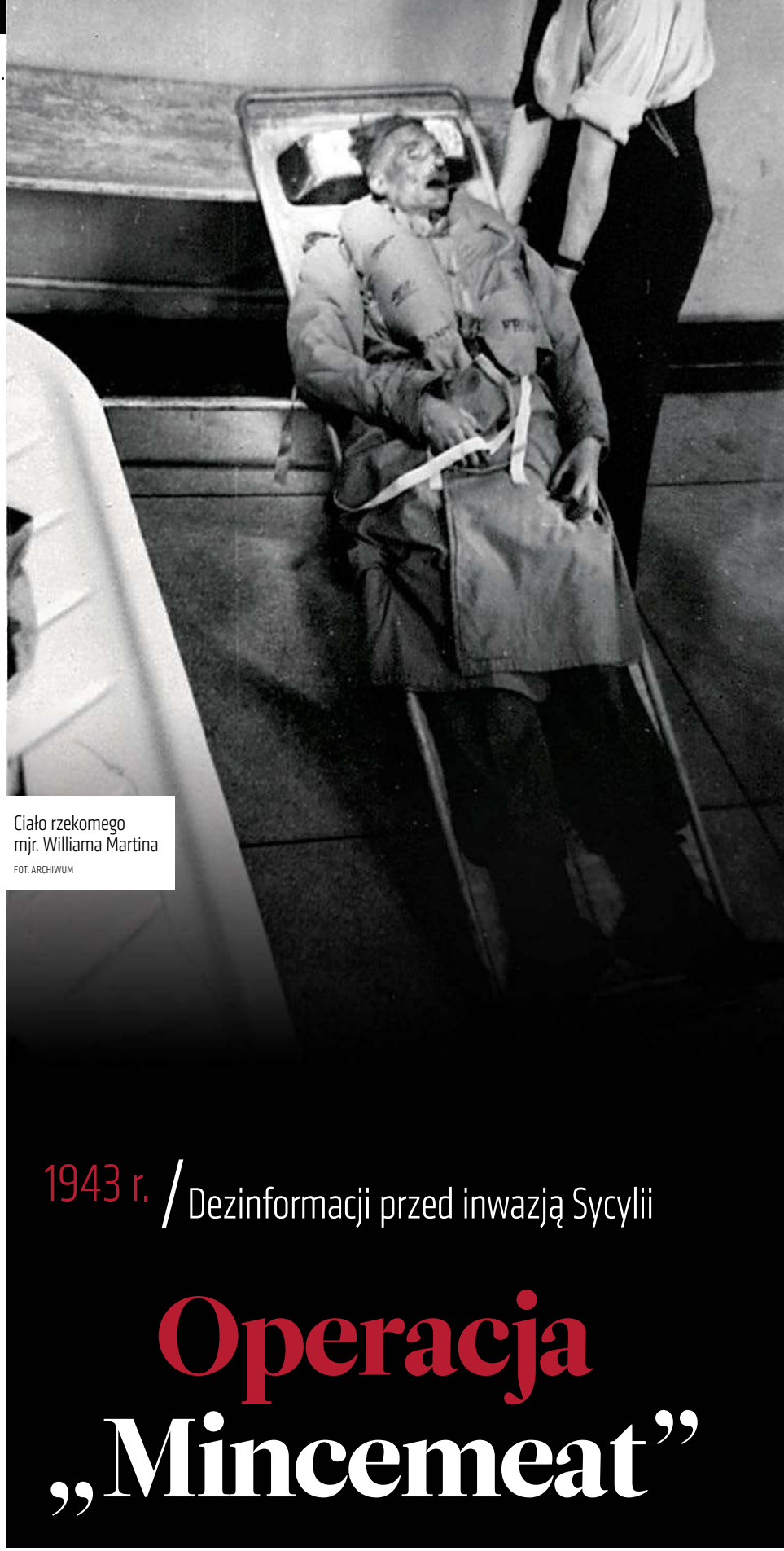

Ciało rzekomego mjr. Williama Martina

FOT. ARCHIWUM

Rozkład ciała trzymanego w chłodni od trzech miesięcy był już wyraźnie widoczny. Czterej mężczyźni przyglądający się umieszczonemu na metalowych noszach denatowi dostrzegli, że skóra niemal odchodzi od twarzy, jest zżółknięta – co było efektem działania trucizny – w górnej części twarzy przebarwiona, a oczy zapadły się do środka. Reszta trzymała się całkiem nieźle. Mężczyźni przyczepili do paska spodni łańcuszek pokryty skórą, przeciągnęli go pod kamizelką, a jego drugi koniec przywiązali do teczki z dokumentami. Najtrudniejsze okazało się ubranie butów. Stopy zesztywniały w chłodni i nieboszczyk nie chciał współpracować. Pomógł grzejnik, którym rozmrożono nogi. Wszystko okazało się znacznie trudniejsze niż w pierwotnym, optymistycznie sformułowanym planie.

„Pozyska się ciało z jednego z londyńskich szpitali (zwyczajowa cena w czasie pokoju wynosi dziesięć funtów), a następnie zostanie ono ubrane w mundur sił lądowych, morskich lub lotniczych z odpowiednimi dystynkcjami – napisał Christopher Cholmondeley w opisie projektu »Koń Trojański«. – Napełni mu się płuca wodą, a do wewnętrznej kieszeni włoży dokumenty. Ciało zostanie zrzucone z samolotu dowództwa wybrzeża w odpowiednim miejscu, gdzie pływy prawdopodobnie zniosą je na brzeg, na terytorium wroga”. 25-letni kapitan RAF, zatrudniony w MI5, przedstawił swój pomysł Komitetowi XX – ściśle tajnej grupie nadzorującej pracę podwójnych agentów.

31 października 1942 r., gdy młody oficer prezentował swój plan, alianci

eprasa.pl cca2dcaa5c

wygrywali właśnie drugą bitwę pod El-Alamein. Po opanowaniu północnej Afryki celem kolejnej kampanii miała być inwazja na Europę w basenie Morza Śródziemnego. Cholmondeley nie wiedział jeszcze, że jego projekt stanie się podstawą operacji dezinformacyjnej, która ma zmylić Niemców co do rzeczywistego miejsca desantu. Sama idea wykorzystania trupa w operacji dezinformacyjnej nie była zresztą jego autorstwa. Kapitan wzorował się na notatce z 1939 r., zawierającej serię finezyjnych i zwariowanych pomysłów, podpisanej przez Johna Godfreya, szefa wywiadu marynarki wojennej, napisanej prawdopodobnie przez asystenta Godfreya – Iana Fleminga – późniejszego autora powieści o Jamesie Bondzie.

RYS. JACEK GRAMBURG

Mielonka dla Hitlera

Sycylia była kolejnym naturalnym celem aliantów po opanowaniu Afryki Północnej. Zarówno Mussolini, jak i Hitler doskonale zdawali sobie sprawę ze strategicznego znaczenia wyspy, dlatego jej brzegów broniło 300 tys. żołnierzy. Gdyby siły te zostały wzmocnione np. dodatkową dywizją pancerną, Sycylia mogła okazać się niemożliwa do zdobycia. Brytyjczycy i Amerykanie nawet bez tego zakładali, że jeśli desant zakończy się powodzeniem, to zostanie okupiony ogromnymi stratami. Dlatego inwazja musiała być poprzedzona realizowaną na szeroką skalę akcją dezinformacyjną. Należało przekonać Niemców, że rzeczywistym celem ataku będzie Grecja, a następnie Bałkany, natomiast na zachodzie Sardynia lub Korsyka, a w dalszej kolejności południowa Francja.

Mimo że dowódcy wojskowi, szczególnie włoscy, raczej nie daliby się na to nabrać, szansę na powodzenie dezinformacji zwiększało to, że Hitler był przekonany, iż wojna w końcu przeniesie się na Bałkany. Był to rejon z silną partyzantką, którego opanowanie pozwoliłoby na przejęcie rumuńskich pól naftowych, bez których niemiecka machina wojenna szybko stanęłaby w miejscu. Brytyjczycy za pośrednictwem podwójnych agentów „karmili” więc Abwehrę fałszywymi informacjami, werbowali Greków, wykupywali grecką walutę, stworzyli nawet fikcyjną armię, która miała dokonać ataku na Peloponez. Niemcy długo byli odporni na te sugestie. Brakowało koronnego dowodu.

Dostarczyć go miał Ewan Montagu, 42-letni oficer wywiadu marynarki wojennej, wraz z Christopherem Cholmondeleyem. Kurierem miał być trup. Obdarzony nieco makabrycznym poczuciem humoru Montagu z listy dostępnych kryptonimów wybrał dla operacji nazwę „Mincemeat”, czyli mięso mielone. Pierwotny plan Cholmondeleya był nieco naiwny. Aby dokumenty dotarły do Niemców i przekonały ich do modyfikacji strategii, przedsięwzięcie powinno być perfekcyjne pod każdym względem. Nie było.

Pierwsze trudności pojawiły się przy poszukiwaniu odpowiedniego ciała. Mimo że w pogrążonym wojną Londynie nie brakowało nieboszczyków, żaden z nich nie nadawał się do odegrania roli odpowiednio wysokiego rangą oficera, który utonął w morzu. Gdy w końcu znalazł się kandydat, okazało się, że to 35-letni bezdomny – Walijczyk Glindwr Michael, który zatruł się trutką na szczury (nie wiadomo, czy celowo) i nie przypominał wojskowego dżentelmena z dostępem do najtajniejszych informacji. Miał za to inną zaletę – rodzina nie interesowała się losem zwłok ani nawet nie wiedziała o jego śmierci. Montagu uznał, że nadpsute ciało w eleganckim mundurze może odegrać rolę młodego, utalentowanego majora, któremu powierzono przewiezienie tajnej korespondencji. Utwierdził go w tym sir Bernard Salisbury, sławny patolog, znany z występowania w roli biegłego w licznych procesach sądowych. Zapewnił Montagu, że w Hiszpanii nie ma lekarza, który byłby w stanie wskazać, iż po wyłowieniu ciała z wody przyczyną śmierci było zatrucie fosforem (zawartym w trutce), a nie utonięcie. Mylił się.

Udało się za to zadbać o inne detale. Aby uszyty dla fikcyjnego oficera mundur wyglądał na znoszony, regularnie nosił go Cholmondeley. Glindwr Michael nie miał żadnego zdjęcia, a fotografie, które próbowano wykonać po śmierci, wyglądały upiornie, znaleziono więc kogoś wystarczająco podobnego, aby użyczył swojej twarzy do zdjęć. W wojennej rzeczywistości nawet proste kwestie urastały do rangi poważnego problemu. Gdy zabrakło chętnych do oddania bielizny, która była wówczas trudno dostępna,

eprasa.pl cca2dcaa5c

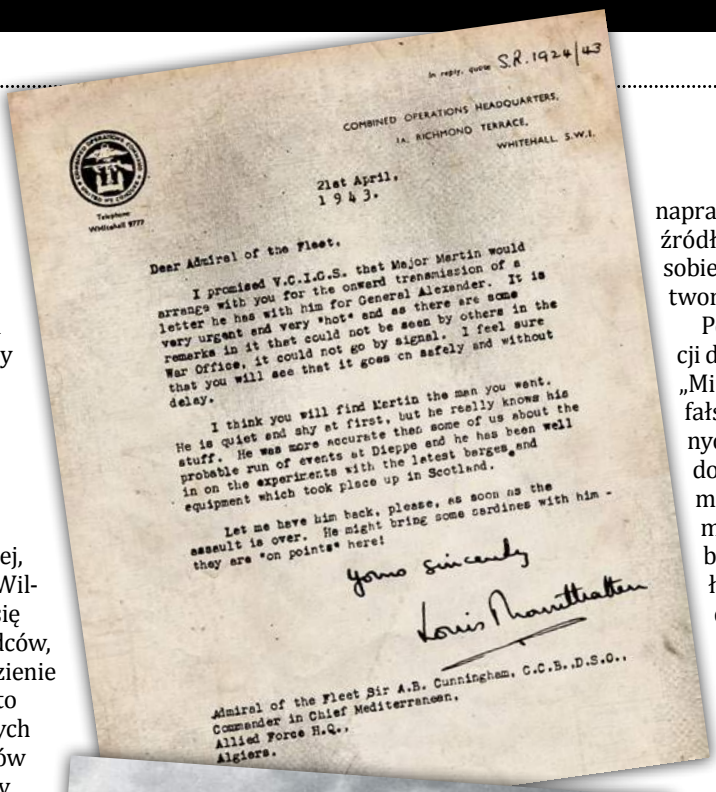

In reply, quote S.R.1924/43

COMBINED OPERATIONS HEADQUARTERS,
1A, RICHMOND TERRACE,
WHITEHALL, S.W.1.

Telephone: Whitehall 9777

21st April,
1943.

Dear Admiral of the Fleet,

I promised V.C.I.C.S. that Major Martin would arrange with you for the onward transmission of a letter he has with him for General Alexander. It is very urgent and very "hot" and as there are some remarks in it that could not be seen by others in the War Office, it could not go by signal. I feel sure that you will see that it goes on safely and without delay.

I think you will find Martin the man you want. He is quiet and shy at first, but he really knows his stuff. He was more accurate than some of us about the probable run of events at Dieppe and he has been well in on the experiments with the latest barges and equipment which took place up in Scotland.

Let me have him back, please, as soon as the assault is over. He might bring some sardines with him - they are "on points" here!

Yours sincerely

Louis Mountbatten

Admiral of the Fleet Sir A.B. Cunningham, C.C.B.,D.S.O.,
Commander in Chief Mediterranean,
Allied Force H.Q.,
Algiers.

z pomocą przyszedł prezes Komitetu XX. John Masterman, wykładowca z Oxfordu, zaproponował slipy i podkoszulek swojego akademickiego rywala Herberta Fishera. Obaj historycy prowadzili zażarte spory, ale Fisher właśnie zmarł, nie mógł więc oponować przeciw użyciu jego bielizny do ubrania innego nieboszczyka.

Najtrudniejszym zadaniem było jednak stworzenie fikcyjnej, ale wiarygodnej postaci – mjr. Williama Martina. Musiał cieszyć się zaufaniem najwyższych dowódców, którzy powierzyli mu przewiezienie tajnej korespondencji. Wciśnięto mu do kieszeni zestaw osobistych przedmiotów, prywatnych listów i świstków papieru, które miały pokazać, kim jest Martin. Wymyślono historię o nowo poznanej atrakcyjnej dziewczynie (trzymał jej zdjęcie w kieszeni), z którą narwany, lekkomyślny major szybko się zaręczył (potwierdzał to rachunek na drugi pierścionek). Burzliwy romans został przerwany przez tragiczną śmierć oficera.

W drugim planie pojawia się też zestaw bohaterów drugoplanowych. Niemcy mieli dowiedzieć się o tym wszystkim z prywatnych listów, które major miał przy sobie. Pisali je osobiście Montegu i jedna z sekretarek – Jean Leslie, która wcieliła się w rolę Pam, narzeczonej fikcyjnego oficera. Leslie przekazała również swoje zdjęcie, które wraz z innymi materiałami miało trafić w ręce Niemców. Montegu nauczył się podpisywać tak jak Martin i myśleć tak jak on. Zarówno szef operacji, jak i Jean Leslie pokazali się we wszystkich miejscach, w których miała bywać fikcyjna para – w teatrze i klubie, a bilety, które to potwierdzały, mjr Martin miał w kieszeniach. Wczuli się w rolę tak bardzo, że korespondowali, wcielając się w fikcyjnych bohaterów, już po zakończeniu akcji i prawdopodobnie nawiązali prawdziwy romans.

Problem polegał na tym, że historia wygląda jak fabuła romansu, w dodatku niezbyt wyszukanego i pełnego luk. W dodatku niektóre nieprawdziwe informacje można było łatwo zweryfikować. Montegu zakładał, że Niemcy nie zrobią tego, ponieważ nie mają w Wielkiej Brytanii ani jednego szpiega. Jego pewność siebie nie doprowadziła do katastrofy tylko dlatego, że Niemcy rzeczywiście nie zbudowali sprawnej siatki szpiegowskiej za kanałem La Manche ani nie skorzystali z usług ambasad przychylnych im państw neutralnych. O dokładnym planie operacji wiedzieli za to Sowieci. Ich agentem był m.in. brat Ewana Montegu.

Większy wysiłek włożono w przygotowanie detali wskazujących na charakter Martina i datę jego śmierci. Zadbano też o to, żeby w „The Times" ukazał się nekrolog majora. W przeciwieństwie do historii melodramatycznego romansu zestaw przedmiotów, które miał przy sobie, był zbyt doskonały, przez co wręcz niewiarygodny. Każda rzecz i każde zdanie w listach miały wskazywać na jakieś fakty, cechy charakteru czy motywacje Williama Martina, które były istotne dla przekonania Niemców, że istniał naprawdę i jest wiarygodnym źródłem informacji. Nie miał przy sobie żadnej zbędnej rzeczy, która tworzyłaby szum informacyjny.

Powodem największej frustracji dla prowadzących operację „Mincemeat" stało się napisanie fałszywych listów wymienianych między najważniejszymi dowódcami, które przewozić miał mjr Martin. Przez dwa miesiące kolejne pomysły były odrzucane przez przełożonych, listy poprawiano dziesiątki razy, aby finalnie wyrzucić je do kosza. Ostatecznie poprzestano na dwóch kluczowych listach i trzecim, z załączonym maszynopisem książki, który miał stanowić uzasadnienie do trzymania korespondencji w większej teczce, a nie w wewnętrznych kieszeniach munduru (zrobiono to na wypadek, gdyby ciało nie zostało dokładnie przeszukane).

W prywatnej korespondencji kierujący Imperialnym Sztabem Generalnym Archibald Nye pisał do gen. Harolda Alexandra, głównodowodzącego brytyjskich wojsk w Afryce Północnej, nawiązując do planów inwazji na Grecję i wskazując Sycylię jako cel pozorowanego ataku, który ma odwrócić uwagę Niemców i Włochów. W drugim liście mało błyskotliwy żart o sardynkach miał sugerować cel drugiego ataku.

Zdjęcie Pam, rzekomej narzeczonej Williama Martina, i znaleziony przy nim list FOT. WIKIPEDIA

Kto oszukał Hitlera?

Niemcy nie poradzili sobie ze stworzeniem siatki wywiadowczej w Wielkiej Brytanii, odnieśli za to duży sukces w Hiszpanii. Spośród 391 pracowników niemieckiej ambasady w Madrycie 220 stanowili oficerowie Abwehry. Prowadzili 1,5 tys. agentów, którzy z kolei tworzyli własne sieci źródeł informacji. Brytyjczycy znali personalia większości z nich i otrzymywali od swojego znakomicie ulokowanego agenta wszystkie najważniejsze informacje, które trafiały w Hiszpanii do Abwehry. Dlatego

eprasa.pl cca2dcaa5c

fikcyjny samolot, którym leciał wymyślony mjr Martin, musiał spaść właśnie u wybrzeży Hiszpanii. Na miejsce „zrzutu" wybrano rejon Huelvy, w którym niemiecka kontrola wywiadowcza była szczególnie silna.

Zwłoki zostały więc załadowane na okręt podwodny, a następnie pozostawione na powierzchni w miejscu, w którym pływy miały skierować je w stronę wybrzeża. Zostały wyłowione 30 kwietnia 1943 r. przez lokalnych rybaków i szybko przekazane wojsku. Zgodnie z oczekiwaniem dokumenty zostały otworzone bez naruszania kopert i pieczęci, a następnie sfotografowane i w niemal niezauważalny sposób włożone na miejsce. Przed zwróceniem ich Brytyjczykom fotografie wszystkich znalezionych materiałów zostały przekazane Niemcom.

Wbrew oczekiwaniom Montegu sekcja zwłok przeprowadzona przez hiszpańskich lekarzy wykazała wiele poszlak, które mogły wskazywać, że Martin nie zginął w wyniku utonięcia po katastrofie lotniczej. Wykrycia prawdziwych przyczyn zgonu uniknięto głównie dlatego, że brytyjski wicekonsul zasugerował jak najszybsze zakończenie autopsji, na co hiszpańscy lekarze chętnie przystali. W rozwianiu wszystkich wątpliwości związanych ze zdobytymi dokumentami pomogły dwie osoby. Pierwszym z nich był Karl-Erich Kühlenthal, oficer Abwehry, który swoją pozycję zawdzięczał koneksjom rodzinnym z Wilhelmem Canarisem, szefem tej służby. Kühlenthal uwierzył we wszystko, osobiście zawiózł materiały do Rzeszy, koloryzując i myląc fakty. Wcześniej łatwowierny oficer równie chętnie i bezrefleksyjnie powielał nieprawdziwe informacje, którymi „karmił" go brytyjski podwójny agent. Teraz jego brak wyobraźni miał spowodować prawdziwą klęskę.

Hitler i jego otoczenie nadal byli sceptyczni wobec rewelacji przekazanych przez Abwehrę. Wątpliwości rozwiał jego ulubiony analityk – Alexis von Roenne. Ten arystokrata i weteran I wojny światowej w 1939 r. przekonał Hitlera, że sojusznicy nie pomogą Polsce w przypadku niemieckiego ataku, a następnie że uda się obejść Linię Maginota podczas inwazji na Francję. Teraz, mimo licznych wątpliwości co do dokumentów przewożonych przez mjr. Martina, jednoznacznie stwierdził, że wszystkie przedstawione w nich fakty są prawdziwe.

Nie wiadomo, czy rzeczywiście w to wierzył. Von Roenne był zagorzałym antynazistą, nie mógł pogodzić się z tym, co Niemcy robią w okupowanej Polsce. Przed inwazją na Normandię przekonywał, że desant nastąpi w Pas-de-Calais, przyjaźnił się też z Clausem von Stauffenbergiem. Po dokonanym przez niego zamachu został skazany w pokazowym procesie i stracony. Jedyną osobą z otoczenia Hitlera, która nie wierzyła w autentyczność pozyskanych dokumentów, pozostał Josef Goebbels. Hitler ostatecznie przekonał też Mussoliniego.

Jeszcze przed operacją „Huskey" – desantem na Sycylię – jej plany wyciekły w absurdalnych okolicznościach. Jeden z brytyjskich oficerów oddał do pralni w Kairze mundur z planami znajdującymi się w kieszeni. Pracownicy pralni wyjęli je i wypisali na nich rachunek dla innego klienta. Inny oficer zostawił dokument z dokładną godziną inwazji na tarasie hotelu. Zgubę odzyskano po dwóch dniach. Nie wiadomo, czy Niemcy nie otrzymali innych podobnych przecieków, czy po prostu nie uwierzyli w nie. Nie wzmocnili jednak obrony Sycylii, podwoili za to garnizon stacjonujący na Sardynii. Na Bałkanach od marca do lipca liczba dywizji wzrosła z ośmiu do 18, przerzucono m.in. z Francji do Salonik liczącą 18 tys. żołnierzy 1. Dywizję Pancerną. Z Sycylii na Morze Egejskie popłynęły też niemieckie kutry torpedowe, wzmocniono nadbrzeżne baterie dział. Tuż przed inwazją jednostki stacjonujące na Sycylii nie miały ani odpowiedniego zapasu racji żywieniowych, ani paliwa, aby prowadzić długotrwałą walkę.

W wyniku akcji dezinformacyjnej, której najważniejszym elementem była operacja „Mincemeat", 10 lipca 1943 r. udało się zaskoczyć Niemców i Włochów desantem na Sycylię. Alianci spodziewali się, że walki potrwają przez trzy miesiące, zakończyły się po 38 dniach. Pod koniec lipca poddało się Palermo, a zaraz po tym Mussolini stracił władzę. Spodziewane straty w pierwszych dwóch dniach walk miały wynieść 10 tys. spośród 160 tys. żołnierzy i 300 okrętów. Alianci stracili ponad tysiąc ludzi, zatopionych zostało zaledwie 12 jednostek. Państwa Osi dały się zmylić.

Dodatkowego smaczku całej mistyfikacji dodaje to, że Ewan Montagu, który kierował operacją „Mincemeat" i oszukał Hitlera, był Żydem. Opisał operację w opublikowanej w 1954 r. książce pt. „Człowiek, którego nie było". Stała się bestsellerem, sprzedano ponad 3 mln egzemplarzy. Autor nie mógł jednak napisać o wszystkim, ponieważ część informacji nadal była tajna, inne mogłyby postawić Wielką Brytanię w złym świetle, a książka, żeby w ogóle mogła się ukazać, musiała przejść przez cenzurę wywiadu. Dlatego przez lata wokół operacji narosło wiele hipotez i mitów. Wszystkie wątpliwości doskonale wyjaśnił Ben Macintyre w książce pt. „Oszukać Hitlera. Największy podstęp w dziejach wywiadu". Pisząc artykuł, opierałem się głównie na informacjach zawartych w tej publikacji.

Eksplozja amerykańskiego okrętu, zbombardowanego przez Luftwaffe przy brzegach Sycylii FOT. ARCHIWUM

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Piotr Semka

Pierwszy król Rumunii Karol I pochodził z dynastii Hohenzollernów. Był oficerem z pruskiej szkoły

Kto chce poznać dzieje rumuńskiej rodziny królewskiej w zaciszu domowym, ten powinien odwiedzić Sinaię... Smukła sylwetka zamku w stylu niemieckiego renesansu kryje w sobie eklektyczny wystrój, w którym elementy reprezentujące różne style przenikają się, wywołując wrażenie przepychu i przytłoczenia. Jest to muzeum, które ignoruje otaczającą przyrodę i nie dba o nią. Czy można mieszkać w muzeum? Pierwszy król Rumunii Karol I mógł, i to nawet z przyjemnością".

Te słowa napisał rumuński pisarz Lucjan Boia. Doskonale oddają one urok tego górskiego pałacyku. Dla Rumunów to miejsce ma podobny ładunek emocjonalny co dla Polaków dworek w Sulejówku Józefa Piłsudskiego. I właśnie zespół muzeum pałacowego w Sinai zorganizował wystawę ku czci Karola I. O tym władcy z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen nie można tu zapomnieć. Przed pałacem stoi okazały pomnik władcy, a na sporej wystawie zgromadzono wszystkie pamiątki, które zachowały się po królewskiej rodzinie.

Z dalekiego kraju

W XIX w. mocarstwa zachodniej Europy z uwagą spoglądały na chwiejące się imperium osmańskie. Jego europejskie posiadłości wstrząsane były buntami narodów, które zerkały na Paryż, Londyn i Berlin jako polityczne ośrodki mogące pomóc im w wybiciu się na niepodległość. Zachodnioeuropejscy monarchowie z sympatią witali scenariusz wypchnięcia Turcji z kontynentu, ale jednocześnie obawiali się anarchii i skłócenia odzyskujących niepodległość narodów. I tak powstała idea obsadzania na tronach nowo powstających państw bałkańskich

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1881–1914 / Pierwszy król niepodległego państwa

Prusak, który stworzył Rumunię

eprasa.pl cca2dcaa5c

władców z licznych niemieckich królestw i księstw.

Jako pierwsza sprawdziła się w tej roli Grecja, którą za zgodą wielkich mocarstw obdarzono władcą z dynastii bawarskich Wittelbachów. W 1859 r. swoją zależność od Turcji zrzuciły Wołoszczyzna i Mołdawia. Nowe państwo przybrało dość dziwaczną nazwę Zjednoczonych Księstw i osadziło na swym tronie jednego z synów rodzin bojarskich – Aleksandra Jana Cuzę. Nowy władca szybko zraził do siebie poddanych, wybuchł bunt i książę w 1867 r. został wygnany. Zachodnie mocarstwa uznały, że tym razem trzeba obsadzić na tronie kogoś ze sprawdzonej rodziny panującej z Zachodu. W wyniku porozumienia Londynu, Paryża i Berlina do wyprawy na Bałkany został zachęcony książę Karol z rodu Hohenzollern-Sigmaringen.

Był rok 1867 i Napoleon III kokietował wówczas południowe księstwa Niemiec, szukając w nich sojusznika przeciw rosnącej potędze Prus. Nowy władca wybrał się w drogę do swojej nowej ojczyzny koleją, ale na granicy z Rumunią żelazny szlak się kończył. Na granicy witała go delegacja rumuńskich polityków, którzy zaprosili go do znacznie mniej już wygodnego powozu. Karol wielokrotnie wspominał o tej przesiadce jako zapowiedzi, że musi przyzwyczaić się do nowych, znacznie mniej europejskich standardów. Na wystawie zwraca uwagę efektowny obraz, na którym kolasie z kandydatem na księcia Zjednoczonych Księstw towarzyszą wyglądający dość dziko hajducy, którzy świstają efektownie długimi batami.

Przybysz z dalekiej niemieckiej krainy musiał wówczas wykazać ogromną cierpliwość. Bukareszt przypominał wtedy małe postosmańskie miasteczko. Gdy powóz przywiózł go pod Dwór Bojarski – najbardziej okazały budynek w mieście – Karol myślał, że to kolejny postój. „A gdzie jest ten pałac?" – zapytał naiwnie. Przez kolejne miesiące ten wychowany w pruskiej armii, zdystansowany i punktualny były oficer musiał przyzwyczaić się, że na Bałkanach wszystko jest inaczej.

Pierwszym zaskoczeniem było to, że gdy zapraszał swoich ministrów na posiedzenia rządu, przybywali oni w bardzo różnych odstępach czasu. Pruskie wychowanie okazało się na tyle solidne, że zapewniało także nowemu władcy cierpliwość potrzebną do oswojenia się z nowymi obyczajami.

Koronacja

Zjednoczone Księstwa, choć były już faktycznie niepodległym księstwem, formalnie jako lenno podlegały Turcji. Karol skorzystał więc z okazji wojny Rosji z Turcją, by zerwać ostatnie więzy z Ottomanami. Jako dobry oficer z pruskiej szkoły okazał się skutecznym sojusznikiem wojsk Aleksandra II. Ta kampania przeszła do rumuńskiej historii głównie z racji niezwykle srogiej zimy, która powodowała masowe zamarzanie żołnierzy. Co ciekawe, na obrazach rumuńskich z tamtej epoki władca dzielnie siedzi na wspaniałym rumaku na tle zimowej scenerii, zupełnie nie zwracając uwagi na zamarzających żołnierzy. Być może przybysz z Polski nie potrafi odróżnić zamarzających Turków od zamarzających Rumunów.

Zwycięstwo w wojnie z Turcją zostało politycznie skonsumowane w traktacie z San Stefano 3 marca 1878 r. Karola ogłoszono w 1881 r. królem Rumunii i osiągnął wymarzony cel – absolutną niesuwerenność swojego kraju. W prawosławnej katedrze w Bukareszcie prawosławni duchowni włożyli mu 30 sierpnia 1877 r. na skronie żelazną koronę odlaną ze spiżu tureckich armat zdobytych na Osmanach.

Rumunia była zadowolona ze swojego władcy. Znany był z żelaznej dyscypliny, pracowitości i sporego taktu w balansowaniu między dwiema głównymi partiami rumuńskiej sceny politycznej. Polityków onieśmielało zimne dostojeństwo władcy, który nie krył, że skupiony jest na budowie silnego państwa. Jego żona Elżbieta, pisująca powieści pod pseudonimem Carmen Sylva, zachwycała z kolei pierwsze salony intelektualne XIX-wiecznego Bukaresztu.

Władca kojarzył się też z kimś, kto zapewnia równowagę i dobre relacje z zachodnią Europą. Bardzo polubił się z Franciszkiem Józefem, cesarzem Austrii, który także darzył swego odległego niemieckiego kuzyna sympatią. Francuzów skłaniało do życzliwości wobec Rumunii wspólne dziedzictwo łacińskie, a Prusaków zachwycało to, że były pruski oficer tak dobrze sobie radzi z rządzeniem świeżo wykreowaną monarchią. Nawet Rosja jakoś akceptowała niemieckiego władcę, gdyż uważała Rumunię za bratni kraj prawosławia. Karol uzyskał bardzo komfortową sytuację władcy, o którego życzliwość zabiegały wszystkie najważniejsze potęgi kontynentu.

Jak pisał Lucjan Goia: „Zdystansowany, punktualny, rzadko podawał poddanym całą dłoń. Patrzył z góry. Inny niż

Koronacja Karola I w Bukareszcie, 1881 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cca2dcaa5c

chmara rządzących wcześniej bojarów wciąż się kłócących i nienawidzących, i wymieniających się co rusz na tronie".

Za jego rządów Bukareszt zamienił się z zapyziałego, posttureckiego miasteczka w wielką metropolię ozdobioną całym szeregiem gmachów w stylu pompieryzmu Napoleona III. Nieprzypadkowo wzorcem był Paryż. Rumunia zdołała wówczas zdobyć się na skok gospodarczy, którego podstawą był boom na ropę naftową, którą wydobywano w złożach Ploeşti. Kolejnym osiągnięciem Karola było wybudowanie portu w Konstancy, który umożliwił bezpośredni eksport rumuńskich towarów. Była to epoka elitarnej modernizacji przy braku wrażliwości społecznej. Powodowało to coraz większy rozziew między rozwojem Bukaresztu czy Konstancy w porównaniu z zacofaniem rumuńskiej wsi.

Odtworzony na wystawie gabinet króla Karola I. Na biurku portret jedynej jego córki, zmarłej w dzieciństwie

FOT. PIOTR SEMKA

W warstwie politycznej Karol subtelnie, ale skutecznie kontrolował elity polityczne. Znany był jako milczek, ale gdy zabierał głos, z uwagą go słuchano. Potrafił jednym gestem pokazać siłę swojego monarszego autorytetu i przed spotkaniem z nim drżeli nawet najbardziej wytrawni rumuńscy politycy. U władzy zmieniali się kolejno liberałowie i konserwatyści, a władca odsuwał od rządzenia każdego premiera, który zbytnio kradł lub popełniał błędy. Formalnie o zmianach władzy decydowała kartka wyborcza, ale faktycznie – arbitraż króla. A partia obdarzona jego zaufaniem wygrywała wybory, bo wszyscy już wiedzieli, jakie jest życzenie władcy. Jak mawiano wówczas w Bukareszcie: „Formy mamy brytyjskie, treść rumuńską, a reżyser tej sztuki jest niemiecki – na równi surowy, jak i zręczny". Pod rządami Karola Rumunia zaznała 43 lat politycznej stabilizacji.

Burzliwy kres

Na wystawie wyraźnie widać dwie fazy rządów Karola. Pierwsza to lata 1881–1905. To idealizowany dziś przez Rumunów okres boomu gospodarczego i gwałtownego nadrabiania stuleci cywilizacyjnej zapaści. Problemy zaczęły się w pierwszej dekadzie nowego wieku. Najpierw w 1907 r. wybuchły chłopskie powstania. Włościanie nie byli w stanie znieść skali wyzysku, który napędzał boom na eksport rumuńskiej żywności za granicę. Także w relacjach międzynarodowych zaczęły się kłopoty. Rumuńska narodowa opinia publiczna zaczęła występować na rzecz praw Rumunów w Siedmiogrodzie należącym do Austro-Węgier. Karol uwielbiający Franciszka Józefa z rozdrażnieniem przyjmował demonstracje w Bukareszcie w obronie „uciemiężonych rumuńskich braci".

Rumunia uważała się za główną siłę na Bałkanach, uznając się za najsilniejszy kraj na gruzach europejskich posiadłości imperium osmańskiego. Tym większą irytację Karola wywołała pierwsza wojna bałkańska, która wybuchła w październiku 1912 r. Wtedy to koalicja Bułgarii. Grecji, Serbii i Czarnogóry wystąpiła przeciwko Turcji. Nielubianą Rumunię, demonstracyjnie zignorowano. Turcję pokonano, ale zwycięzcy szybko skoczyli sobie do gardeł i wtedy Karol zemścił się na szczególnie nielubianej Bułgarii. Zdobył południową Dobrudżę i wyrównał porachunki z południowymi sąsiadami.

Niemcy i Austria zaczęły dbać o pozyskanie Rumunii i Bułgarii dla swojego sojuszu wojskowego. Gdy w końcu I wojna światowa wybuchła, Karol chciał poprzeć państwa centralne. I wtedy po raz pierwszy zderzył się ze skutecznym oporem klasy politycznej. Rumuńscy politycy i elity byli tak mocno przyzwyczajeni do kultury francuskiej, że wszelkie wystąpienia przeciwko Paryżowi uznano za coś nie do pomyślenia. Karol, który zmierzał już do schyłku życia, przeżył to jako gorzkie osobiste upokorzenie. 14 października 1914 r. zmarł w swoim ukochanym pałacyku w Sinai. Zdjęcia poświęcone jego pogrzebowi wypełniają całą osobną salę na wystawie. Rumuni żegnali twórcę swojego państwa, który przed śmiercią przeżył tak gorzkie rozczarowanie. Jego następca Ferdynand I wejdzie do wojny w 1916 r. po stronie aliantów.

W zameczku w Sinai zajrzałem do muzealnego sklepiku. Mimo że rumuńska dynastia panująca liczyła tylko czterech władców, liczba albumów, książek i pamiątek po Hohenzollernach-Sigmaringen budzi podziw. Sinaia jest miejscem pielgrzymek licznych miłośników monarchii z całego kraju. Nic dziwnego. Ostatni król rumuński Michał I zmarł raptem niespełna półtora roku temu, 5 grudnia 2017 r., w wieku 96 lat. Po upadku Rumunii były nawet plany, aby powrócił na tron, ale dominujący przez lata 90. w polityce postkomuniści zablokowali takie inicjatywy.

Królewski pogrzeb wyraźnie pokazał, jak silnym elementem tożsamości Rumunów jest tradycja królewska. Nad jego trumną w czasie uroczystości pogrzebowych w Bukareszcie wisiał portret założyciela dynastii Karola I. Królowi Karolowi poświęcone są popularne książki dla dzieci, które przypomniały mi nasze książeczki o Piłsudskim dla najmłodszych. A centrum tego kultu – pałacyk w Sinai – przeżywa całoroczne oblężenie turystów chcących obejrzeć ten symbol rumuńskiej epopei królewskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Karol I – twórca współczesnej Rumunii" czynna była do 27 października 2019 r.

eprasa.pl cca2dcaa5c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl cca2dcaa5c

1933 r. / Uderzenie na Niemcy miało zapobiec wojnie

Wojna prewencyjna z Hitlerem

Marszałek Piłsudski opuszcza w towarzystwie kpt. Lepeckiego Zamek Królewski, siedzibę prezydenta FOT. NAC

Maciej Rosalak

Tuż po dojściu Hitlera do władzy w umyśle Piłsudskiego zrodził się zamysł wojny prewencyjnej przeciw Niemcom. Był to przejaw polityki realnej

O tym, że Józef Piłsudski potrafił trafnie przewidzieć rozwój wydarzeń, wspominają liczni świadkowie. Oto kompletnie dziś zapomniany u nas pisarz rosyjski i historyk Dmitrij Mereżkowski (1865–1941), który musiał ratować się ucieczką z bolszewickiej Rosji do Polski, przeprowadził wywiad z Józefem Piłsudskim. Wspominał, że zaczął rozmowę po francusku, lecz Piłsudski przeszedł na rosyjski. Mereżkowski był oczarowany wizytą: „Darem serdecznej wyobraźni, darem »intuicji«, »jasnowidztwa«, które Mickiewicz mieni naczelnym darem szczepu słowiańskiego, włada Piłsudski w takim stopniu, jak nikt z polityków obecnej chwili…".

A Mereżkowski, również mistyk i wizjoner, w Polsce znany był też z powiedzenia: „Rosja jest rodzaju żeńskiego, ale nigdy nie miała męża. Zawsze była tylko gwałcona – przez Tatarów, carów i bolszewików. Wyłącznie Polska mogła zostać mężem Rosji, ale Polska była za słaba". Cóż, Piłsudski, który również był wizjonerem i uważał, że Polska jest skazana na wielkość, stąpał przy tym twardo po ziemi. Zamysł wojny prewencyjnej wraz z Francją przeciw Niemcom, który zrodził się w jego umyśle tuż po dojściu Hitlera do władzy, można byłoby oczywiście nazwać „darem intuicji i jasnowidztwa", ale był zarazem przejawem polityki jak najbardziej realnej. A „żenić się z Rosją" bynajmniej nie zamierzał…

Emisariusz pierwszy

Poważni historycy na ogół podzielają zdanie, że głównym powodem dokonania przez Józefa Piłsudskiego zamachu majowego w 1926 r. było rozchwianie naszego systemu parlamentarnego, które po konferencji w Locarno (październik 1925 r.) zwiększało grozę osamotnienia Polski w obliczu agresywnej polityki Niemiec. „Na pewno złamał konstytucję, ale zapewne ocalił państwo" – tak oceniają działanie Marszałka. Dodajmy, że rychło nastąpiło zwycięstwo nad Niemcami, i to na polu, wydawałoby się, Naczelnikowi zupełnie obcym, bo gospodarczym. Właśnie po 1926 r. bierzemy górę w na-

eprasa.pl cca2dcaa5c

rzuconej nam (1925) wojnie celnej. Dzięki skutecznemu finansowaniu (minister Eugeniusz Kwiatkowski!) szybko rosną miasto i port w Gdyni, a magistrala węglowa omija granice niemieckie. Akurat rośnie też popyt na węgiel, bo (odważnemu szczęście sprzyja!) spada wydobycie w kopalniach brytyjskich.

Natomiast w czerwcu 1932 r. Marszałek wydał rozkaz niemal bojowy: niszczyciel ORP „Wicher" ma towarzyszyć trzem niszczycielom brytyjskim podczas oficjalnych odwiedzin w Gdańsku! W razie gdyby władze Gdańska stawiały przeszkody lub w czymkolwiek ubliżyły banderze Polskiej Marynarki Wojennej, nasz okręt zbombarduje najbliższy budynek administracji gdańskiej w porcie. I oto „Wicher" wpłynął z redy do portu, zacumował obok Westerplatte, ale żaden afront go nie spotkał, mimo wcześniejszych protestów Wolnego Miasta Gdańska. Sygnał dotarł do zaniepokojonych stolic europejskich i miotającego się w bezsilnej wściekłości rządu w Berlinie: prawa i interesy Rzeczypospolitej muszą być respektowane!

Kolejną demonstrację zbrojną Marszałek zarządził już po dojściu Hitlera do władzy (30 stycznia 1933 r.): wzmocnić załogę Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte o 120 żołnierzy! Nastąpiło to 6 marca. Była to polska odpowiedź na wywiad kanclerza Niemiec dla „Sunday Times" z 12 lutego, w którym oświadczył, że korytarz pomorski musi być zwrócony Niemcom. Cztery dni po opublikowaniu tego wywiadu senat Wolnego Miasta Gdańska zastąpił policję portową policją podległą miastu. Reakcja polska przyniosła natychmiastowy skutek: 14 marca senat cofnął swoją decyzję, a 120 polskich żołnierzy mogło opuścić Westerplatte.

Obydwa wydarzenia uzmysłowiły Piłsudskiemu, że Niemcy działają jak zwykły chuligan, który staje się bezczelny, jeśli nie dostanie przy pierwszej agresji „w dziób". Błyskawicznie zidentyfikował Hitlera jako takiego właśnie chuligana, który zresztą nigdy nie krył się z programem podważenia porządku wersalskiego, zbrojeń i rewindykacji granic. Uznał, że im szybciej przetnie się ten rosnący wrzód, tym lepiej.

Sposobem obalenia Hitlera i wzięcia pod kontrolę niemieckiego potencjału zbrojeniowego miała być wojna prewencyjna, przeprowadzona wraz z Francją, z którą od 1921 r. łączył nas przeciwniemiecki z natury sojusz wojskowy. Francuskie poglądy w tym względzie sondował Jerzy Potocki. Jego misja przeprowadzona została z pominięciem kanałów dyplomatycznych, ale rozmawiał z szefem dyplomacji francuskiej Josephem Paul-Boncourem. Francuzi do wojny się nie palili, ale misja Potockiego została zauważona. Po Potockim z taką samą misją wyprawiono Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Jednocześnie pracownicy polskiej służby dyplomatycznej badali nastawienie Niemców do władzy NSDAP, ich sytuację ekonomiczną i oczekiwania (wiele się niestety po Hitlerze spodziewali).

Sam Marszałek obserwował natomiast 18 kwietnia w Wilnie wielkie pokazy wojskowe, a jednocześnie powstańcy śląscy urządzili paradę u siebie. Na marginesie manewrów wileńskich przypomnijmy, że na kresach północno-wschodnich, w III Okręgu Korpusu (z dowództwem w Grodnie) stacjonowały trzy dywizje piechoty (1, 19, 29) oraz aż trzy brygady kawalerii (Podlaska, Suwalska i Wileńska). W sąsiednim IX Okręgu Korpusu (dowództwo w Brześciu) były dalsze trzy dywizje piechoty (9, 20, 30) i Nowogródzka Brygada Kawalerii. Razem ze stosunkowo silnymi oddziałami artylerii, Obrony Narodowej, Korpusu Ochrony Pogranicza, dwoma batalionami pancernymi oraz Obszarem Warownym Wilno, stanowiło to przynajmniej piątą część naszych sił lądowych. Więcej nie miała wtedy jeszcze cała Reichswehra, która zresztą w Prusach Wschodnich dysponowała tylko jedną dywizją piechoty.

Adolf Hitler FOT. ARCHIWUM

Wydarzenia te zaniepokoiły posła niemieckiego w Warszawie Hansa Adolfa Moltkego, który 29 kwietnia raportował do swego MSZ o niebezpieczeństwie wojny prewencyjnej.

Zdecydowana postawa polskiego przywódcy zrobiła wrażenie na Hitlerze. Po rozmowie z posłem polskim Alfredem Wysockim (2 maja) – który to zasugerował – publicznie wydał uzgodniony z Warszawą komunikat, że pragnie utrzymania stosunków z Polską ściśle w ramach obowiązujących traktatów.

Tajny dekret

Wcześniej, bo 18 marca, podczas wizyty w Rzymie Mussolini przedstawił delegacji brytyjskiej w składzie: premier Ramsey MacDonald i szef dyplomacji John Simon, projekt paktu Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Projekt przewidywał m.in. możliwość zmian terytorialnych w Europie. Niepokoiło, że Francja przyjęła to pozytywnie, zapominając o zobowiązaniach sojuszniczych wobec Polski i Czechosłowacji.

Po tym właśnie wydarzeniu Marszałek przekazał w kwietniu Beckowi wytyczne dla posła Wysockiego rozmowy z Hitlerem w Berlinie. Bardzo ciekawe zdarzenie wspomina w swym „Pamiętniku" adiutant Piłsudskiego kpt. Mieczysław Lepecki. Po spotkaniach z ministrem Beckiem i prezydentem RP Mościckim tego dnia wieczorem Marszałek kazał mu przepisać arkusz papieru zapisanego niewyraźnie ręką Piłsudskiego, zatytułowany „Na wypadek wojny z Niemcami", niżej „Rząd Obrony i Jedności Narodowej". Był to projekt dekretu prezydenta dotyczący sformowania tego rodzaju rządu i ustalający nowe organy władzy wojskowej i cywilnej. Na oryginale było napisane: „Zgadzam się, I. Mościcki".

Lepecki oczywiście spełnił polecenie, ale zapytał, czy Hitler ma zamiar nas napaść. Marszałek odpowiedział: „Nawet gdybyśmy my na niego napadli, to też byłaby obrona". Piłsudski kazał Lepeckiemu zniszczyć kalkę, a akt włożył do małej kasetki stalowej, do której klucz stale nosił przy sobie. Następnie Piłsudski podpisał kopię tego dokumentu i kazał zawieźć ją do ministra Becka.

eprasa.pl cca2dcaa5c

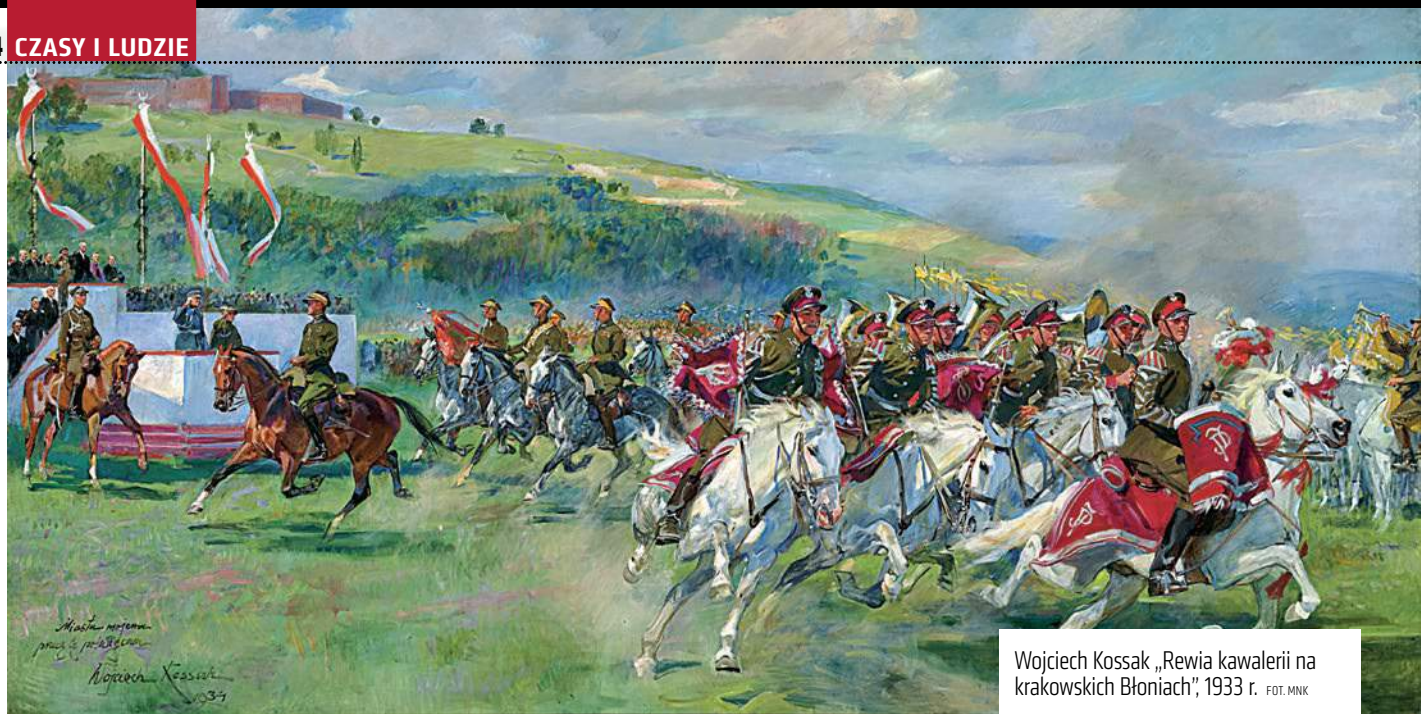

Wojciech Kossak „Rewia kawalerii na krakowskich Błoniach", 1933 r. FOT. MNK

Kazał przy tym adiutantowi wzią ze sobą żandarma, bo „licho nie śpi". Lepecki zawiózł dokument do MSZ i wręczył osobiście ministrowi spraw zagranicznych.

O sytuacji z przełomu kwietnia i maja 1933 r. pisał po wojnie do ministra Rządu RP na wychodźstwie Stanisława Sopickiego polityk znakomicie zorientowany, bo kanclerz Niemiec w latach 1930–1932 Heinrich Brüning. Oto fragment jego listu:

„Według informacji naszych czynników dyplomatycznych i wojskowych Piłsudski podjął wówczas kroki, aby wypośrodkować, czy Francja byłaby wówczas gotowa wywrzeć wspólnie z Polską nacisk wojskowy na Niemcy. Proszono mnie wówczas z naciskiem zarówno ze strony Reichswehry, jak i ze strony Auswartiges Amt o wykazanie w sposób energiczny Hitlerowi wielkości niebezpieczeństwa. Hitler sam prosił o taką rozmowę. Mowa, którą wypowiedział później w Reichstagu, szła w zapewnieniach w stosunku do rządu polskiego o wiele dalej, niż to było potrzebne, tym bardziej że już w dniu posiedzenia w Reichstagu nasze wiadomości otrzymane z Paryża mówiły, że Francja waha się, czy przyjąć propozycję Piłsudskiego.

Emisariusz drugi i trzeci

Na wtajemniczonych robił dziwne wrażenie fakt, jak szybko jeszcze wówczas był Hitler gotów ustępować, gdy musiał się obawiać ostrej akcji zagranicznej".

Marszałek traktaty zawierał, ale w ich trwałość nie wierzył, toteż w październiku w Paryżu przebywał Ludwik Hieronim Morstin, zaprzyjaźniony od czasów wojny 1920 r. z gen. Maxime Weygandem. Był to moment przełomowy. Akurat Niemcy opuściły konferencję rozbrojeniową i zapowiedziały wycofanie się z Ligi Narodów, ale nawet to i pośrednictwo Weyganda nie pomogły.

Nie pomogła też imponująca rewia kawalerii – brało w niej udział 12 pułków naszej jazdy! – urządzona 6 października na Błoniach krakowskich. Defilada przed Marszałkiem wypadła wspaniale, a kierował nią gen. Gustaw Orlicz-Dreszer. Ponieważ rewię urządzono z okazji 250-lecia odsieczy wiedeńskiej, zgromadzona generalicja z prezydentem RP i oczywiście samym Józefem Piłsudskim zeszła do krypt wawelskich. Marszałek wypowiedział przed trumną Jana III Sobieskiego znamienne słowa: „Przychodzę tu, aby w imieniu armii złożyć hołd królowi, który był wielkim wodzem i umiał odnosić zwycięstwa". Można by powiedzieć – przyszedł swój do swego po swoje…

A w Paryżu na pytania Piłsudskiego o to, czy w razie zaatakowania Niemiec przez Polskę Francja ogłosi powszechną mobilizację i czy ustawi swe wojska nad niemiecką granicą, rada ministrów, która dwukrotnie obradowała z udziałem prezydenta Alfreda Lebruna, udzieliła znów niejednoznacznych odpowiedzi zamiast jasnego przekazu: tak lub nie, jak oczekiwał Marszałek. Wyraźnie nasz sojusznik nie chciał brać udziału w wojnie prewencyjnej przeciw hitlerowskiej III Rzeszy, choć czas był jeszcze stosowny...

Zanim definitywnie pozbył się nadziei na wspólne wystąpienie z Francją, chciał Piłsudski mieć w kieszeni układ z Niemcami. Jednak dopiero 5 listopada zgodził się na rozmowy na temat zawarcia układu o niestosowaniu przemocy, udzielając takich instrukcji nowemu ambasadorowi RP w Berlinie Józefowi Lipskiemu:

„Powie Pan kanclerzowi, że został Pan zawezwany do Warszawy celem złożenia raportu Marszałkowi Piłsudskiemu. Marszałek przyjął Pana w obecności ministra spraw zagranicznych p. Becka i po wysłuchaniu Pańskiego sprawozdania polecił w swoim imieniu przedłożyć kanclerzowi Hitlerowi następujący tok myśli: Gdy rząd narodowosocjalistyczny przyszedł do władzy w Niemczech, wywołało to duże zaniepokojenie na arenie międzynarodowej i wydarzenie to zaczęto łączyć z możliwością poważnych konfliktów zbrojnych [...]. Marszałek, który nie poddaje się podobnym nastrojom... zaufał kanclerzowi i jego polityce. Nie poczynił żadnych zarządzeń obronnej natury. [...] Ostatnie decyzje rządu Rzeszy, na zasadzie których Niemcy wycofały się z Ligi Narodów, pozbawiły Polskę tego drugiego czynnika bezpieczeństwa [...]. W tych okolicznościach Marszałek jest zmuszony, jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo, rozpatrzyć sytuację. Nie pragnąłby obciążyć atmosfery między obu państwami przez zarządzenie w sensie wzmocnienia bezpieczeństwa

eprasa.pl cca2dcaa5c

polskiego. Przed uczynieniem tego Marszałek pragnie całkiem lojalnie postawić kanclerzowi Hitlerowi pytanie, czy nie widzi możliwości zrównoważenia w stosunkach polsko-niemieckich ubytku tego czynnika bezpieczeństwa".

Rozmowa Lipskiego z Hitlerem (15 listopada) otworzyła możliwość rychłego zawarcia układu o niestosowaniu przemocy. Zanim jednak do tego doszło, Piłsudski wrócił jeszcze do kontaktów z Francją poprzez służby wojskowe. Szef Oddziału II Sztabu Generalnego płk Koeltz pojechał z wizytą do Paryża, a francuski attaché wojskowy gen. d'Arbonnuau był na miejscu. Jednakże wysłał do Paryża kolejnego emisariusza i nadal wstrzymywał podpisanie układu z Niemcami. Daremnie.

Cóż było robić… Deklarację o niestosowaniu przemocy między Rzecząpospolitą Polską a III Rzeszą Niemiecką podpisano 26 stycznia 1934 r. Była ważna do roku 1944. Z kolei pakt o nieagresji z ZSRS, zawarty 25 maja 1932 r., a dwa lata później przedłużony, miał obowiązywać do 31 grudnia 1945 r.

Niemiecki stołek

Co Józef Piłsudski uczyniłby w 1939 r., gdyby jeszcze żył? – to jedno z najbardziej pasjonujących pytań z gatunku „Co by było, gdyby...". Często cytuje się powiedzenie Marszałka o dwóch stołkach. 7 marca 1934 r. marszałek Józef Piłsudski zaprosił do Belwederu byłych premierów, którzy pełnili swe funkcje po 15 maja 1926 r. Pytał ich, którego niebezpieczeństwa powinniśmy się bardziej obawiać: ze wschodu czy z zachodu? Kazimierz Świtalski tak zapamiętał tę chwilę: „Mając te dwa pakty, siedzimy na dwu stołkach – to nie może trwać wiecznie. Musimy wiedzieć, z którego spadniemy najpierw i kiedy". I dalej: „Komendant… oblicza, że dobre stosunki między Polską i Niemcami mogą trwać może jeszcze cztery lata ze względu właśnie na przemiany psychiczne, które dokonują się w narodzie niemieckim, za więcej lat komendant jednak nie ręczy".

Dodajmy cztery lata z małym okładem do roku 1934 – i wyjdzie nam data… przedstawienia przez Ribbentropa ambasadorowi Lipskiemu propozycji Niemiec z końca października 1938 r.: przyłączenie do nich Gdańska, eksterytorialnego korytarza pomorskiego, przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego.

Zresztą już w maju 1934 r. spośród 20 generałów ankietowanych w sprawie bezpieczeństwa państwa większość, bo 14, wyraziło opinię, że „Polska wcześniej znajdzie się w konflikcie z Niemcami, a nie z ZSRR". Powiedzeniem o spadaniu ze stołków Marszałek z właściwą sobie dosadnością celnie określił sytuację Polski. Nie dowierzał ani na jotę pokojowym frazesom Stalina i Hitlera, spodziewał się po nich złamania najbardziej uroczystych traktatów i zbrojnej napaści przy pierwszej okazji. Balans równowagi między obydwoma dyktatorami, umacnianie sojuszu z Francją i Rumunią, rozwijanie własnej armii – oto co pozostawało Polsce.

Troska ostatnich lat Piłsudskiego dotyczyła godziny prawdy w obliczu nieuniknionego napadu sowieckiego albo niemieckiego na nasz kraj, o bez porównania mniejszym potencjale przemysłowym i militarnym od każdego z agresorów.

Podpułkownik Kazimierz Glabisz, oficer do zleceń Marszałka, zanotował (wedle relacji złożonej w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku) jego następującą opinię: „Marzeniem Niemiec jest doprowadzić do kooperacji z Rosją – jak to za czasów Bismarcka. Dojście do takiej kooperacji byłoby naszą zgubą. Do tego dopuścić nie można. Mimo ogromnych różnic w systemach i kulturze Niemiec i Rosji trzeba stale pilnować tej sprawy. Na świecie powstawały już dziwniejsze sojusze. Jak przeciwdziałać? Zależnie od danej koniunktury: bądź nastraszeniem słabszego, bądź kolejnym odprężaniem stosunków. Gra będzie trudna, przy paraliżu woli i krótkowzroczności Zachodu oraz nieudania się moich planów federacyjnych".

Co uczyniłby w 1939 r.? Nie dowiemy się nigdy, ale przestrzegałbym przed modną ostatnimi laty teorią, że należało przyjąć ofertę Ribbentropa z końca 1938 r. i iść z Niemcami na Rosję. Rzekomo Piłsudski, sojusznik Niemców z I wojny światowej, byłby do tego skłonny. Tymczasem w rzeczywistości przed śmiercią ostrzegał przed nawiązaniem sojuszu z którymkolwiek z sąsiadów, co prowadziłoby do wasalizacji Rzeczypospolitej. Doskonale wiedziałby poza tym, że po korytarzu pomorskim Hitler zażądałby Śląska i Wielkopolski.

I na pewno nie zgodziłby się na to. Przypuszczam, że gdyby ten przenikliwy mąż stanu, cieszący się niekłamanym autorytetem w Europie, żył, to nie dopuściłby przede wszystkim do Monachium. Jeśli nie, to zamiast zajmowania Zaolzia, może przekonałby Czechów do wspólnej walki... Jeżeli nie, to wymusiłby od aliantów bardziej skuteczną pomoc w 1939 r. Opóźniłby wybuch wojny. A jeśli już, to ustawiłby armię i dowodziłby o niebo lepiej od pozbawionego wyobraźni strategicznej „Śmigłego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marszałek Józef Piłsudski oddaje hołd Janowi III w krypcie wawelskiej, 1933 r. FOT. NAC

eprasa.pl cca2dcaa5c

1895–1920 / Od skautingu do wyprawy kijowskiej

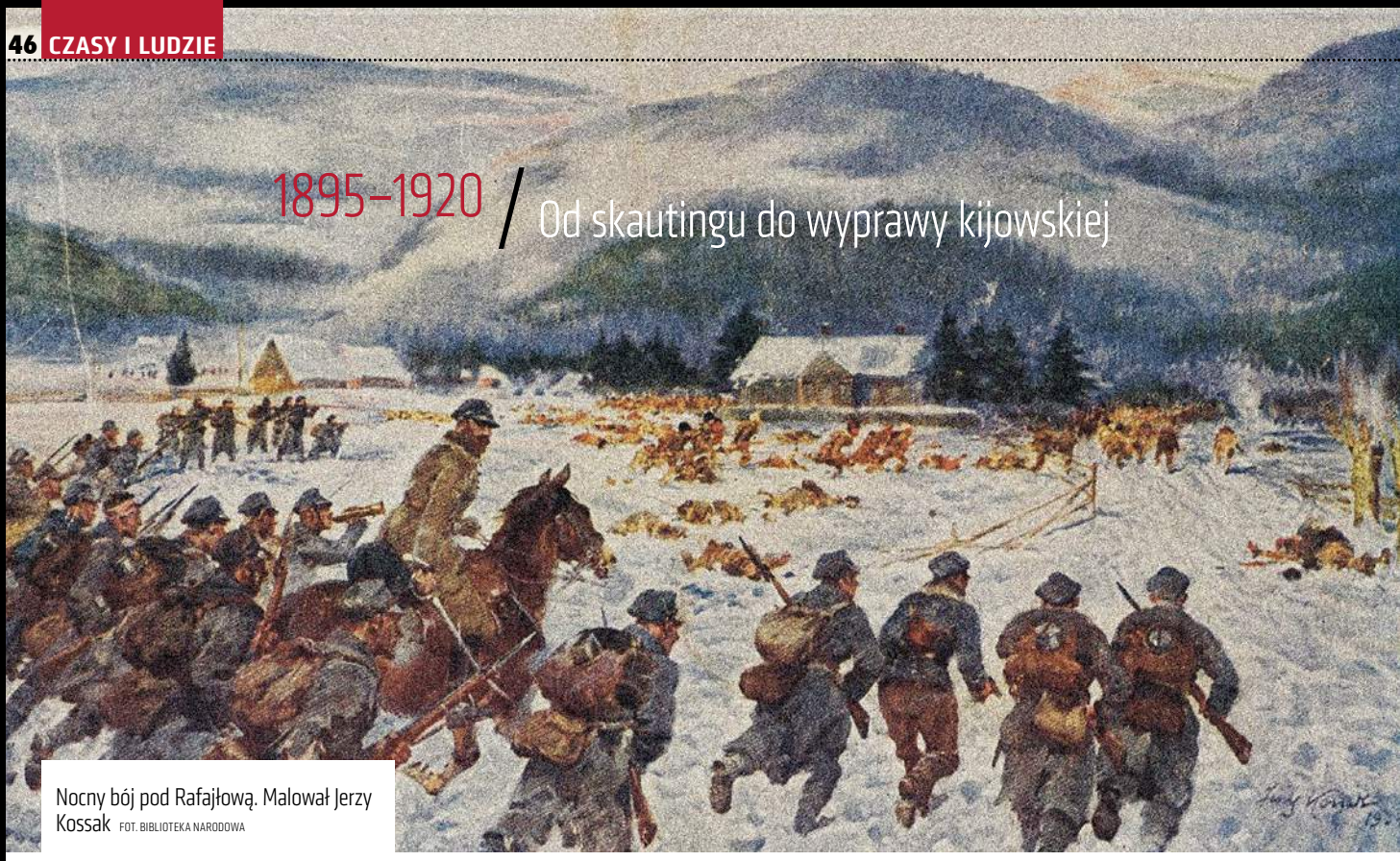

Nocny bój pod Rafajłową. Malował Jerzy Kossak FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wiking w Legionach

Marek Gałęzowski

Dzielny oficer szwedzkiego pochodzenia prowadził atak przeciw bolszewikom ze słowami: „Chłopcy, to nie do nas strzelają – nas się kule nie chwytają!”

Jego dwadzieścia pięć lat bytowania wśród żywych streszcza się pokrótce w tym, że urodził się w Polsce, był skautem w chłopięctwie, był żołnierzem za młodu, gdy Ojczyzna z martwych wstawała, a poległ w jej obronie, jak tylu, tylu innych. Wielkie są w swej zwyczajności dzieje młodzieńca polskiego w tych latach. Oto jest człowiek!” – tak podniośle pisał Eugeniusz Małaczewski o mjr. Bogusławie Szulu-Skjöldronie, dodając do tej charakterystyki i mniej pomnikowe, a bardziej ludzkie cechy autora najbardziej znanego w międzywojniu śpiewnika wojskowego: „Szul – namiętny zbieracz piosenek, dyrygent improwizowanych chórów, futbolista zajadły, dusza każdej zabawy żołnierskiej, nieróżniącej się od hucznych rozbrykanych zabaw sztubackich, a kończącej się zawsze śpiewem chóralnym, z całego gardła, »z życiem, panowie«, jak to się woła w mazurze, tańczonym tak, że szyby dzwonią i drzazgi z podłogi od hołubców lecą”.

W Żelaznej Brygadzie

Bohater naszej opowieści wywodził się ze szwedzkiej rodziny, z dawna osiadłej w Polsce. Był jednym z przedstawicieli pokolenia, które angażowało się

eprasa.pl cca2dcaa5c

w prace niepodległościowe przed I wojną światową od ławy gimnazjalnej. Absolwent III Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie, zbieracz owadów, harcerz i członek Polowych Drużyn Sokolich, był studentem pierwszego roku medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, kiedy wybuchła wojna.

Dołączył do 3. Pułku Piechoty Legionów, z nim związał wojenne losy i – jak uważał Edward Quirini – stał się dla pułku „postacią tej miary, co śp. [Leopold] Lis-Kula dla I Brygady". Szybko mianowany podporucznikiem w ciężkiej kampanii karpackiej wyróżnił się w bitwie pod Mołotkowem, gdzie został ranny. Męstwo okazane wkrótce pod Rafajłową w styczniu 1915 r. w niepodległej Polsce dało mu krzyż Virtuti Militari, a pamiątką karpackich bojów był wiersz Szula „Brygada żelazna, karpacka" (której to II Brygady 3. pp stał się częścią), wedle Quiriniego „pieśń odtwarzająca w sposób niezrównany, cudowny, niezmożonego ducha żołnierskiego karpackiej brygady".

Przez trudy i znoje, przez walk krwawych burze,
Z pogardą dla śmierci, wesoła, junacka,
Wciąż idzie niezłomna w krwi własnej purpurze
Brygada żelazna, karpacka.

Nie zmoże jej, póki podźwignie broń ramię,
Ni podłość moskiewska, ni buta krzyżacka.
W bój pójdzie zwycięski i wrogów przełamie
Brygada żelazna, karpacka.
[...]

I póty bojowych nie zwinie proporców,
I póty wytchnienia ni chwili nie zazna,
Aż wygna z Ojczyzny ostatnich zaborców
Brygada karpacka, żelazna.

W czasie trwającej od jesieni 1915 r. kampanii Legionów na Wołyniu Szul dowodził już kompanią. W czerwcu następnego roku, w czasie bitwy pod Gruziatynem, został ciężko ranny w szczękę. Do pułku wrócił po odejściu Legionów z frontu, w ostatnich dniach listopada 1916 r., a po kryzysie przysięgowym został przydzielony do Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Murmańczyk

W końcu października 1917 r. Szul znalazł się z korpusem na froncie, w pobliżu Rarańczy. Nie miał jednak wziąć udziału w wydarzeniu, które przyczyniło tak wielkiej chwały polskiemu orężowi. W końcu stycznia 1918 r. uzyskał urlop w celu dokończenia studiów i wrócił do Krakowa. Nie minęły trzy tygodnie, kiedy jego koledzy z dawnej II Brygady kulą i bagnetem zaprotestowali przeciw postanowieniom traktatu brzeskiego – oddaniu przez Niemcy i Austro-Węgry polskiej ziemi chełmskiej państwu ukraińskiemu – i przeszli pod Rarańczą na rosyjską stronę frontu.

Szul, zagrożony aresztowaniem, ukrył się najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie. Jednak jeszcze w lutym 1918 r. wyruszył potajemnie do II Korpusu na Wschodzie, którego trzonem stali się legioniści spod Rarańczy, a gen. Haller objął nad nimi komendę. Z Warszawy przyjechał do znajdujących się w pobliżu linii frontu Podwołoczysk. Stamtąd, omijając austriackie posterunki i „pełzając pod stojącymi na stacji wagonami", dotarł do Winnicy, gdzie znajdował się sztab III Korpusu Polskiego na Wschodzie. Odrzucił propozycję pozostania przy nim i – przeważnie pieszo, pokonawszy blisko 300 km – 16 kwietnia dotarł do rozlokowanego pod Kaniowem II Korpusu. „Trzeba było widzieć te błyszczące żarem wewnętrznej radości i zapału oczy Sławka Szula, gdy znalazł się znów między swemi" – wspominał gen. Tadeusz Malinowski.

Stanisław Szul-Skjöldrona

FOT. ARCHIWUM

Został mianowany kapitanem i objął funkcję adiutanta 15. Pułku Strzelców, którym dowodził inny legionowy oficer a dawny dowódca Szula – ppłk Józef Zając. Ciężka wędrówka spowodowała jednak, że młody oficer zapadł na zdrowiu i de facto powierzonej funkcji nie objął. Jako chory przebywał przy taborze pułku. Był w nim także 11 maja 1918 r., kiedy doszło do słynnej bitwy żołnierzy polskiego korpusu z wojskami niemieckimi pod Kaniowem. W chwili, gdy Niemcy odcięli tabor od reszty oddziałów polskich, Szul, chociaż nadal nie w pełni sił, zebrał znajdujących się w nim żołnierzy, przeszedł bagno i przedarł się z powrotem do pułku.

Po przegranej bitwie zdołał, tak jak wielu, uniknąć niewoli – z sześcioma ludźmi ominął konno niemiecką linię i przedostał się do Kijowa. Tam, nadal chory, leczył się do końca maja. W czerwcu udał się na północ, do Murmańska nad Morzem Lodowatym, gdzie właśnie w tym miesiącu zaczęto formować oddział złożony z polskich żołnierzy wcześniej służących w armii rosyjskiej. Droga wiodła przez Moskwę i Wołogdę. Nie była to wędrówka łatwa, bolszewicy bowiem rozstrzeliwali schwytanych żołnierzy polskich, co przejmująco opisał Małaczewski w opowiadaniu „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica". Sytuacja Szula była tym bardziej trudna, że bardzo słabo znał język rosyjski. Podróż minęła jednak bez przeszkód i 2 lipca nasz bohater był już na dalekiej północy Rosji, dołączając do polskiego oddziału w Murmańsku.

Jeszcze w lipcu wysłano go w misji wojskowej. Czy rzeczywiście w celu nawiązania łączności z gen. Lucjanem Żeligowskim, co było zadaniem niełatwym do wykonania, gdyż ten znajdował się na południu Rosji, czy – co bardziej prawdopodobne – do polskich organizacji działających jeszcze w Moskwie? Trudno przesądzić, zakończyła się ona zresztą niepowodzeniem. 26 lipca Szul został ujęty przez bolszewików w guberni ołonieckiej i posądzony o to, że jest brytyjskim szpiegiem – miał zostać rozstrzelany. Wieziony do Moskwy, wyskoczył z jadącego pociągu i przez tundrę Karelii, przeszedłszy pieszo 350 km, 10 sierpnia „ostatkiem sił dowlókł się do placówki angielskiej", skąd przewieziono go do Murmańska.

W październiku 1918 r. nasz bohater został szefem sztabu oddziału wojsk polskich w północnej Rosji – czyli tzw. murmańczyków. Młodego oficera, który objął tak odpowiedzialną funkcję, wspominał Zdzisław Chrząstowski: „To szef sztabu? Ależ to chłopię! – przemknęło mi przez mózg. I rzeczywiście, smukły, piękny, o świeżej jak panienka cerze, oficer

eprasa.pl cca2dcaa5c

Jan Skotnicki „Druga Brygada", 1915 r. FOT. MWP

stojący przede mną wyglądał zaledwie na lat dwadzieścia. Ale to chłopię miało już strzaskaną w boju szczękę, o czym świadczyła podłużna blizna, biegnąca przez policzek i podbródek, spod śmiało zakreślonych brwi oczy harde, nieustępliwe, prometejskie przeszywają przybysza na wylot".

Z Błękitną Armią

W grudniu 1918 r. Szul objął dowództwo polskiego garnizonu w Archangielsku. Wkrótce widzimy go jednak na czele Legii Oficerskiej, skupiającej oficerów nadetatowych, którzy mieli zostać skierowani do Armii Polskiej gen. Hallera. Do Francji płynął z taką opinią: „Wiadomości wojskowe: bardzo rozległe. W pełnieniu służby bardzo wzorowy, bardzo obowiązkowy, karny w stosunku do zwierzchników, racjonalnie wymagający spełnienia swych obowiązków od podwładnych. Towarzysko wyrobiony. Koleżeństwo pojmujący bardzo poważnie. Zachowanie się poza służbą: przykładne".

Dodajmy do tych cech stanowczy charakter. Przekonał się o tym wspomniany już Chrząstowski, kiedy zwrócił się do Szula o odkomenderowanie na front, poza chęcią służby w polu argumentując, że został odesłany do szpitala w przededniu przedstawienia go do Military Cross. „Jeśli nie wrócę, może mnie ten krzyż ominąć. Dwa znicze pod gęstą brwią zapaliły się i przebiły mnie pogardą jak sztyletem – Krzyż angielski? Więc po to się pan zaciągnął do wojska polskiego? Nam nie potrzeba kondotierów. Poza tym proszę się nauczyć dyscypliny. Żegnam" – odpowiedział Bogusław Szul.

Opuścił Murmańsk w połowie stycznia 1919 r. i udał się drogą morską do Francji, gdzie dotarł 21 lutego, „wychudły, z otwartą i ropi[ej]ącą wśród niewygód i mrozu dawną raną szczęki. Wygląda na nastrzępione młode orlę. Tylko oczy mu świecą po dawnemu" – wspominał gen. Malinowski. W Armii Polskiej został mianowany szefem Sekcji Wschodniej OSA (Odessa–Syberia–Archangielsk), oddając się z wielką energią pracy sztabowej, której poświęcał 18–20 godzin na dobę. Miał już opinię oficera o dużej wiedzy bojowej, a w jednej z ówczesnych opinii pisano, że „nadaje się na kierownika lub profesora w szkole ofic[erskiej], ze względu na zdolności wychowawcze, wiedzę wojskową i pojmowanie obowiązków oficera we właściwy sposób". Wysiłek, z jakim poświęcał się pracy wojskowej, szybko doceniono i 10 kwietnia 1919 r. Szul został mianowany majorem Sztabu Generalnego WP. Siedemnaście dni później był już w Polsce, nadal w sztabie armii Hallera.

Krótko po przyjeździe do kraju opublikował swoje poetyckie dzieło życia – zbiór wierszy i piosenek „Pieśni leguna tułacza", dedykowany gen. Hallerowi. Pierwsze piosenki Szul zaczął układać jesienią 1914 r. na froncie w Karpatach. Dotyczyły one różnych epizodów z życia pułku i toczonych walk. Były i takie utrzymane w poważnym tonie, z nutą tyrtejską [od elegii greckiego poety Tyrtajosa, wzywającego Spartan do obrony ojczyzny – przyp. red.], i lżejszego formatu, mające na celu rozweselenie żołnierzy. Nie tylko jednak tworzył własne utwory, lecz także zbierał wszelkie piosenki legionowe, „z zamiłowaniem chłopaka-skauta, układającego album z motyli. Umiał je wszystkie na pamięć ze słów i z melodii i zawsze obładowane miał nimi wszystkie kieszenie. Notował je na placówce w polu,

eprasa.pl cca2dcaa5c

na etapach całej tułaczki Żelaznej Brygady" – pisał Małaczewski.

Kolejne piosenki powstały po powrocie ze szpitala w końcu 1916 r., w Warszawie. Później tworzył je w Kijowie i Murmańsku, by dzieło swoje zamknąć w Paryżu. Tomik, liczący 217 utworów (w tym osiem pieśni patriotycznych z epoki porozbiorowej), pisany „tam, gdzie nie tylko pamięć, ale i atrament w kałamarzu na stole zamarza", ukazał się zapewne w drugiej połowie 1919 r. W niektórych piosenkach Szul uzupełnił luki, niektóre zmienił lub skrócił, „bo nie mogły wejść w pełnej postaci, by nie uraziły poczucia subtelnego wstydu społeczeństwa, gdyż żołnierz, dobierający słowa do swej piosenki, tak znów bardzo o to nie stoi".

Znawca twórczości żołnierskiej tego okresu Andrzej Romanowski pisał, że „tomik, zaopatrzony w nuty, stanowił najpełniejszy przegląd polskiej pieśni żołnierskiej okresu pierwszej wojny światowej; ze względu na pierwodruki popularnych utworów, np. anonimowej piosenki »Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani«, a także noty informacyjne, przedstawia do dziś znaczną wartość dokumentacyjną". Utwory Szula były następnie przedrukowywane w licznych antologiach w okresie międzywojennym. Niepublikowane w PRL, ponownie zaczęły być zamieszczane w antologiach poetyckich po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

25 października 1919 r. Szul został mianowany szefem sztabu grupy gen. Stanisława Napoleona Pruszyńskiego i wraz z nią w styczniu 1920 r. wziął udział w zajęciu prawobrzeżnej części Prus Zachodnich, przywracając władzę Rzeczypospolitej nad obszarami utraconymi w czasie I rozbioru. Generał Pruszyński taką oto wystawił opinię naszemu bohaterowi: „Charakter ustalony, energiczny, lecz z podwładnymi zanadto szorstki. Posiada wielką opinię o sobie, inteligentny i bardo pracowity. Spełnia służbę jeneralnego sztabu dobrze, jednakże musi się w niej wydoskonalić, co nastąpi, jak więcej rutyny nabierze i przez jakiś czas w szeregach wojskowych posłuży".

Nie minął nawet miesiąc, kiedy 5 lutego 1920 r. Szul na własną prośbę objął szefostwo Oddziału III oraz funkcję zastępcy szefa sztabu grupy gen. Wacława Iwaszkiewicza (od 23 marca 1920 r. – VI Armii) na Podolu. Niedługo pozostawał na stanowisku sztabowym. Kiedy w drugiej połowie kwietnia rozpoczęła się ofensywa przeciw bolszewikom na Ukrainie, został szefem I Batalionu 52. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, przydzielonego do 23. Brygady Piechoty.

Uczestniczył w działaniach pułku w rejonie Baru, m.in. w ostatnich dniach kwietnia w walkach pod Harmakami. 14 maja 1920 r. stanął na czele wydzielonej grupy, która miała prowadzić działania na lewym skrzydle 12. Dywizji Piechoty. Szczególnie zacięte walki grupa Szula stoczyła w nocy z 21 na 22 maja o Trościaniec, a tydzień później, w nocy z 29 na 30 maja – jak czytamy w opracowaniu autora historii 52. pp Tadeusza Pawlika – „przeszła bezzwłocznie w pościgu na Czetwertynówkę, zajętą również przez oddziały nieprzyjacielskie. [...] Bolszewicy zaskoczeni znienacka nie bronili się wcale, lecz ratowali się szybką ucieczką, korzystając z nocy".

Sukces Polaków okazał się krótkotrwały. Czerwonoarmiści szybko zdołali uporządkować swoje siły i wsparci świeżymi rezerwami rozpoczęli silne działania zaczepne, odpierane przez polskich żołnierzy „za pomocą szybkich, a gwałtownych przeciwuderzeń". Tego też dnia, 30 maja 1920 r., w czasie jednego z tych przeciwuderzeń pod Czetwertynówką, w walce wręcz z bolszewikami na bagnety, mjr Bogusław Szul-Skjöldrona został śmiertelnie ranny w głowę i brzuch. Pozostał na przedpolu i dopiero nieznany z nazwiska chłop ukraiński wyniósł polskiego dowódcę z pola bitwy, ułożył pod pobliską stodołą i zawołał do jego żołnierzy, by go zabrali. Odpowiedzieli na to dwaj strzelcy konni – kpr. Woźnicki i patrolowy Maciejewski, „którzy wywieźli przewieszonego na koniu ciężko rannego Szula" (Quirini). Był przytomny – a jak twierdzi ten sam autor – uśmiechał się jeszcze i pocieszał towarzyszących mu żołnierzy, żegnając ich przesłaniem, że tak właśnie chciał umrzeć, prowadząc do boju – dla Polski. Zmarł po dwóch godzinach w czasie drogi do Tulczyna (tego samego, który dawniej był siedzibą rodu Potockich).

Pośmiertnie mianowano go na stopień podpułkownika Wojska Polskiego i odznaczono krzyżem Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych z dwoma okuciami, a później także Krzyżem Niepodległości. Za życia otrzymał Odznakę II Brygady, Krzyż Kaniowski i Krzyż Murmański oraz w czasie służby w Armii Błękitnej – pochwałę gen. Hallera.

W 1933 r. zwłoki Szula ekshumowano z cmentarza w Tulczynie i przewieziono do Warszawy, gdzie spoczął na Powązkach, w kwaterze legionowej A-5 na Cmentarzu Wojskowym. W jednym grobie ze swoimi kolegami z II Brygady – poległym pod Kaniowem kpt. Rudolfem Brandysem, mjr. Władysławem Gniadym i por. Józefem Mączką, jednym z najwybitniejszych poetów legionowych. Od 1935 r. był też patronem ulicy w Krakowie. Nazwę tę usunięto po wojnie z woli władz komunistycznych, nie przywrócono po 1989 r. i dziś nosi ona nazwę ul. Olszańskiej. Zamiast nazwiska polskiego oficera-poety, który to swoich żołnierzy prowadził przeciw bolszewikom słowami: „Chłopcy, to nie do nas strzelają – nas się kule nie chwytają", a w swojej drodze do Polski przeszedł pół Rosji, takie marzenie wyrażając wśród lodów Murmańska:

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi
Pod Obozierskiem lub w błotach Onegi,
Marznij nad Dźwinom lub moknij do woli
Na moście w Koli.
[...]

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chcę teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chcę wiele, tylko jedno wspomne
Życenie skromne:

Z pruskij korony już
zrezygnowałem,
Moge nie zaraz zostać gienerołem,
Tylko nam bilet daj, Boże łaskawy,
Stąd do Warszawy!

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl cca2dcaa5c

XIX w. / Polityczna poprawność rzutowana w przeszłość

Krwawe wojny amerykańskich gangów

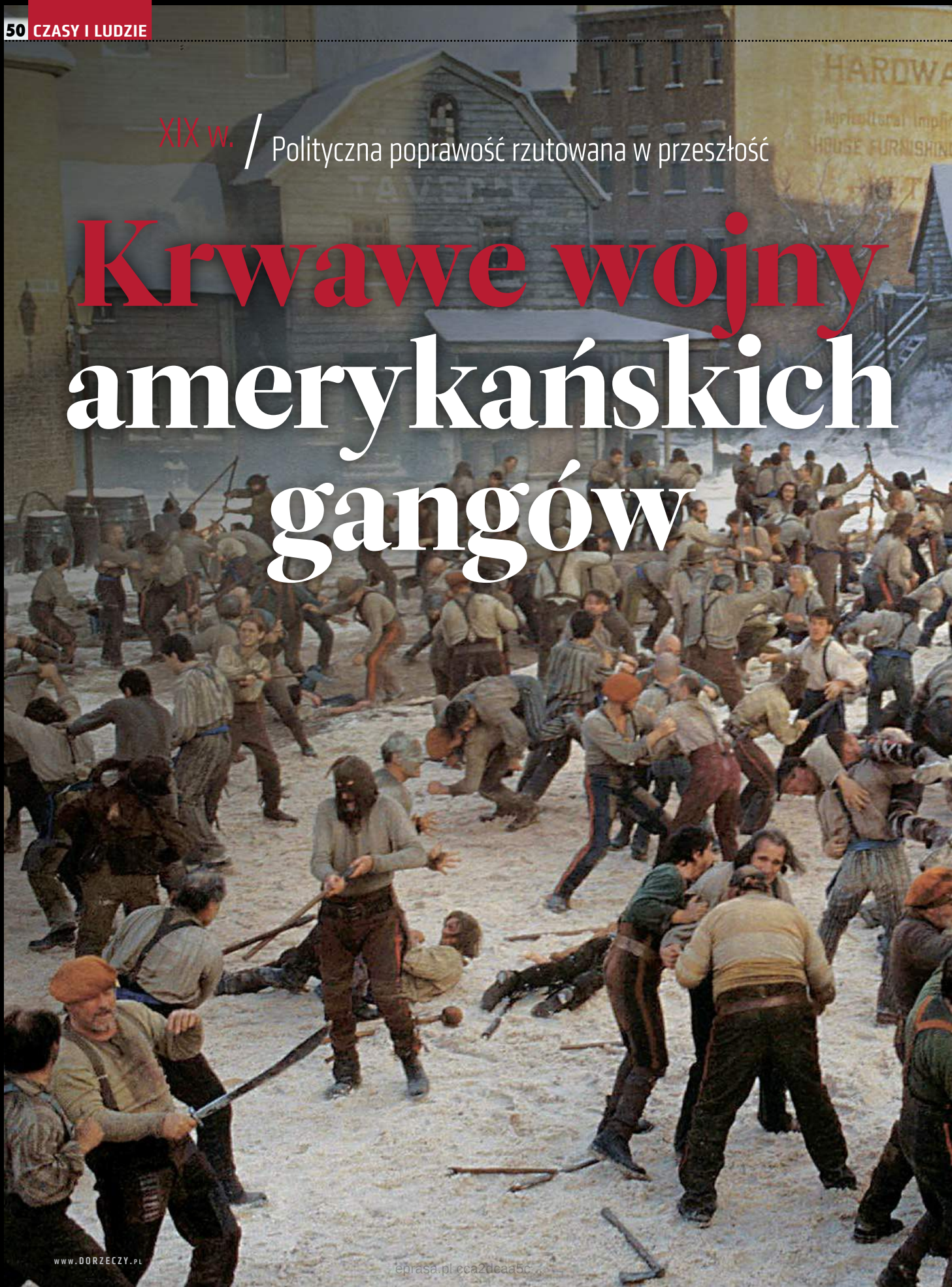

eprasa.pl cca2dcaa5c

Kadr z fimu „Gangi Nowego Jorku" FOT. FORUM

eprasa.pl cca2dcaa5c

Jakub Ostromęcki

Protestanci Anglosasi i katoliccy imigranci z Irlandii na pozór niczym się od siebie nie różnią: nóż i kastet dla wszystkich są tak nieodłącznym narzędziem jak dziś dla nas smartfon

Znakomitą kreację w filmie stworzył Leonardo DiCaprio

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Po premierze „Gangów Nowego Jorku" krytycy chwalili Martina Scorsese za barwny obraz życia dzielnicy Five Points z okresu wojny secesyjnej. Ów kwartał to mokry sen każdego miłośnika zjawisk z pogranicza multikulturalizmu i półświatka. Murzyni piją tu i tańczą razem z białymi. W niemal baśniowych kazamatach i piwnicach Starego Browaru mieszkają pospołu Chińczycy i Irlandczycy. Korupcja kwitnie. Kilkanaście lat po klęsce irlandzkiego gangu w wojnie z Anglosasami jego były członek zostaje stójkowym, którego głównym zadaniem nie jest dbanie o mienie i życie obywateli, ale ściąganie od nich haraczu w imieniu… swojego dawnego prześladowcy. Ekipy strażackie zamiast gasić pożar, biją się między sobą o pierwszeństwo i władzę nad hydrantami. Lokalny demokratyczny polityk robi interesy to z gangiem protestanckich Tubylców, to z katolickimi Martwymi Królikami, potrzebując wykidajłów do ochrony lokali wyborczych.

Nowy Jork

Część owej scenografii to zwykła konfabulacja i udramatyzowanie na pożytek kina. Historyk zajmujący się wojną secesyjną prof. Matthew Gallman zaznacza: „W filmie widzimy więcej Chińczyków, niż było ich wówczas w całym stanie". Pod budynkiem Starego Browaru, w którym mają swoją kryjówkę Irlandczycy, nie mogło być kazamat i tajemniczych piwnic, gdyż budynek postawiono na terenie, gdzie niegdyś znajdowało się jezioro zasypane w początkach stulecia odpadkami i gruzami. Nie mogło być tam też wielkich nieużywanych sal – nikt nie mógł pozwolić sobie na takie marnotrawstwo przestrzeni. Archeolog Rebecca Yamin dodaje: „Niemożliwe, aby walały się tam po podłogach ludzkie kości czy aby ktoś układał stosy czaszek".

Nowy Jork był faktycznie niebezpieczny. Historycy mówią o nim jako o najniebezpieczniejszym mieście ówczesnej cywilizacji zachodniej. Strażacy w Five Points rzeczywiście bili się między sobą i nawet zakładali beczki na hydranty, chcąc „zarezerwować" sobie rejon akcji, co precyzyjnie odtworzył Scorsese. Gawiedź chętnie oglądała nielegalne walki na gołe pięści czy szczucie terierów na szczury. Burdeli było tu co niemiara. Jednakże – jak stwierdza badacz dziejów miasta prof. Tyler Anbinder – „w całym Nowym Jorku zdarzało się ledwo jedno morderstwo na miesiąc", co przeczy tezom znanym z sensacyjnego reportażu Herberta Asbury'ego z 1927 r. o tym samym tytule co omawiany tutaj film. Five Points czy inne biedne dzielnice nie były aż tak patologiczne, skoro gnieżdżący się tam biedacy starali się oszczędzać każdy cent. Większość z nich miała pracę, choć kiepsko płatną.

W pierwszym szeregu irlandzkiego gangu Martwych Królików Scorsese stawia istnego upiora w spódnicy – Piekielnicę (Hellcat) Maggie. Kobieta ta ma spiłowane i zaostrzone zęby, a na palce zakłada pazury ze stali. Wrogów atakuje ze zwierzęcą furią, przegryzając im gardła. W czasie wolnym od starć z Tubylcami pracuje w spelunie jako bramkarz, odgryzając uszy pijanym i niewypłacalnym klientom.

Historia Nowego Jorku daje nam kilka przykładów niewiast, które stały się sławne w półświatku. Większość z nich pochodziła z Zielonej Wyspy. Nie jest to jednak dowód jakiejś szczególnej feminizacji irlandzkich gangów, ale w ogóle bandytyzmu powszechnego wśród imigrantów. Filmowa Piekielnica jest zlepkiem kilku kryminalistek, z których część to jednak element miejskich legend. Jedna z owych istniejących w rzeczywistości kobiet nazywała się Gallus Mag i rzeczywiście była ochroniarką w spelunach.

eprasa.pl cca2dcaa5c

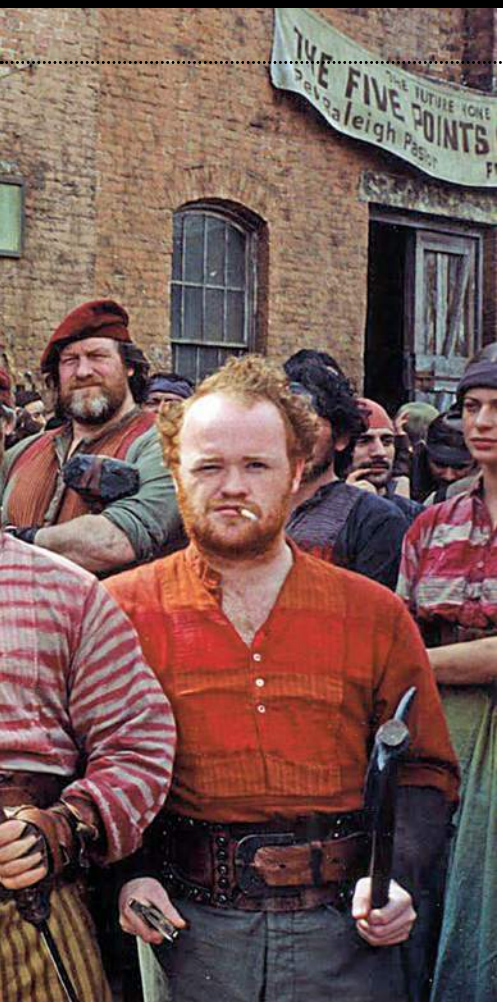

Awanturujących się klientów ogłuszała pałką, a potem odgryzała ucho.

Gangi i ich liderzy

Film rozpoczyna się od krwawego starcia dwóch gangów na opuszczonym targowisku. Tubylcy składający się z urodzonych w USA protestantów-Anglosasów stają przeciw Martwym Królikom – katolickim imigrantom z Irlandii. Na pozór antagoniści niczym się od siebie nie różnią: wszyscy jednakowo nisko cenią ludzkie życie, a nóż i kastet są dla nich tak nieodłącznym narzędziem jak dziś dla nas smartfon. Scorsese tak rozmieszcza akcenty, abyśmy wiedzieli, kto tu jest naprawdę zły. Tubylcy są rasistami. W ich szeregach są sami biali mężczyźni. W kolejnych sekwencjach filmu szydzą z nowojorskich poborowych, że „idą walczyć i ginąć za czarnuchów". Przypatrujący się tym scenom Murzyni zostają pobici. Szef gangu rzuca nożem w plakat z Lincolnem. Jedna z irlandzkich imigrantek zaraz po zejściu ze statku dostaje od gangu kamieniem w twarz.

Obrzydliwy jest również ich szef – William Cutting „Rzeźnik" grany przez niezawodnego Daniela Daya-Lewisa. Ów psychopata nie ma oka, które stracił w jakiejś bójce. Nie rozstaje się z cylindrem i z tego powodu ma wiecznie tłuste i przylegające do czoła włosy. Każe podawać sobie surowe steki. Ledwo czyta, a jego przemowy pełne są pseudopatriotycznych i rasistowskich frazesów. Rzeźnik sieje terror w całej dzielnicy. Zależy mu na zysku i na tym, aby „czarnuchy i imigranci zbytnio się nie panoszyli". Lubuje się w cięciu swoich wrogów tasakiem, który zawsze nosi przy sobie.

Co innego imigranci zrzeszeni w Martwych Królikach. Widz chętniej utożsami się właśnie z nimi dzięki osobie głównego bohatera. Młody Amsterdam Vallon to Irlandczyk, który będąc małym chłopcem, był świadkiem śmierci swojego ojca z rąk Cuttinga. Po wyjściu z poprawczaka młodzik zaczyna planować zemstę.

Martwe Króliki nie mają problemu ze wspólnymi tańcami i popijawami z Murzynami. Za sąsiadów mają Chińczyków. W szeregach gangu można dostrzec kobiety, co w myśl dzisiejszych politpoprawnych standardów powinno być odebrane bardzo dobrze. Jakże różny od obleśnego Cuttinga jest Vallon, szef irlandzkiego gangu. Grającego go Liama Neesona nikt nie charakteryzował na potrzeby filmu. Widzimy twardego, ale i sympatycznego faceta, którego wcześniej poznaliśmy w „Liście Schindlera".

Jak wynika z badań prof. Anbindera, bójki w Five Points nie były tak spektakularne i krwawe jak w filmie. Nikt nie spędzał tam całych dni na ostrzeniu specjalnych nakładek na buty czy szlifowaniu kastetów. Bito się na pięści lub pałki. Co prawda, szybko odkryto uroki broni palnej, ale po jednym z takich starć zrezygnowano z niej, widząc, jakie zbiera żniwo po obu stronach. Bójki nie miały również tła czysto kryminalnego. „Gangi nie walczyły na ulicach codziennie, nawet nie raz w miesiącu czy roku. Takie duże starcia jak w filmie były bardzo rzadkie. Nigdy też nie przybierały takiej ekstremalnej formy. Ludzie bili się w czasie wyborów. Czasem atakowali swoich przeciwników politycznych" – oświadcza Anbinder. „Spokojny dzień dziś. Tylko dwóch zabitych" – informował sarkastycznie jeden z nowojorskich dzienników z połowy stulecia właśnie przy okazji „kampanii wyborczej". Po owym gorącym okresie nastawał jednak długi czas spokoju.

Inspiracją dla Billa Cuttinga był znany nowojorski polityk i pięściarz zarazem William Poole. Filmowy lider gangu Tubylców tak daleko odbiega jednak od pierwowzoru, że scenarzysta Jay Cocks musiał asekurować się w wywiadach: „To nie żaden Poole. To Bill Cutting". Anbinder opisuje Poole'a tak: „Nie był żadnym przywódcą gangu. Był znanym Wigiem i polityka zajmowała go w dużo większym stopniu, niż to przedstawiono w filmie". Poole nie zajmował się ściąganiem haraczy ani szlachtowaniem tasakiem swoich wrogów. Był liderem natywistów czy – jak ich potem zwano

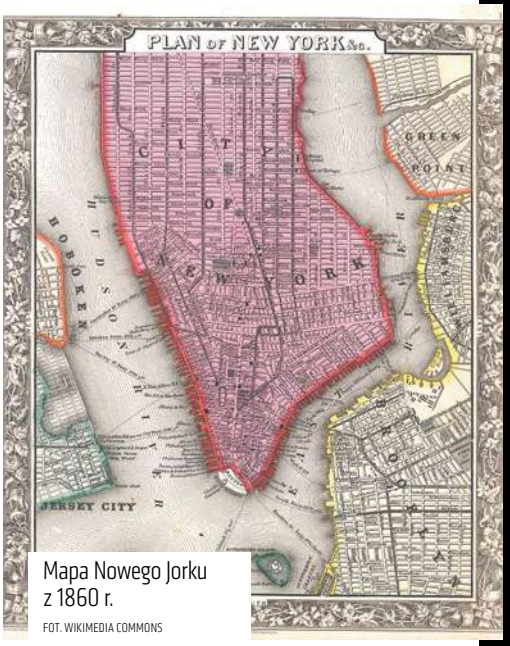

Mapa Nowego Jorku z 1860 r.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

– „Nic Niewiedzących". Przedstawiciele tego ruchu uważali, że największym zagrożeniem dla amerykańskich, czyli protestanckich, wartości są katoliccy imigranci z Irlandii i południa Niemiec – tylko w tej kwestii film zgadza się z historią.

Pamiętać trzeba jednak, że owe fobie miały niejakie podstawy, albowiem wśród przestępców i nałogowych alkoholików przybysze z Zielonej Wyspy mieli sporą nadreprezentację, a irlandzki arcybiskup Nowego Jorku John Hughes mówił wprost, iż jego celem jest nawrócenie całych USA. Natywiści z Północy byli w dużej części przeciwnikami niewolnictwa i po kilku latach wstąpili w szeregi

eprasa.pl cca2dcaa5c

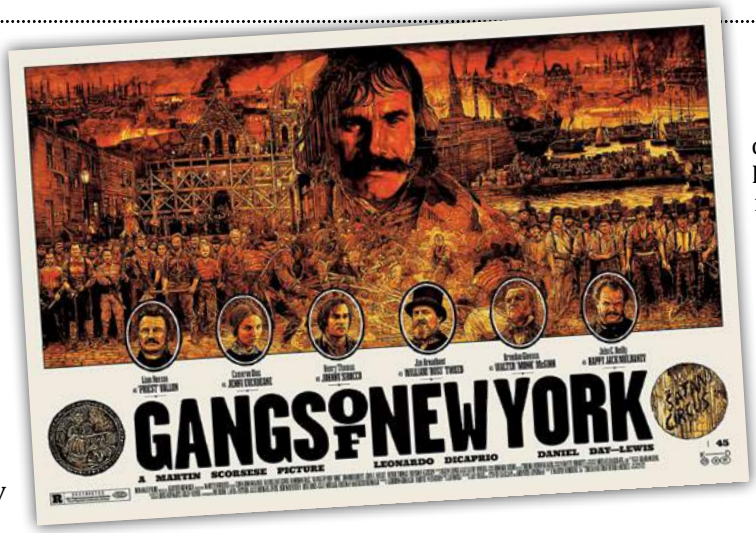

Partii Republikańskiej. Niepodobna zatem, aby szef nowojorskich „Nic Niewiedzących" trafiał nożem w plakat z Lincolnem czy rzucał się z pięściami na działaczy murzyńskich. Takie zachowanie pasuje właśnie do Irlandczyków.

Scorsese grubo przesadza z wybielaniem imigrantów. Anbinder zaznacza, że „większość bójek w dzielnicy Five Points zdarzała się między Irlandczykami". Ich rzekoma tolerancja, mająca jakoby być cechą wyzyskiwanej klasy niższej, to wierutna bzdura. W 1846 r. to właśnie Irlandczycy, będący wówczas w zdecydowanej większości elektoratem demokratów, głosowali masowo w referendum przeciw przyznaniu Murzynom równych praw wyborczych w stanie Nowy Jork.

James M. McPherson w swojej monografii wojny secesyjnej – „Battle Cry for Freedom" – podaje kilka przykładów haseł wyborczych i tytułów prasowych z gazet promujących demokratów 1860 r., adresowanych właśnie do Irlandczyków: „Czy chcielibyście, aby wasza córka poślubiła czarnucha?"; „Jeśli chcecie głosować ramię w ramię z bandą czarnych, jeśli chcecie popierać partię, która twierdzi, że Murzyn jest lepszy od Irlandczyka, jeśli jesteście gotowi dzielić swoje dziedzictwo z Murzynem… głosujcie na kandydata republikanów !"; „Zmieszanie się Afrykanów z pięknymi córkami Anglosasów, Celtów i Teutonów będzie wkrótce rzeczywistością pod rządami republikanów".

A zatem to nie żaden protestant i Anglosas Bill Cutting, ale abp Hughes przestrzegał poborowych wyruszających na front: „My, katolicy, i większość naszych dzielnych żołnierzy w polu nie mamy najmniejszej chęci prowadzić wojny kosztującej tak wiele krwi i pieniędzy, aby zadowolić klikę abolicjonistów".

Zamieszki poborowe

Prawdziwa erupcja nienawiści Irlandczyków wobec Murzynów to wydarzenia, które przeszły do historii jako zamieszki poborowe 1863 r. W wyobrażeniu Scorsese wojna gangów w Five Points jest procesem równoległym i w pewnym stopniu niezależnym od owych pogromów. W tle głównej akcji filmu widzimy narastające społeczne frustracje. Przedstawiciele imigranckiej biedoty są wściekli, że bogacze, głównie Anglosasi, mogą wykupić się od poboru za 300 dol., a walczyć i ginąć mają biedni. Bunt, który zrodzi się na fali owej frustracji, jest znakomitym pretekstem do krwawego rozstrzygnięcia spornych kwestii między Tubylcami a Martwymi Królikami, którzy po kilkunastu latach odrodzili się, by pomścić swojego szefa. W Five Points wybucha krwawa bójka, a w tym samym czasie tłum nowojorskiej biedoty rusza palić i demolować biura werbunkowe armii, atakuje i bije na śmierć bogaczy, którzy wykupili się od poboru. Na ulicy zostaje zlinczowany Murzyn. Ostatecznie zarówno walczące gangi, jak i zbuntowany tłum zostaną rozniesione pociskami wystrzelonymi z okrętów Unii stojących w pobliżu nowojorskiego portu, a następnie dobite przez piechurów.

Przebieg zamieszek według Scorsese do momentu nadejścia wojska wygląda podobnie jak w rzeczywistości. Oprócz linczów Murzynów i przedstawicieli klasy średniej niszczono też wozy strażackie i zabijano konie je ciągnące, „bo siedziby komisji poborowych i protestanckich gazet mają się palić, a nie być ratowane". Nie ostały się też maszyny do zamiatania ulic, „bo odbierają pracę". Nie jest jednak prawdą, że w tłum strzelała na oślep marynarka wojenna. Porządek na ulicach przywróciły pułki piechoty naprędce ściągnięte z frontu.

Jaka narodowość i opcja polityczna stanowią ową tłuszczę – tego już Scorsese nie wyjaśnia. A w dwóch trzecich byli to Irlandczycy, którzy w filmie są hołubieni. Co ciekawe, tylko niewielka część mieszkańców Five Point wzięła udział w zamieszkach. Agresywny tłum wywodził się z innych dzielnic.

Zamieszki w Nowym Jorku nie były jedynymi wybuchami nienawiści irlandzkiej biedoty przeciwko Murzynom. W 1862 r. tłum zaatakował czarnych, gdy ci nie przystąpili do strajku dokerów. W Brooklynie, który wówczas nie należał do Nowego Jorku, robotnicy, znów w większości irlandzkiego pochodzenia, zaatakowali fabrykę tytoniu, która zatrudniała czarnych.

Na pytanie o przyczyny wybuchu owej nienawiści Cocks odpowiada pytaniem: „A dlaczego było tak dużo biedy?". Z wyobrażeniem biedoty, która zmuszona jest ginąć za bogatych, rozprawił się jednak James McPherson. „Okręgi w Nowym Jorku z niskim dochodem na osobę miały praktycznie taki sam odsetek mężczyzn, którzy zapłacili (lub znaleźli zastępstwo), co te o wyższym bogactwie […]. W Ohio bardziej prawdopodobne było uniknięcie poboru przez robotnika czy farmera niż kogoś z białych kołnierzyków. Pod tym względem trudno mówić o walce biednych. […] W okręgach miasta Nowy Jork o najwyższej koncentracji irlandzkich imigrantów 98 proc. mężczyzn niezwolnionych ze służby w inny sposób opłaciło się lub znalazło zastępcę". Skąd biedni wzięli jednak owe astronomiczne 300 dol.? Ze specjalnych funduszy ubezpieczeniowych uruchamianych przez samorządy, stowarzyszenia związane z demokratami czy właścicieli fabryk, którzy składki potrącali od pensji. „Jakim rodzajem przymusowego poboru był pobór, po którym tylko 7 proc. wskazanych do niego rzeczywiście odsłużyło swoje? […] Jeśli można by sprawdzić wiek żołnierzy, to bardzo prawdopodobne, że jedyną znacząco niedoreprezentowaną kategorią byliby niewykwalifikowani robotnicy" – puentuje McPherson. W swojej monografii podaje on również dane wskazujące na… niedoreprezentowanie irlandzkich imigrantów w armii. Frustracje nowojorskiej biedoty były więc efektem niedoinformowania tudzież propagandy demokratów. Scorsese, kręcąc „Gangi Nowego Jorku", utrwalił te mity.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Bushidō / Niepisany kodeks postępowania

Kolorowane zdjęcie samurajów, lata 70.–90. XIX w. FOT. ARCHIWUM

Droga wojownika

Łukasz Czarnecki

Japońscy samuraje byli wierni ścisłemu kodeksowi honorowemu. Czasami tylko harakiri mogło uratować honor wojownika

Samuraje są najbardziej rozpoznawalnym na świecie symbolem Japonii. Ci dumni wojownicy władali swą ojczyzną, od XII stulecia aż do połowy XIX w. Ich postępowaniem kierował surowy kodeks etyczny – bushidō, czyli „droga wojownika". Kanony bushidō nie zostały nigdy jednoznacznie skodyfikowane. Nie istnieje żadna wielka księga zawierająca zasady, które obowiązywałyby wszystkich samurajów. W dawnej Japonii nie funkcjonował też jeden urząd wyznaczający reguły honorowego postępowania w całym archipelagu. Poszczególne klany wypracowywały własne kodeksy, których zasad przestrzegali ich członkowie.

Kiedy wraz z nadejściem XVII stulecia i supremacją szogunów z rodu Tokugawa zakończył się okres wojen domowych, pozbawieni zajęcia wojownicy chwycili za pędzelki i zaczęli przelewać swoje przemyślenia na papier. Zaroiło się w efekcie od rozpraw traktujących o tym, jak postępować winien idealny samuraj. Znudzeni szlachcice zaczytywali się więc w księgach, które uczyły ich zarówno codziennego postępowania, jak i odwagi na polach bitew. Problem polegał na tym, że w 90 proc. przypadków jedynymi starciami zbrojnymi, które dane było owym czytelnikom kiedykolwiek ujrzeć, były te przedstawiane na drzeworytach i parawanach.

Porzućmy jednak smętnych japońskich donkiszotów w czasach pokoju śniących na jawie o wojennych przygodach i przyjrzymy się, jakie były wymagania stawiane samurajom przez bushidō. Chociaż nie istniał jeden uniwersalny samurajski kodeks, to liczne były punkty, co do których panował ogólny konsensus.

Tak jest, mój panie

Japoński bushi (wojownik) przede wszystkim musiał być wierny swemu seniorowi. Zasada ta była fundamentalna – w końcu cały ład społeczny cesarstwa opierał się na drabinie feudalnych zależności. Jeśli dajmio (książę) nie mógłby być pewny swoich lenników, to ten uporządkowany świat pogrążyłby się w chaosie.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Nie była to bynajmniej wyłącznie teoria: historia Japonii dostarczała licznych przykładów zamieszania wywołanego przez zdradę. Wystarczy wspomnieć o wydarzeniach, które rozegrały się w trakcie krwawej 10-letniej wojny Ōnin (1467–1477). Podczas gdy wielcy feudałowie przez dekadę wyrzynali się na ziemiach otaczających stolicę, pozostawieni w domu wasale wypowiedzieli im posłuszeństwo i rozerwali domeny nieobecnych magnatów na kawałki, tworząc własne księstwa. Zaowocowało to upadkiem wielu dawnych rodów i trwającą przez następne sto kilkadziesiąt lat wojną domową, w której każdy walczył z każdym.

Chcąc uniknąć w przyszłości podobnych perturbacji, samurajska społeczność wpajała swym członkom zasadę absolutnej wierności względem seniora. Jeśli dajmio kazał skakać, jego lennicy mogli co najwyżej pytać, jak wysoko. Młodym samurajom bez końca opowiadano historie opiewające dawnych bohaterów, którzy ponosili śmierć w imię wierności suzerenowi.

Najsłynniejsza z owych opowieści była całkiem świeżej daty i dotyczyła zemsty 47 roninów (roninami nazywano samurajów, którzy utracili swego pana). W roku 1701 młody dajmio prowincji Akō skonfliktował się z marszałkiem dworu szoguna Kirą Yoshinaką. W czasie kłótni porywczy książę dobył miecza i zranił oponenta, za co został skazany na popełnienie seppuku, a jego włości podległy konfiskacie. Czterdziestu siedmiu spośród dawnych lenników upadłego feudała w konspiracji zaczęło przygotowania do zemsty. W grudniową noc 1702 r. wdarli się do posiadłości Kiry, zamordowali gospodarza, a jego odrąbaną głowę złożyli w darze przy grobie swego pana. Jako że ronini nie zgłosili wcześniej władzom chęci zemsty, do czego zobowiązywało ich japońskie prawo, sprawa znalazła finał w sądzie i zakończyła się skazaniem mścicieli na śmierć.

Co jednak miał począć bushi, jeśli rozkazy wydane przez dajmio kłóciły się z jego sumieniem lub narażały go na hańbę? Znawcy tematu byli co do tego zgodni: trzeba było spróbować łagodnie wyperswadować księciu jego kiepski pomysł. Jeśli magnat pozostawał głuchy na perswazję, to należało popełnić seppuku w nadziei, że samobójcza śmierć wasala zadziała na głowę klanu jak kubeł zimnej wody.

Samuraj popełniający rytualne samobójstwo (seppuku) FOT. WIKIPEDIA

Samuraj musiał być niesłychanie odważny; w końcu społeczeństwo wymagało od niego walki na polu bitwy i obojętności na odniesione obrażenia. Japońskie wojenne eposy opiewały niewzruszonych herosów, którzy, brocząc krwią z tuzina ran, nadal siali spustoszenie w szeregach wrogów. Do klasyki należy opowieść o samuraju, który trafiony strzałą w oko wyrwał ją sobie z oczodołu, nałożył na cięciwę i wypuścił z łuku ku nacierającej armii nieprzyjaciela. Historię tę możemy spokojnie włożyć między bajki, ale zarówno opowiadający ją starzy wojownicy, jak i słuchające ich młode wilczki brali ją zupełnie serio. Jak widać, bushi stawiali młodzieży niezwykle wyśrubowane wymagania.

Trening mistrza

Odwaga potrzebna była nie tylko na polu bitwy. Jeśli samuraj w jakiś sposób splamił swój honor, to wymagano od niego popełnienia samobójstwa. Cały problem polegał na tym, że za jedyny honorowy sposób zakończenia własnego życia klasa wojowników uważała rozcięcie własnego brzucha, czyli osławione seppuku. Niestety, dla delikwentów otworzenie jamy brzusznej jest niesamowicie bolesne, a będąca wynikiem takiej operacji śmierć przychodzi bardzo powoli. Własnoręczne wbicie sztyletu we własne ciało i rozoranie go tak, by na zewnątrz wypadły wnętrzności, wymagało niezwykłej determinacji i samokontroli. Co gorsza, jeśli samuraj popełniający seppuku choć raz jęknął z bólu, to uznawano go za skompromitowanego.

Istnieją ludzie heroiczni z natury, u większości jednak przedstawicieli naszego gatunku odwaga jest jak mięsień: by odznaczać się tą cechą, należy ją wytrenować. Jak zatem ćwiczyli hart ducha samurajowie? W czasach wojen domowych było to łatwe; prędzej czy później każdy młody bushi trafiał na pole bitwy i tam szybko stykał się z grozą wojny. Sprawa skomplikowała się w epoce Edo, kiedy w całym kraju panował pokój. Jak w takich warunkach trenowano odwagę młodego pokolenia? W sukurs przyszły... opowieści o duchach.

Popularną rozrywką wśród Japończyków żyjących pod rządami rodu Tokugawa stało się słuchanie historyjek o zjawach, upiorach i demonach. Gawędziarze chętnie zbierali się w domach i dzielili zasłyszanymi fabułami z gatunku horroru. Dostarczały one słuchaczom dreszczyku emocji urozmaicającego ich dość nudne codzienne życie. Opowiastek nigdy nie brakowało, gdyż sprytni wydawcy i autorzy, węsząc dobry interes, rzucali na rynek kolejne kompilacje opowiadań grozy.

Samurajowie również ulegli owej modzie (niektórzy badacze sądzą wręcz, że to oni ją zapoczątkowali), wykorzystując ją przy okazji do żmudnego dzieła edukacji nowych pokoleń bushi. Grupy młodych wojowników zbierały się nocą przy zapalonych lampionach i słuchały przerażających historii. Po puencie każdej z nich gaszono jedną lampę. Gdy cały seans dobiegł końca, jego uczestnicy zostawali w całkowitej ciemności sam na sam z płatającą figle wyobraźnią, dowodząc tym samym swojej odwagi.

Niestety, posiedzenia takowe nie zawsze dostarczały budujących przykładów. Istnieje anegdota mówiąca, że gdy pewna grupa bushi szykowała się do zgaszenia ostatniego lampionu, nagle w jego mdłym świetle młodzi wojownicy dostrzegli wielką dłoń spuszczającą się ku nim z sufitu. Przerażeni zerwali się na równe nogi i uciekli gdzie pieprz rośnie. Na miejscu pozostał tylko przewodniczący spotkaniu stary samuraj i zamachnąwszy się mieczem, przeciął... snującego swą nić pająka, którego to cień młodzieńcy wzięli za upiora.

Żądza chwały

Idealny samuraj winien żyć ascetycznie. Zasada ta wykształciła się pod wpły-

eprasa.pl cca2dcaa5c

wem popularnego wśród wojowników buddyzmu zen. Bushi winien wiedzieć, że to, co oferuje mu świat materialny, to nic niewarta ułuda, i zadowalać się jedynie rzeczami niezbędnymi do życia. W żadnym razie nie mógł poszukiwać bogactwa. Ba! Powinien się wręcz brzydzić pieniędzmi!

W okresie Edo rząd zakazał samurajom podejmowania jakiejkolwiek pracy zarobkowej. Nie mogli uprawiać własnoręcznie ziemi ani parać się rzemiosłem. Bushi żyć miał z pensji wypłacanej mu przez jego dajmio. Wszystko to wyglądało wspaniale, ale tylko w teorii. Epoka, o której mówimy, trwała wszak ponad dwa i pół wieku, a przez ten czas ceny w przeciwieństwie do samurajskich poborów bynajmniej nie stały w miejscu.

W XIX w. kryzys idei ascetycznego samuraja rzucał się w oczy. Wypłaty bushi ledwie wystarczały im na życie, a w wielu przypadkach nie pokrywały nawet kosztów podstawowych artykułów potrzebnych do egzystencji na wymaganym poziomie. W desperacji szlachta zaciągała ogromne długi u wzbogaconego w międzyczasie mieszczaństwa. Zadłużenie stanu samurajskiego rosło w zawrotnym tempie, a w pułapce kredytowej znaleźli się już nie tylko szeregowi wojownicy, lecz także sami dajmio! Tysiące bushi, nie chcąc umrzeć z głodu, łamało zatem zasady bushidō i zaczynało zajmować się rzemiosłem lub rolnictwem. Inni wżeniali się w kupieckie rodziny bądź adoptowali za pieniądze synów mieszczańskich tuzów. Piękna teoria całkowicie rozminęła się z praktyką.

Oprócz wierności suzerenowi, odwagi na polu bitwy i pogardy dla rzeczy materialnych idealnego samuraja cechować winna żądza chwały. Bushi miał poszukiwać na bitewnym polu sposobności do rozsławienia swego imienia. Należało przy tym jednak wystrzegać się pozbawionej sensu brawury: ktoś, kto przeszarżował i zginął głupio, bynajmniej nie cieszył się estymą i mówiono o nim, że zszedł z tego świata „psią śmiercią".

Najlepszym sposobem zdobycia chwały było pokonanie wymagającego i godnego przeciwnika, odrąbanie mu głowy i zaniesienie jej swemu dowódcy. Dlatego średniowieczne japońskie bitwy przypominały raczej indywidualną serię pojedynków niż zderzenie się dwóch armii. Wojownicy obu stron ruszali naprzeciw siebie, recytując głośno swoje rodowody, co miało ułatwić wzajemną identyfikację i dobór celów.

Japończycy dokonują egzekucji na chińskich jeńcach, 1894 r.

FOT. WIKIMEDIA COMMMONS

Ścięcie Leonarda Siffleeta, australijskiego żołnierza, 1943 r.

FOT. WIKIPEDIA

Dla średniowiecznego bushi nie było chyba większej hańby niż uznanie go za małowartościowego przeciwnika. Z samurajskiego punktu widzenia lepiej było zginąć na polu chwały, niż przeżyć dlatego, że zostało się zlekceważonym. W jednym z eposów wojennych możemy znaleźć opowieść o starym samuraju, który, bojąc się, że ze względu na wiek nie zostanie uznany przez żadnego z wojowników wroga za odpowiedniego przeciwnika, ufarbował sobie włosy tuszem. Zamierzony cel osiągnął, bo w trakcie bitwy został wyzwany na pojedynek i poległ honorową śmiercią. Jego adwersarz nielicho się później zdziwił, gdy chcąc oczyścić odrąbaną głowę z zakrzepłej krwi, włożył ją do strumienia, a wówczas „farba" puściła i na wodzie pojawiły się czarne smugi tuszu.

Przedstawiłem tylko cztery cechy, którymi według kodeksu bushidō winien odznaczać się idealny samuraj. Było ich rzecz jasna o wiele więcej, ale ograniczona długość artykułu nie pozwala na dokładne omówienie ich wszystkich. Zainteresowanych tematem odsyłam do książek brytyjskiego historyka wojskowości japońskiej Stephena Turnbulla i polskiej badaczki etosu samurajów Joanny Katarzyny Puchalskiej.

Samurajowie przez wieki starali się wypełniać wymagania swojego kodeksu. Jednym szło to lepiej, a innym gorzej. Każdy wojownik jednak miał przed oczyma ideał, do którego winien dążyć ze wszystkich sił, ideał, który sprawiał, że czuł się on o wiele szlachetniejszy i lepszy niż pozostali członkowie japońskiego społeczeństwa. I tu właśnie kryła się ciemna strona bushidō. O ile bushi starali się nim kierować we wzajemnych stosunkach, o tyle dla zwykłych zjadaczy ryżu nie mieli już ani trochę kurtuazji. Prawa epoki Edo jasno stanowiły, że jeśli chłop lub mieszczanin w jakikolwiek sposób, choćby krzywym spojrzeniem, obrazi samuraja, to ten ma prawo bezkarnie go zabić. I wielu wojowników ochoczo korzystało z tej prerogatywy.

Kiedy Japonia weszła na drogę modernizacji, duch bushidō znalazł nowe mieszkanie w szeregach jej wojska. Wychowywani w kulcie samurajskiego kodeksu honorowego japońscy żołnierze święcie wierzyli w maksymę głoszącą, że „obowiązek jest ciężki jak góra, śmierć lekka jak piórko". Indoktrynacja taka przemieniała rekrutów w fanatyczne maszyny do zabijania gardzące wszelką słabością. W efekcie w czasie II wojny światowej armia japońska dała się poznać jako bezlitosna siła, której żołnierze dopuszczali się licznych zbrodni i woleli zginąć, niż się poddać. Czego innego jednak można się było spodziewać, skoro japońscy piloci zamiast spadochronów zabierali ze sobą do kabiny samurajskie miecze?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

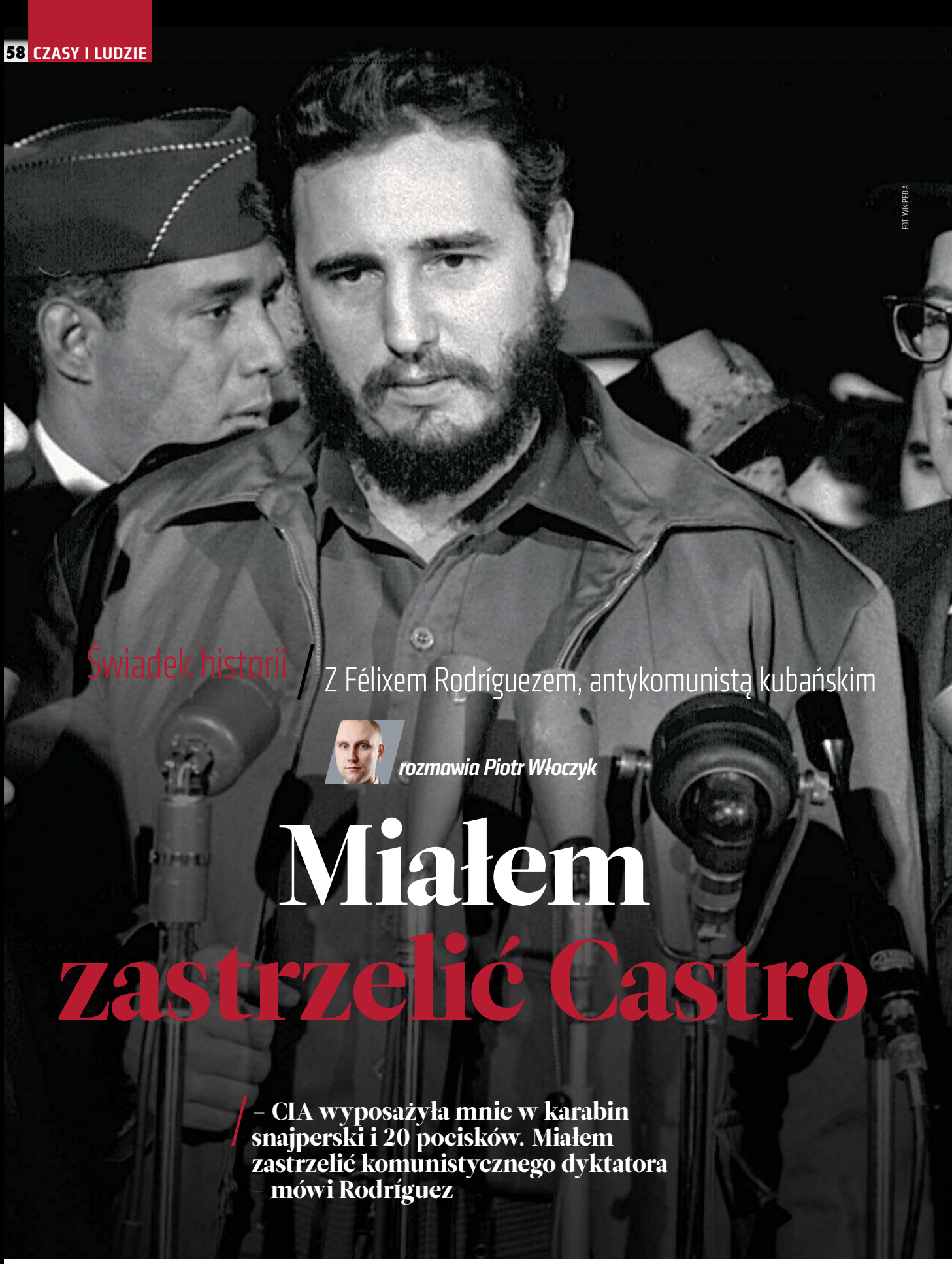

FOT. WIKIPEDIA

Świadek historii / Z Félixem Rodríguezem, antykomunistą kubańskim

rozmawia Piotr Włoczyk

Miałem zastrzelić Castro

– CIA wyposażyła mnie w karabin snajperski i 20 pocisków. Miałem zastrzelić komunistycznego dyktatora – mówi Rodríguez

eprasa.pl cca2dcaa5c

PIOTR WŁOCZYK: Tuż przed nieudaną inwazją w Zatoce Świń CIA zorganizowała operację, która miała się skończyć zabiciem Fidela Castro. To pan miał pociągnąć za spust. Jak wyglądał ten plan?

FÉLIX RODRÍGUEZ: Wszystko zaczęło się w grudniu 1960 r. w Panamie. Byłem tam szkolony do misji dywersyjnych przeciw reżimowi Castro. Wraz z kilkudziesięcioma innymi Kubańczykami miałem zostać przerzucony na Kubę kilka tygodni przed inwazją, by przygotować dla niej grunt wraz z lokalnym ruchem oporu. Przechodziliśmy wtedy w Panamie dodatkowe szkolenie w zakresie obsługi sowieckiej broni. Wraz z kolegą z jednostki rozmawialiśmy z przedstawicielem CIA o zabiciu Castro strzałem snajperskim. To rozwiązanie wydawało się najprostsze i było dla nas oczywiste, że znacznie skróci naszą walkę o wolną Kubę. Kiedy przylecieliśmy do Miami, dostałem potwierdzenie, że operacja została ostatecznie zaakceptowana. CIA wyposażyła mnie w doskonały karabin snajperski z potężną optyką i 20 nabojów. Do tego zadania wystarczyłyby jednak góra trzy pociski.

Co poszło nie tak?

Do tej pory nie znam odpowiedzi na to pytanie. Trzy razy próbowaliśmy się dostać na Kubę, ale z jakichś przyczyn lokalny ruch oporu nie był w stanie nas przejąć. Wszystko skończyło się niestety na trzeciej próbie przerzutu. Inwazja zbliżała się wielkimi krokami, więc plan zabicia Castro został zarzucony, a my wróciliśmy do przygotowań przeprowadzenia naszej misji dywersyjnej.

Jest pan pewien, że nie miałby pan problemu z naciśnięciem spustu, gdyby zobaczył pan w lunecie z bardzo bliska twarz Fidela?

Nie, nie miałbym z tym najmniejszych problemów. To nie był zwykły człowiek, tylko bezwzględny morderca, który niszczył mój kraj. Przez niego musiałem żyć poza granicami mojej ojczyzny. Bez wahania nacisnąłbym spust i posłałbym kulę w jego kierunku.

Skąd ma pan pewność, że zabicie Fidela na początku 1961 r. przyniosłoby wolność Kubie? Przecież wiemy, że w rezerwie zawsze był jego brat Raul, który objął w końcu władzę po śmierci Fidela…

Pamiętajmy, że mówimy o 1961 r. Cała władza na Kubie wisiała na Fidelu. Liczył się tylko on. Raul był nikim. Zabicie Fidela musiało się wtedy skończyć upadkiem jego reżimu.

Prób wyeliminowania „El Comandante" były podobno setki. Na ten temat powstał nawet film dokumentalny pt. „638 sposobów na zabicie Castro".

Proszę w to nie wierzyć, to głupoty. Tak naprawdę próbowano go zabić góra 10 razy. Te setki zamachów to wymysł Fidela Castro, który budował w ten sposób swoją legendę. To tylko jedno z wielu kłamstw kolportowanych przez komunistyczny reżim.

Kto był prezydentem USA, gdy zaczął pan swoją wojnę z Castro?

Kiedy to wszystko się zaczęło, prezydentem był Dwight D. Eisenhower. W 1959 r. poleciałem na Dominikanę, gdzie organizowana była Liga Antykomunistyczna Karaibów. To była pierwsza próba zniszczenia Castro we współpracy z prawicowym ruchem oporu na Kubie. Organizację tę stworzył dyktator Dominikany Rafael Trujillo. Pod jej skrzydłami organizowało się mnóstwo kubańskich żołnierzy, prawdziwych patriotów, którzy musieli opuścić kraj po wygranej Castro. Było oczywiste, że szykowała się wielka inwazja na Kubę, więc jak mogłem stać z boku i temu się przyglądać? Byłem młody, krew się we mnie burzyła. Musiałem polecieć na Dominikanę. Spędziłem tam kilka miesięcy, szkoląc się do walki z Castro.

Faktycznie był pan bardzo młody, bo urodził się pan w 1941 r. Na pewno miał pan już skończone 18 lat?

Cóż… Nie miałem (śmiech). Musiałem podrobić na wniosku wizowym podpis mojego ojca, bo bez tego nie mógłbym polecieć na Dominikanę. Zrobiłem to jednak przy ojcu. Wiedział o tym, ale sam nie chciał do tego przyłożyć ręki. Ojciec rozumiał moją motywację, ale bał się o moje życie.

Félix Rodríguez FOT. WIKIPEDIA

Dlaczego zamiast bawić się na prywatkach i cieszyć życiem licealisty, postanowił pan rzucić to wszystko i włożyć mundur?

Widok egzekucji w mojej ojczyźnie tak mną wstrząsnął, że nie mogłem żyć tak, jakby nic złego się nie działo. Niektórzy tak już po prostu mają. To było dla mnie najważniejsze na świecie. Moi rodzice nie byli bardzo zaangażowani politycznie, byli raczej skupieni na prowadzeniu swojego małego biznesu na Kubie. Co innego mój wujek – był senatorem i ministrem w rządzie Batisty. Kiedy Castro opanował Kubę, wyjechaliśmy do Meksyku. To tam zaczęliśmy nasze życie na emigracji. Potem przenieśliśmy się tam, gdzie trafiła większość antykomunistycznie nastawionych Kubańczyków – do USA.

Służył pan w Brygadzie 2506, która zasłynęła ze swojego udziału w inwazji w Zatoce Świń, a przez kilka lat był pan prezesem stowarzyszenia zrzeszającego weteranów tej jednostki.

To bardzo ważny rozdział mojego życia. Po przeprowadzce do Miami skończyłem szkołę średnią i złożyłem papiery na tamtejszy uniwersytet. Chciałem zostać inżynierem. W czerwcu 1960 r. dowiedziałem się jednak, że gdzieś w Gwatemali grupa kubańskich patriotów szykuje się do odbicia naszego kraju. Nawet sekundy się nie zastanawiałem. Musiałem do nich dołączyć, nauka mogła poczekać. Czekał mnie ciężki trening w gwatemalskiej dżungli. Dali nam tam niezły wycisk, ale nabyłem wtedy umiejętności, które przydawały mi się przez wiele lat podczas walki z komuną na całym świecie.

Skąd się wzięła tak nietypowa nazwa tej jednostki?

Od numeru pierwszego człowieka z brygady, który zginął. To było jeszcze podczas ćwiczeń. 2506 to numer, który został mu przydzielony podczas rejestracji. W brygadzie dostałem przydział do specjalnej grupy komandosów, którzy mieli zostać przerzuceni na Kubę kilka tygodni przed inwazją, by wesprzeć od wewnątrz tę wielką operację. Mieliśmy zbierać informacje

eprasa.pl cca2dcaa5c

Partyzanci „Contras" w Nikaragui FOT. WIKIPEDIA

na miejscu, organizować akcje dywersyjne, takie jak wysadzanie mostów, i wreszcie otworzyć drugi front w głębi kraju, który opierałby się na miejscowych partyzantach.

Na Kubę zostałem przerzucony wraz z 36 kolegami w lutym 1961 r., jakieś sześć tygodni przed inwazją. Otrzymaliśmy wielką pomoc od ruchu oporu na wyspie. Największą spośród tamtejszych organizacji antykomunistycznych stworzył oficer służący przez pewien czas w armii Castro, który szybko jednak stwierdził, że ta cała rewolucja idzie w stronę dyktatury komunistycznej i trzeba to powstrzymać. Jego organizacja miała ludzi na całej wyspie. Przerzucali nas z kryjówki do kryjówki, przyjmowali też w swoich domach w Hawanie. Wtedy jeszcze nie brakowało odważnych ludzi na Kubie.

Ostatecznie jednak nic nie wyszło z inwazji i Castro ugruntował swoją władzę. Co się stało z pańskim oddziałem?

Początkowo nasza misja przebiegała dobrze, ale kiedy doszło do inwazji, Castro wziął cały kraj za twarz. Trzeba przyznać, że był bardzo skuteczny. Powsadzał do więzień wszystkich, na których padł choćby cień podejrzenia o współpracę z antykomunistami. Castro zamienił całe stadiony i kina w więzienia. Sparaliżował nasze działania, a do tego Amerykanie nie stanęli ostatecznie za nami z całą swoją potęgą. Wycofali się w kluczowym momencie. To był bardzo gorzki koniec marzeń o wolności dla Kuby.

Przez całą wyspę przetoczyły się następnie straszne represje, egzekucjom nie było końca. Jak udało się panu wydostać z Kuby?

Kobieta, która się mną opiekowała, miała świetne koneksje w ambasadzie Hiszpanii. W ostatniej chwili uciekliśmy z jej domu w hawańskiej dzielnicy Vedado. Żołnierze właśnie wchodzili do tego rejonu stolicy i przeszukiwali dom po domu. Ukryłem się następnie w ambasadzie Hiszpanii, a stamtąd przewieźli mnie w samochodzie ambasadora do przedstawicielstwa Wenezueli. Nigdy nie zapomnę tego sprintu z auta do wejścia do ambasady…

Siedziałem w środku niemal pół roku, a w międzyczasie trwały negocjacje w sprawie naszego losu – wiele ambasad w Hawanie miało bowiem wtedy takich „gości" jak ja. 13 września 1961 r. wyleciałem zupełnie oficjalnie z Hawany do Caracas.

Co się stało z resztą pańskich kolegów?

Spośród 36 żołnierzy czterech zostało rozstrzelanych pod ścianą, a jeden zginął, broniąc się przed pojmaniem w swojej kryjówce. Dziewięciu zostało skazanych na 30 lat więzienia za szpiegostwo, ale w więzieniu spędzili ostatecznie 20 lat i zostali wypuszczeni z Kuby. Reszta tak jak ja ukrywała się w ambasadach.

Co pan w związku z tym wszystkim myśli o Johnie F. Kennedym?

To był bardzo młody, niedoświadczony prezydent, który podjął wtedy złą decyzję. Gdyby Amerykanie zdecydowali się na pełne wsparcie inwazji, to po kilku dniach reżim Castro zostałby zdmuchnięty jak domek z kart. Wiem, że J.F.K. żałował potem swojej decyzji. Kiedy w 1962 r. spotkał się z nami, weteranami Brygady 2506, wzruszony obiecywał nam, że niedługo sami wywiesimy w Hawanie kubańską flagę. Wciąż czekam na ten piękny dzień.

Śmiało można chyba powiedzieć, że walczył pan z komunizmem na całym świecie. Gdzie udało się panu zrobić na tym polu najwięcej szkód komunistom?

Ludzie generalnie kojarzą mnie najbardziej z mojego udziału w pojmaniu Che Guevary w Boliwii, ale myślę, że najwięcej problemów narobiłem czerwonym w Wietnamie w latach 1970–1972. Pomogłem wtedy m.in. w powstrzymaniu ostrzału Sajgonu. Zniszczyliśmy też sporo infrastruktury Wietkongu wokół tego miasta. To była mrówcza robota, ale narobiła mnóstwo strat czerwonym. Niestety, zdrowie nie pozwoliło mi kontynuować mojej misji w tym kraju do samego końca.

Dlaczego?

Kilka razy zostałem zestrzelony. Upadek helikoptera to nie jest przyjemna rzecz i odbija się na kręgosłupie. Po ostatnim strąceniu musiałem zostać ewakuowany i poddany specjalistycznemu leczeniu w USA. Ból nie dawał mi żyć.

W latach 80. pomagał pan też Contras z ramienia CIA. W USA wciąż nie brak ludzi, którzy potępiają zaangażowanie USA we wspieranie antykomunistycznych partyzantek w Ameryce Środkowej…

Contras robiło dobrą robotę, zwalczając siły, które chciały zrujnować Nikaraguę tak, jak zrujnowana została moja rodzinna Kuba. Prezydent Reagan starał się zwalczać komunizm na każdym polu – chwała mu za to, bo nie każdy przywódca Zachodu miał taką odwagę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Félix Rodríguez (ur. 1941 r.) – dzieciństwo spędził na Kubie. Był członkiem Brygady 2506, która dokonała nieudanej inwazji w Zatoce Świń. W 1967 r. został wysłany przez CIA do Boliwii, by pomóc boliwijskiej armii w ujęciu Che Guevary. Walczył też m.in. w Wietnamie i w Ameryce Środkowej. W latach 80. zaangażowany w operację uzbrajania nikaraguańskiej partyzantki antykomunistycznej.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

7 LISTOPADA 2019
GALA WRĘCZENIA NAGRÓD

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: PGNiG

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, GRUPA CEDROB, PZU, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska, Grupa HM Inwest S.A., Lagardère TRAVEL RETAIL

eprasa.pl cca2dcaa5c

Piotr Zychowicz

1939 r. / Recenzja książki „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera”

Oś Berlin – Warszawa

Sojusz z Polską odgrywał w strategicznych planach Hitlera wielką rolę. Niemiecki dyktator chciał, aby polskie dywizje wzięły udział w ataku na ZSRS

Ostatni minister spraw zagranicznych II RP płk Józef Beck był najważniejszą postacią w najnowszych dziejach Polski. I najprawdopodobniej najważniejszym Polakiem w dziejach Europy. Dlaczego? Ponieważ w 1939 r. przyszło mu podejmować decyzję, od której zależał los nie tylko Rzeczypospolitej, lecz także całego kontynentu.

Od decyzji Józefa Becka zależało bowiem, kiedy i gdzie rozpocznie się największy i najstraszniejszy konflikt zbrojny w dziejach ludzkości – II wojna światowa. Kto będzie się bił przeciwko komu.

Jak wiadomo, szef polskiej dyplomacji stał przed następującym dylematem.

• Mógł przyjąć ofertę sojuszu składaną mu przez Niemcy.

• Mógł odrzucić ofertę sojuszu składaną mu przez Niemcy. I związać się sojuszem z Wielką Brytanią i Francją.

Józef Beck wybrał opcję numer dwa. Jak się to skończyło, wie każde polskie dziecko. Rozwścieczony koszem, który otrzymał od Polaków, Hitler zawarł sojusz ze Stalinem. I obaj dyktatorzy zaatakowali Polskę. Gwarancje dane przez Wielką Brytanię i Francję okazały

RYS. KRZYSZTOF WYCZYKOWSKI

eprasa.pl cca2dcaa5c

się nic niewartymi świstkami papieru. Nasza ojczyzna została starta na proch, a miliony jej obywateli zostały eksterminowane.

Polska stała się największym przegranym II wojny światowej. Straciła połowę terytorium – na czele ze Lwowem i z Wilnem – oraz niepodległość na pół wieku. Naród polski został poddany deprawującemu wpływowi systemu komunistycznego. Konsekwencją decyzji Becka była więc największa katastrofa w dziejach naszego narodu. Katastrofa, której skutki odczuwamy do dziś. I odczuwać je będą kolejne pokolenia Polaków.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że polityka Becka wzbudza namiętne spory. Jest przedmiotem pasjonującej polsko-polskiej dyskusji. I równie pasjonujących rozważań alternatywnych. Czy gdyby Beck w 1939 r. podpisał pakt z Niemcami, udałoby się uratować Rzeczpospolitą od katastrofy? A jej mieszkańców ocalić przed hekatombą?

Obie strony debaty, zarówno apologeci, jak i krytycy ministra, z niecierpliwością czekały na ukazanie się książki dr. Krzysztofa Raka „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera". Jest to monumentalne dzieło naukowe, którego autor drobiazgowo przeanalizował dokumenty dyplomatyczne lat 30. I na tej podstawie zrekonstruował plany, które wódz III Rzeszy miał wobec Polski. A także dramatyczną polsko-niemiecką rozgrywkę, która doprowadziła do wybuchu wojny.

Krzysztof Rak na łamach książki powstrzymał się od formułowania własnych kategorycznych ocen polityki Becka. Ograniczył się do przedstawienia nagich faktów. Był to pomysł słuszny. Dzięki niemu to niezwykle fachowe i obiektywne dzieło może stanowić twardą podstawę do kolejnej odsłony dyskusji.

Adolf Hitler i Józef Beck, styczeń 1939 r. FOT. ARCHIWUM

Niestety, nie będzie to dyskusja równa. Apologeci polityki Józefa Becka znajdą się na pozycji przegranej. Książka dr. Raka zbija bowiem ostatecznie wiele uparcie powtarzanych przez nich argumentów.

To nie była pułapka

Pierwszy z argumentów obrońców Józefa Becka mówi o tym, że oferta sojuszu składana Polsce przez Adolfa Hitlera była pułapką. Przywódca narodowych socjalistów od samego początku planował bowiem rzekomo pożreć Rzeczpospolitą. Tyle że po kawałku. Osłabić jej opór poprzez skłonienie do zgody na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy. A następnie sięgnąć po Pomorze, Śląsk, Poznańskie i wreszcie całą Polskę.

Innymi słowy, Hitler szykował dla Polski taki sam los, jaki zgotował Czechosłowacji. W trakcie rozgrywki z naszym południowym sąsiadem kanclerz Rzeszy zaczął od postulatu odebrania Sudetów. Zaspokojenie tego żądania nie zaspokoiło jednak jego apetytu. W efekcie skończyło się na rozbiorze i stworzeniu Protektoratu Czech i Moraw.

Krytycy Józefa Becka – do których zalicza się autor tego artykułu – wskazywali, że analogia taka jest całkowicie fałszywa i że nie ma na nią żadnych dowodów źródłowych. A Polska w planach Hitlera odgrywała całkowicie odmienną rolę niż Czechosłowacja. Obrońcy ostatniego szefa dyplomacji II RP reagowali na to wzruszeniem ramion. Panie i panowie, jeżeli nie wierzyliście nam, to może uwierzycie dr. Krzysztofowi Rakowi. A konkretnie cytowanym przez niego dokumentom.

Z kolosalnego materiału źródłowego, który zgromadził badacz, wypływa wniosek nie do podważenia. Kanclerz III Rzeszy swoją ofertę sojuszu składał Polsce serio. Z uporem i konsekwencją zabiegał o przyjaźń z Polską przez pierwsze pięć lat swojego urzędowania. Od momentu przejęcia władzy aż do wiosny 1939 r. Niemal do końca kanclerz Rzeszy był pewny, że Polska będzie biła się u jego boku.

Wypływało to z dalekosiężnych, strategicznych planów Führera. Rzeczpospolita odgrywała w nich rolę kluczową. Do czego konkretnie Hitler potrzebował Polski? Do wojny. Zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Z tym że podczas tej pierwszej kampanii rola naszego kraju miała być bierna. W momencie ataku Wehrmachtu na Francję Polska miała zapewnić Niemcom „bezpieczne plecy". Czyli ogłosić neutralność i zadeklarować, że nie przepuści Armii Czerwonej przez swoje terytorium.

Zgodnie z planami Hitlera Polska miała włączyć się do II wojny światowej dopiero w drugiej fazie konfliktu. Czyli w momencie, gdy Niemcy uporałyby się z Francją i jej sojusznikami. Dopiero wówczas kanclerz III Rzeszy planował zaatakować Związek Sowiecki. I liczył na to, że polskie dywizje razem z Wehrmachtem pociągną na Moskwę.

Doktor Krzysztof Rak wskazuje, że Adolf Hitler początkowo nie zamierzał

eprasa.pl cca2dcaa5c

rozpoczynać wojny od ataku na Polskę. Pierwszą jego ofiarą miała być Francja. Decyzję zmienił dopiero wiosną 1939 r., gdy Józef Beck ostatecznie odrzucił jego ofertę i – ku zdumieniu oraz rozczarowaniu Führera – podpisał układ sojuszniczy z Wielką Brytanią.

Dopiero wówczas Hitler wydał rozkaz Wehrmachtowi, aby przygotował plan wojny z Polską. Wymarzony sojusznik Hitlera miał teraz stać się jego pierwszą ofiarą. Niemiecki dyktator o tym rewolucyjnym zwrocie mówił otwarcie i wielokrotnie. Między innymi podczas zamkniętych narad ze swoimi współpracownikami i z generałami. Krzysztof Rak odpisuje trzy takie narady, które odbyły się: 23 maja, 22 sierpnia i 23 listopada 1939 r.

Oddamy głos historykowi.

Hitler przyznał, że pierwotnie chciał najpierw zaatakować mocarstwa zachodnie, a dopiero potem ruszyć na Wschód – pisze Rak. – Realizacji tego strategicznego planu służyła polityka porozumienia z Polską, z którą sojusz zapewniłby mu bezpieczeństwo na flance wschodniej i pozwolił zaatakować mocarstwa zachodnie. Kiedy jednak Warszawa na przełomie marca i kwietnia 1939 r. zawarła alians obronny z Londynem, dla Hitlera było oczywiste, że Polska zaatakuje Niemcy, gdy te zdecydują się na wojnę z mocarstwami zachodnimi. A zatem wódz III Rzeszy po raz kolejny przyznał, że polityka ministra Becka zmusiła go do zmiany planów strategicznych. Został zmuszony do rozpoczęcia wojny od napaści na Polskę zamiast na Francję i Wielką Brytanię. [...] Hitler wskazał, że kluczowe znaczenie dla jego decyzji o kierunku pierwszego strategicznego ataku miała polityka Polski. A więc od relacji z Warszawą zależała najważniejsza decyzja, jaką Hitler podjął w swoim życiu.

Trudno o cięższe oskarżenie polityki Józefa Becka niż zacytowane wyżej słowa. Swoją nierozważną decyzją szef naszej dyplomacji skierował bowiem pierwsze potężne uderzenie III Rzeszy na Polskę. W momencie, gdy wszyscy inni przywódcy Europy robili wszystko, aby odsunąć od siebie groźbę wojny, aby za wszelką cenę zejść z linii pierwszego strzału, on wystawił Polskę na druzgoczący cios.

Tak, to na skutek decyzji Becka II wojna światowa zaczęła się od naszego kraju. To na skutek tej decyzji nasz kraj przestał istnieć już na samym początku globalnego konfliktu, a następnie przez długie sześć lat znajdował się pod okupacją.

KRZYSZTOF RAK „POLSKA – NIESPEŁNIONY SOJUSZNIK HITLERA”
BELLONA

Książka dr. Krzysztofa Raka obala więc popularny mit o „nieuchronności” wrześniowej klęski. Nie, historia wcale nie musiał się potoczyć dla nas tak fatalnie. Podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow i będący jego skutkiem IV rozbiór Rzeczypospolitej wcale nie musiały się wydarzyć. Mało tego, niemal do końca, bo do wiosny 1939 r., wszystko wskazywało na to, że II wojna światowa rozpocznie się z dala od naszych granic, a pierwsza krew poleje się nad Renem, a nie nad Wisłą.

Wszystko zmieniła niezwykle ryzykowna decyzja Józefa Becka o wejściu w sojusz z Wielką Brytanią. Państwem – dodajmy – które w 1939 r. nie miało ŻADNEJ realnej możliwości, aby przyjść z pomocą zaatakowanej Rzeczypospolitej. Niestety, jak dowodzi Krzysztof Rak, minister Beck nie zaprzątał sobie tym „drobnym szczegółem” głowy.

Polscy nordycy

Kolejny argument apologetów płk. Becka, który podważa książka Krzysztofa Raka, brzmi, jak następuje: „Sojusz z Niemcami był nie do pomyślenia z powodów ideologicznych. Hitler traktował Polaków jak słowiańskich podludzi”.

Okazuje się, że jest to nieprawda. Polski badacz pokazuje, że było dokładnie odwrotnie. Kanclerz III Rzeszy był bowiem wyznawcą poglądów prof. Hansa Friedricha Karla Günthera, nazywanego „papieżem rasy”. Ten kluczowy narodowosocjalistyczny ideolog dowodził zaś w swoich książkach – które Hitler czytał namiętnie i na których oparł swój rasowy światopogląd – że Polacy są przedstawicielami rasy nordyckiej.

A to znaczy, że ideologiczne podstawy koncepcji polityki zagranicznej Hitlera nie wykluczały a priori możliwości zawarcia sojuszu z Polakami jako Słowianami – pisze dr Rak. – Inaczej mówiąc, taki alians był do pogodzenia z hitlerowską koncepcją rasową. [...] Można zatem przypuścić, że gdyby Polacy zdecydowali się na udział w niemieckiej krucjacie wschodniej, to okazałoby się, że byliby oni przedstawicielami rasy nordyckiej. Zapewne nie tak doskonałego gatunku jak Niemcy, ale jednak. [...] Hitler na poważnie myślał o sojuszu z Polską i miał dlań nawet rasowe uzasadnienie.

Do tego argumentu warto dodać jeszcze jeden. Otóż sojusznikami Niemiec podczas II wojny byli: Słowacy, Bułgarzy i Chorwaci. I jakoś ich słowiańskie pochodzenie niemieckiemu dyktatorowi nie przeszkadzało.

Piątka Becka

Niezwykle ciekawe są fragmenty książki poświęcone polskiej sytuacji międzynarodowej w latach 20. i na początku lat 30. Otóż sytuacja naszego państwa była wówczas katastrofalna. Wynikało to z pięciu powodów:

1. Skrajnie wrogiej polityki Republiki Weimarskiej wobec Polski, której celem było odzyskanie przez Niemcy Pomorza i innych terytoriów utraconych na mocy traktatu wersalskiego.
2. Wasalizacji Polski wobec Francji.
3. Podpisanego w 1922 r. układu w Rapallo, który zaciskał wokół naszego kraju straszliwe szczęki sowiecko-niemieckiego okrążenia.
4. Podpisanego w 1925 r. układ w Locarno, w którym mocarstwa Europy gwarantowały nienaruszalność granicy francusko-niemieckiej, a kwestię rewizji granicy polsko-niemieckiej postawiły jako otwartą.
5. Wysuniętej na początku lat 30. przez Paryż i Londyn koncepcji, aby oddać Berlinowi „korytarz” oddzielający Prusy od reszty Niemiec. Czyli polskie Pomorze.

Jak widać, na początku lat 30. sytuacja Polski stała się już nie tyle katastrofalna, ile rozpaczliwa. Wtedy właśnie w Niemczech wybory wygrał Adolf Hitler. I jako świeżo upieczony kanclerz wywrócił stolik.

Ku zdumieniu całej Europy 26 stycznia 1934 r. Berlin podpisał z Polską układ o nieagresji, który Krzysztof Rak nazywa słusznie największym sukcesem polskiej dyplomacji lat 30. Układ ten nie tylko był rewolucją w europejskim układzie sił, lecz także miał dla Rzeczypospolitej wręcz zbawienne skutki. Likwidował bowiem WSZYSTKIE pięć wymienionych wyżej punktów.

1. Skrajnie wroga wobec Polski polityka Republiki Weimarskiej została zarzucona na rzecz uprawianej przez Hitlera polityki polsko-niemieckiego odprężenia.
2. Polska przestała być wasalem Francji.
3. Hitler zerwał antypolską współpracę z Moskwą.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Józef Beck wita Joachima Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych Niemiec, na dworcu w Warszawie, styczeń 1939 r. FOT. NAC

4. Hitler zerwał z duchem Locarno.

5. Hitler odrzucił propozycję Paryża i Londynu, aby okroić Polskę. Widział w niej bowiem sojusznika, a nie wroga.

Wszystko to sprawiło, że Rzeczpospolita z dnia na dzień stała się podmiotem, a nie przedmiotem europejskiej polityki. Permanentne zagrożenie wojną na dwa fronty wreszcie przestało wisieć nad Polską jak miecz Demoklesa. Przestała również istnieć groźba, że Francja i Wielka Brytania dogadają się z Niemcami kosztem polskiego terytorium.

Wykańczający II RP gospodarczo i politycznie stan zimnej wojny z zachodnim sąsiadem przeszedł do historii. Polska stała się potężniejsza.

Decyzja o odprężeniu z Warszawą – pisze Rak – związana była z rezygnacją przez Berlin z dwóch fundamentalnych zasad dotychczasowej polityki: rewizjonizmu, wspieranego przez mocarstwa zachodnie, i strategicznej współpracy z Moskwą. Była więc pełnym zwrotem strategicznym niemieckiej polityki zagranicznej [...]. Hitler politykę współpracy z Polską konsekwentnie kontynuował aż do początku roku 1939, mimo że [...] od końca roku 1935 mocarstwa zachodnie zaczęły go coraz silniej kusić rewizjami terytorialnym; mimo że polscy politycy cały czas z równą konsekwencją odmawiali współpracy w realizacji jego strategicznego celu. I to nie on wreszcie zakończył proces polsko-niemieckiego odprężenia, lecz Beck, zawierając sojusz z Wielką Brytanią.

Pod stwierdzeniami zawartymi w ostatnich akapitach tej recenzji podpisze się chyba każdy badacz zajmujący się polską dyplomacją lat 30. Ja uważam jednak, że należy mieć odwagę, aby ze stwierdzeń tych wysunąć logiczne, nasuwające się nieubłaganie wnioski. Otóż skoro tzw. linia 26 stycznia dała Polsce tak olbrzymie korzyści, to należało się tej linii konsekwentnie trzymać.

Trudno bowiem zaprzeczyć, że kiedy wiosną 1939 r. Józef Beck zerwał z Niemcami i związał się z Wielką Brytanią i Francją, wrócił do punktu wyjścia. Z miejsca przywrócone zostały wszystkie przytoczone wyżej punkty.

1. Hitler powrócił do skrajnie wrogiej wobec Polski polityki Republiki Weimarskiej i wysunął roszczenia wobec Pomorza.

2. Polska znowu stała się wasalem Francji (i tym razem Wielkiej Brytanii).

3. Hitler powrócił do „ducha Rapallo", podpisując antypolski pakt ze Stalinem.

4. Znowu powróciło widmo Locarno, czyli rewizji granic Rzeczypospolitej.

5. Zachód znowu mógł handlować polskim terytorium państwowym. Chociaż tym razem mógł zaoferować je nie Hitlerowi, ale Stalinowi.

Wszystko to doprowadziło – jak wiemy – do apokaliptycznej wręcz katastrofy.

Czy gdyby Józef Beck podjął inną decyzję, Polska znalazłaby się w sytuacji idealnej? Oczywiście nie. Musiałaby się pogodzić z rolą „młodszego partnera" Niemiec. A także ze stratami, które bez wątpienia poniosłoby Wojsko Polskie podczas wyprawy na Związek Sowiecki.

Trudno jednak obronić tezę, że byłaby to sytuacja gorsza niż ta, w której Polska znalazła się w rzeczywistości. Napadnięta i rozszarpana na strzępy już w 1939 r. przez obu potężnych sąsiadów. A następnie poddana wieloletniej, ludobójczej okupacji. Polska, której elity zostały wyrżnięte w Auschwitz, Palmirach i Katyniu. Polska, której miasta zostały obrócone w perzynę. Kościoły, bezcenne zabytki i dzieła sztuki – puszczone z dymem.

Krzysztof Rak napisał wybitną książkę. Książkę, która w wielkiej debacie na temat polityki Becka ostatecznie przechyli szalę zwycięstwa na rzecz krytyków ostatniego szefa dyplomacji II RP. Będzie to efekt, który być może zaskoczy samego autora.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Polskie losy / Niezwykła historia z listem w tle

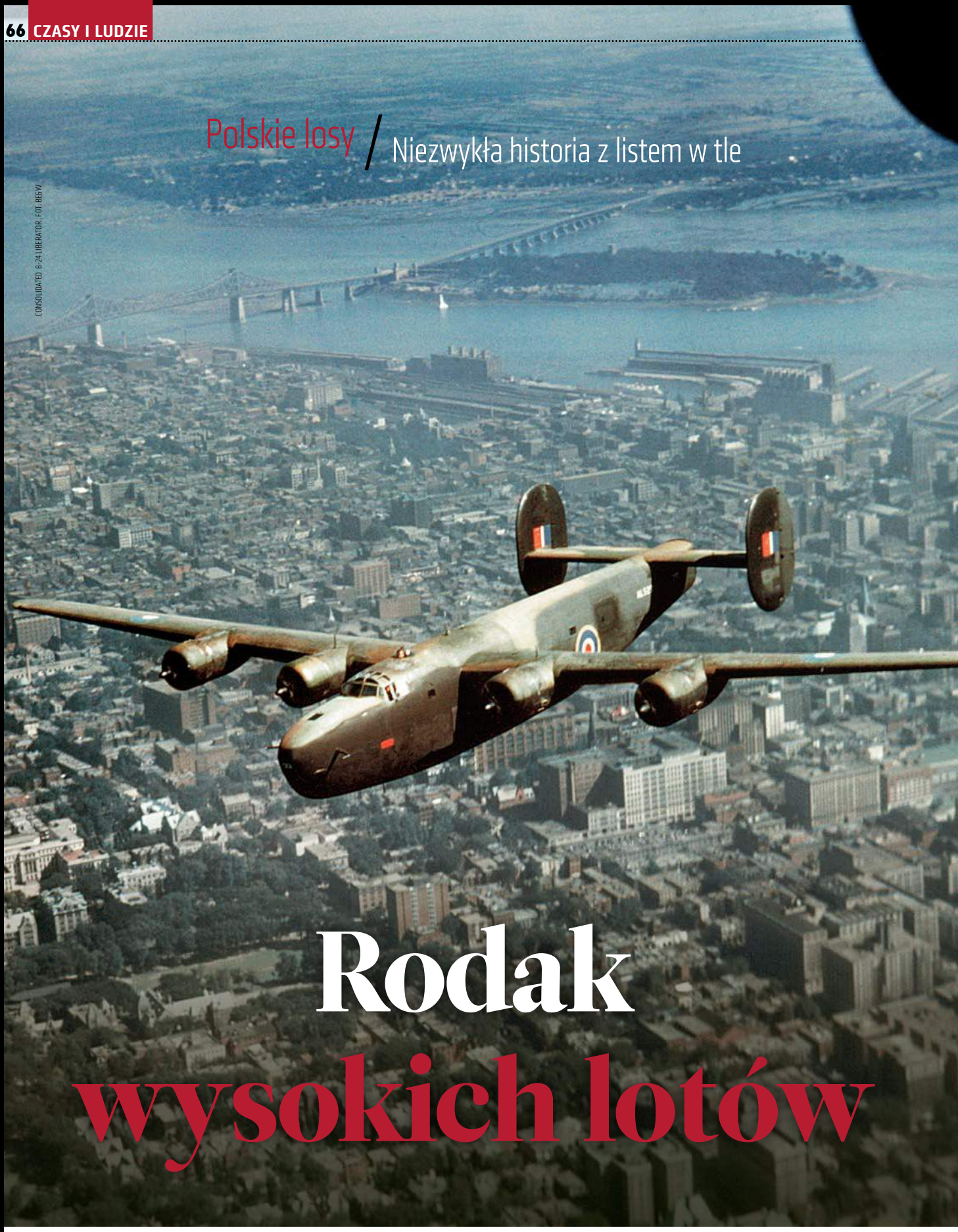

CONSOLIDATED B-24 LIBERATOR, FOT. BEGW

Rodak wysokich lotów

eprasa.pl cca2dcaa5c

Marian Zacharski

Bohaterski lotnik Walerian Sosiński w 1943 r. niósł trumnę Władysława Sikorskiego. Gdy po pół wieku chowano generała na Wawelu, chciał ją nieść ponownie. Władze wojskowe nie były zainteresowane...

W trakcie swojej pracy na terenie Kalifornii spotykałem wielu Polaków. Często było to dla mnie wielkie zaskoczenie, bo zarówno ich imiona, jak i nazwiska w żaden sposób nie wskazywały na rodzinne związki z krajem nad Wisłą. Pierwszym z nich był Chet Schaeffer prowadzący profesjonalny zakład szlifierski, a przy okazji sprzedający polskie szlifierki. Chet pochodził z rodziny o polskich korzeniach mieszkającej w stanie Michigan. Po ślubie przeniósł się do Kalifornii. Wraz z małżonką, również o korzeniach polskich, próbowali pielęgnować znajomość rodzinnego języka, ale nie do końca im się to udawało. Poprzez Cheta, z którym w miarę często konsumowałem obficie zakrapiane południowe posiłki w słynnej restauracji Del Rae, poznałem kolejnego rodaka, który mocno zaznaczył się w moim życiu na tamtym terenie.

Dwie doby na dingy

Był nim Bill Gray prowadzący w Los Angeles przy South Santa Fe Ave 2026, punkt sprzedaży obrabiarek, w zdecydowanej większości używanych. Miejsce było bardzo obskurne, ale – jak mawiał – a luksus trzeba płacić, a na to nie zawsze było go stać. Był człowiekiem niezwykle miłym i sympatycznym. Zaprzyjaźniliśmy się rodzinami. Sprzyjała temu również bliskość zamieszkania. Dla moich córek stał się trzecim dziadkiem. Bardzo je lubił i cieszył się z każdego naszego spotkania. Oprócz domu w Culver City miał też domek na pustyni Mojave, niedaleko Victorville. Weekendowe wypady na pustynię były okazją nie tylko do odpoczynku, lecz także zakupu, „prosto z drzewa", genialnych w smaku brzoskwiń, pomarańczy i innych miłych podniebieniu owoców.

Szybko dowiedziałem się, że Bill Gray to nazwisko, które przyjął ze względów biznesowych. W rzeczywistości nazywał się Walerian („Waldek") Sosiński i całą wojnę przesłużył w RAF, latając nad Niemcy, głównie liberatorami, w misjach bombowych. Wykonał ich ponad 30. Waldek wywodził się spod Kalisza. W momencie wybuchu wojny służył w polskim lotnictwie w podpoznańskiej Ławicy. Dalej jego losy potoczyły się tak jak wielu innych polskich uchodźców. Via Francja dotarł do Anglii. Wcielony został do RAF. Długo nie musiał czekać, aby jego wojskowe wyszkolenie zostało przetestowane. Ponieważ był bardzo skromny w opisie swoich zasług, musiało upłynąć co nieco czasu, aby przekazał mi swoje głęboko skrywane przeżycia, radości, ale także żale.

Walerian (Waldek) Sosiński FOT. POLISHAIRFORCE.PL

Okazało się, że Waldek był prawdziwym bohaterem. W trakcie powrotu z jednej z wypraw bombowych nad Niemcy jego liberator został trafiony i zmuszony do wodowania na niespokojnych wodach kanału La Manche. Operacja wodowania była bardzo trudna, samolot po krótkim czasie zatonął, ale wszyscy, na szczęście, przeżyli. Waldek jako pierwszy zdołał wspiąć się na gumową dingy, by następnie kolejno wciągnąć na nią resztę członków załogi. Siedzieli w gumowej łodzi miotanej dwumetrowymi falami i czekali, jak to Waldek określił, na cud. Co parę godzin pojawiały się oznaki paniki. Niektórzy, cierpiący na silne objawy choroby morskiej, chcieli wskoczyć do wody, by tym prostym sposobem zakończyć doczesne cierpienia. Waldek – jak o sobie mawiał – prosty chłopak spod Kalisza, żelazną ręką trzymał towarzystwo w ryzach.

Po 24 godzinach na niebie pojawił się brytyjski samolot. Na jego widok zaczęli krzyczeć wniebogłosy. Pilot, na ich szczęście, dostrzegł rozbitków i zamachał skrzydłami na znak nawiązania kontaktu wzrokowego. Radość na dingy była trudna do opisania. Sądzili, że za chwilę znajdą się na pokładzie statku ratowniczego. Nic z tego. Mijały kolejne godziny i nieopisana radość znów zamieniła się w apatię i depresję. Niektórzy żegnali się z życiem. I znów „prosty chłopak spod Kalisza" brał to towarzystwo w karby. Po 24 godzinach od kontaktu wzrokowego z samolotem rozpoznawczym na horyzoncie pojawił się okręt Jego Królewskiej Mości. Po chwili znaleźli się na pokładzie. Radość była nie do opisania. W tym momencie nawet nie zdawali sobie sprawy, że ich bohaterstwo miało wymiar historyczny. Byli pierwszą załogą, która po strąceniu przez niemiecką artylerię przeżyła w komplecie. Zostali przyjęci przez najwyższych dowódców lotnictwa polskiego i brytyjskiego, a także przez polskich polityków.

Popijając whisky...

Nikt nie miał wątpliwości, czyją zasługą było przetrwanie. Stąd nie pojawiły się jakiekolwiek oznaki niezadowolenia lub zazdrości, kiedy ogłoszono treść rozkazu o odznaczeniu Waldka Orderem Virtuti Militari. Jego kolekcja z medalami potrzebowałaby sporej wielkości

eprasa.pl cca2dcaa5c

Wniesienie trumny z ciałem gen. Władysława Sikorskiego na pokład ORP „Orkan" FOT. NAC

witryny, aby dobrze ją wyeksponować. To nie było jednak w jego stylu. Był zbyt skromny, aby obnosić się ze swoimi sukcesami.

Kolejny przełom w historii jego życia był związany z tragiczną śmiercią w Gibraltarze polskiego premiera, gen. Władysława Sikorskiego. Waldek jako wielokrotnie odznaczany żołnierz polski wyznaczony został do składu tych, którzy mieli zaszczyt nieść trumnę tragicznie zmarłego. Z tego smutnego wydarzenia zachowały się archiwalne zdjęcia i filmy. Waldek przez resztę życia pozostał bardzo dumny, że wśród innych został dostrzeżony i wybrany do tej dramatycznej, ale jakże godnej roli.

Kolejne spotkania z Waldkiem zawsze wnosiły coś nowego. Popijając co wieczór znaczne ilości whisky Johnny Walker (bo kto wówczas widział pilota, który stronił od alkoholu), zawsze z butelki o pojemności galona imperialnego zawieszonej na wahaczach, wspominał następne fragmenty swojego życia, kolegów, a niekiedy nawet snuł plany na przyszłość. Był wówczas żonaty po raz drugi, chociaż i w tym związku nie czuł się najlepiej. Pierwszą żoną była Angielka, z którą miał syna. Różnice kulturowe i charakterologiczne były jednak na tyle duże, że jego małżeństwo nie przetrwało długo. Nie miało to wpływu na miłość, którą darzył swojego syna i wnuka.

– Wiesz – mawiał – młodość, gorąca krew, stały stan zagrożenia niekiedy decydował o naszych postawach. Nie zawsze do końca roztropnych. Polacy byli bardzo cenieni wśród Angielek. Za szarmanckość, wielki szacunek okazywany kobietom. Wówczas żartowaliśmy, że wystarczyło ustalić numer telefonu samotnej kobiety i zatelefonować do niej, zadając proste pytanie: Czy mógłbym do pani wpaść dzisiejszego wieczora? W odpowiedzi słyszeliśmy: Ależ oczywiście! Dopiero po chwili pojawiało się pytanie: Przepraszam, a kto dzwoni?

Po rozwodzie Waldek wyjechał do Kalifornii. Wojna w Korei była jednym z powodów boomu w przemyśle zbrojeniowym w tym stanie. Początkowo pracował jako serwisant maszyn. Wiele się nauczył i podpatrzył. Jednym słowem dobrze poznał arkana funkcjonowania biznesu, w którym później się usamodzielnił.

Waldek, dla wszystkich klasyczny „brat łata", szanowany był nie tylko wśród „bombowców", lecz także, o dziwo, wśród „myśliwców". Było tajemnicą poliszynela, że ci ostatni, uważając się za specjalną, lepszą kastę, z pogardą patrzyli na „bombowców". Oczywiście z wyjątkiem Waldka, którego szanowali jak swojego. Być może to, że był zawsze skromny, miły, serdeczny i potrafił zdrowo wypić, zjednywało mu wszystkich. Był bliskim przyjacielem wielu legend polskiego lotnictwa, od Stanisława Skalskiego poczynając. To dzięki Waldkowi osobiście poznałem tego asa wśród polskich myśliwców. W pierwszej połowie lat 90. był nawet u mnie w domu w Warszawie.

W Kalifornii część polskich pilotów, zagubiona życiowo, próbowała znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie, zmieniając nazwisko i przestając używać rodzinnego języka. Stawali w jednym szeregu z polską emigracją docierającą do Kalifornii w drugiej połowie lat 70., której członkowie, jak żartowaliśmy z Waldkiem, jeszcze nie mówili po angielsku, a już nie mówili po polsku. Jeden nawet mocno przesadził, przybierając imię i nazwisko byłego prezydenta USA, Johna Adamsa. To dzięki Waldkowi usłyszałem o wielkich zasługach wybitnych Polaków w rozwoju amerykańskiego przemysłu aeronautycznego.

Wybitni Polacy i gen. Gotowała

Opowiedział mi między innymi o urodzonym 6 grudnia 1933 r. w Chicago gen. Donaldzie Kutynie, którego Waldek poznał osobiście. Dziadek generała emigrował do Stanów w końcu XIX w. z okolic Jasła, a babcia spod Tarnowa. Rodzina generała zawsze pielęgnowała polski język i tradycje. Jak twierdził, idąc do szkoły, znał tylko język polski. Był świetnym pilotem, który podczas wojny w Wietnamie wykonał wiele misji bojowych. Swój samolot nazwał „The Polish Glider". Nazwa ta została wymalowana na kadłubie jego maszyny. Koledzy nie mówili o nim inaczej niż The Yankee Air Polack. Za sterami różnych samolotów spędził grubo ponad 5 tys. godzin. Jego późniejsza kariera zaniosła go na szczyty sił powietrznych. Odpowiedzialny był m.in. za wiele elementów programu lotu wahadłowców, a potem został nawet dowódcą NORAD, centrum obrony powietrznej Stanów Zjednoczonych. Nagradzany przez polskie organizacje w Stanach Zjednoczonych zwykle znaczną część swoich podziękowań wygłaszał po polsku.

Drugim wybitnym Polakiem, z którym Waldek bardzo się przyjaźnił, był urodzony 18 lipca 1918 r. w Opolu Werner Ryszard Kirchner. Polak legenda. Po I wojnie światowej rodzice pana Kirchnera (Ryszard i Emilia z domu Foit) przenieśli się do Katowic. Tam ukończył gimnazjum. Następnie podjął studia na Politechnice Lwowskiej na Wydziale Chemii. Od zawsze marzył o lataniu. Wstąpił do aeroklubu w tym mieście i zdobył uprawnienia pilota szybowcowego i samolotowego. Po dwóch latach studiów, w 1939 r., via Rumunia i Francja dotarł do Anglii. Tam kontynuował szkolenie pilotażu. Otrzymał przydział do Wileńskiego Dywizjonu Myśliwskiego nr 317. Od tej pory stacjonował pod Londynem. Za swoje wyczyny został trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych.

eprasa.pl cca2dcaa5c

W 1943 r. poślubił Deidre Wilkinson. Nad losem pana Kirchnera po cichu zawsze czuwał Stanisław Skalski. Uważał go za nieprawdopodobnie uzdolnionego i często powtarzał: „Werner, bardzo szkoda by było, gdyby Niemcy cię zestrzelili".

Zdaniem Waldka to właśnie dzięki wstawiennictwu Stanisława Skalskiego zaraz po wojnie Werner Kirchner podjął studia chemiczne na elitarnym Imperial College of Science w Londynie. Specjalizował się w paliwach rakietowych. W 1946 r. obronił doktorat i wraz z rodziną przeniósł się na dalsze studia w Massachusetts Institute of Technology (MIT) w Bostonie. Ukończył studia z kolejnym doktoratem. Taki talent nie pozostał niezauważony. Pierwsza praca zaniosła go do Kalifornii, gdzie w firmie Aerojet w Sacramento pracował przy paliwach do rakiet balistycznych. Był również twórcą specjalnego paliwa do lądownika księżycowego. Jego fachowość została doceniona. Szybko znalazł się wśród najwybitniejszych naukowców wchodzących w skład najbardziej tajnych i prestiżowych komisji naukowych będących organami doradczymi prezydenta USA. Dzisiaj po latach jest przyjemnie spojrzeć na odtajnione protokoły z prac tych komisji. Nazwisko Wernera Kirchnera zwykle umieszczone było tuż obok Clarence'a Johnsona „Kelly'ego", kolejnego człowieka legendy, twórcy wszystkich znanych nam amerykańskich samolotów szpiegowskich, od U2 począwszy.

Kirchner prywatnie pasjonował się tenisem i szermierką. W tej drugiej dyscyplinie w 1969 r., w wieku lat 41, reprezentował USA na mistrzostwach świata. Waldek chciał koniecznie doprowadzić do naszego wspólnego spotkania, ale było to niemożliwe. Obostrzenia dotyczące bezpieczeństwa nie pozwalały panu Kirchnerowi na spontaniczne spotkania z „nieznajomymi". Waldek spotykał go dosyć regularnie. Bardzo się szanowali. Po zmianach politycznych w Polsce w 1989 r. pan Kirchner zaczął odwiedzać kraj urodzenia, odpowiadając na rozmaite zaproszenia stowarzyszeń lotniczych.

W roku 1993 w związku z planami przeniesienia prochów gen. Sikorskiego do Polski pan Kirchner i kilku innych pilotów wystąpili ze wspólnym apelem do gen. Jerzego Gotowały, ówczesnego dowódcy sił lotniczych, aby Waldek jako ten, który niósł trumnę polskiego premiera w trakcie pogrzebu w Londynie, mógł, chociaż symbolicznie, ponownie dostąpić tego zaszczytu. Gotowała, jak 24 maja 1996 r. pisał Werner Kirchner w liście do pułkownika pilota Kazimierza Grzybowskiego, zupełnie zignorował tę propozycję.

Kopię tego listu otrzymałem od Waldka tuż przed moją ostateczną emigracją z Polski. Tym gestem Waldek chciał okazać swój głęboki żal, licząc jednocześnie, że pewnego dnia rozpropaguję jego zawód z powodu braku, chociażby minimalnego, szacunku ze strony Gotowały. Proszę szanownych czytelników koniecznie zapoznać się z treścią tego listu i zastanowić się nad stylem funkcjonowania Rzeczypospolitej. Ze swojej strony zawsze i wszędzie z uporem maniaka powtarzam, że dopóki Polacy nie nauczą się szanować ludzi sukcesu i nie pozbędą się bezinteresownej zawiści, dopóty listy tego typu będą nieustannie pisane i publikowane.

Waldek, bez względu na panujący ustrój, regularnie latał do kraju, do rodziny pod Kaliszem. Najbardziej lubił podróże liniami LOT z Nowego Jorku. Pytany o powody, szybko odpowiadał, że bardzo rzadko zdarzało się, aby za sterami nie spotkał któregoś ze swoich kolegów z czasów angielskich. W takim przypadku podróż odbywał w kokpicie. Mam nadzieję, że bez whisky na wahaczu. Chociaż z Waldkiem to nigdy nie wiadomo. Bez względu na Waldka przywary czy słabości liczba jego startów i lądowań w trakcie podróży do i z Polski zawsze się zgadzała.

W późniejszych latach, żyjąc osamotniony w Los Angeles, Waldek postanowił przenieść się do Polski. Oczywiście pod Kalisz. Skutecznie leczył wszelkie swoje dolegliwości whisky. Do czasu, kiedy zmęczenie materiału nie dało o sobie znać. Pewnego razu przewieziono go do szpitala, skąd już nie wyszedł. Podobno zmogła go sepsa. Cześć jego pamięci!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

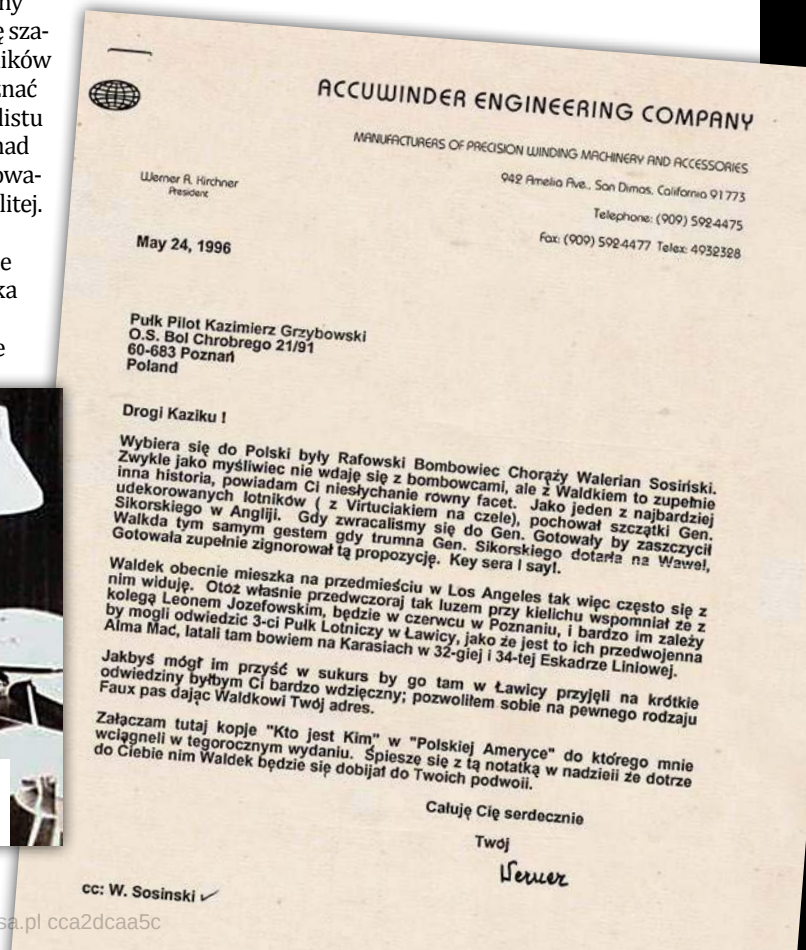

ACCUWINDER ENGINEERING COMPANY

MANUFACTURERS OF PRECISION WINDING MACHINERY AND ACCESSORIES

Werner R. Kirchner
President

942 Amelia Ave., San Dimas, California 91773
Telephone: (909) 592-4475
Fax: (909) 592-4477 Telex: 4932328

May 24, 1996

Pułk Pilot Kazimierz Grzybowski
O.S. Bol Chrobrego 21/91
60-683 Poznań
Poland

Drogi Kaziku !

Wybiera się do Polski były Rafowski Bombowiec Chorąży Walerian Sosiński. Zwykle jako myśliwiec nie wdaję się z bombowcami, ale z Waldkiem to zupełnie inna historia, powiadam Ci niesłychanie rowny facet. Jako jeden z najbardziej udekorowanych lotników (z Virtuciakiem na czele), pochował szczątki Gen. Sikorskiego w Anglji. Gdy zwracalismy się do Gen. Gotowały by zaszczycił Walkda tym samym gestem gdy trumna Gen. Sikorskiego dotarła na Wawel, Gotowała zupełnie zignorował tą propozycję. Key sera i sayl.

Waldek obecnie mieszka na przedmieściu w Los Angeles tak więc często się z nim widuję. Otoż właśnie przedwczoraj tak luzem przy kielichu wspomniał ze z kolegą Leonem Jozefowskim, będzie w czerwcu w Poznaniu, i bardzo im zależy by mogli odwiedzic 3-ci Pułk Lotniczy w Ławicy, jako że jest to ich przedwojenna Alma Mac, latali tam bowiem na Karasiach w 32-giej i 34-tej Eskadrze Liniowej.

Jakbyś mógł im przyść w sukurs by go tam w Ławicy przyjęli na krótkie odwiedziny byłbym Ci bardzo wdzięczny; pozwoliłem sobie na pewnego rodzaju Faux pas dając Waldkowi Twój adres.

Załączam tutaj kopje "Kto jest Kim" w "Polskiej Ameryce" do którego mnie wciągneli w tegorocznym wydaniu. Spiesze się z tą notatką w nadzieii ze dotrze do Ciebie nim Waldek będzie się dobijał do Twoich podwoii.

Całuję Cię serdecznie

Twój

Werner

cc: W. Sosinski

Generał Jerzy Gotowała. Obok: list w sprawie Waleriana Sosińskiego FOT. SSLWRP.PL I ZBIORY AUTORA

eprasa.pl cca2dcaa5c

1941–1945 / Estońskie oddziały walczące u boku Niemców

Estończycy przeciwko bolszewizmowi

Żołnierze Legionu Estońskiego SS w akcji FOT. GETTY IMAGES

Arkadiusz Karbowiak

Tysiące młodych Estończyków walczyły u boku Wehrmachtu na froncie wschodnim. Dla nich wrogiem numer jeden byli bolszewicy. Czerwona okupacja Estonii w latach 1940–1941 była wyjątkowo krwawa i okrutna

W miejscowości Lagedi niedaleko Tallina, na terenie prywatnego muzeum, udało się odsłonić 15 października 2005 r. przeniesiony z Parnawy pomnik poświęcony Estończykom walczącym o niepodległość swego kraju w szeregach armii niemieckiej i fińskiej podczas II wojny światowej. W ten sposób oddano hołd zapomnianym, bohaterskim obrońcom Estonii.

Estonia znalazła się pod sowiecką okupacją w czerwcu 1940 r., kiedy to Armia Czerwona wkroczyła na terytorium trzech nadbałtyckich republik. Estończycy jako jedni z pierwszych w Europie, już w 1919 r., mieli okazję doświadczyć bolszewickiego terroru. Jego ofiarą padło wówczas 700 cywili. Była to – jak się okazało – tylko przygrywka do tego, co miało nastąpić w latach 1940–1941. Podczas sowieckiej okupacji represjom poddanych zostało 36 tys. Estończyków, z czego czwarta część zginęła. Deportacja na Syberię przeprowadzona w czerwcu 1941 r. doprowadziła do tego, że w lasach estońskich pojawiły się grupki ukrywających się przed wywózkami uciekinierów.

Tuż po 22 czerwca 1941 r., gdy rozpoczęła się inwazja Niemiec na ZSRS, zaczęli oni tworzyć pierwsze oddziały partyzanckie metsavanned, czyli leśnych braci. Ich szeregi zasilali członkowie przedwojennego stowarzyszenia Kaitseliit (Liga Obrony) oraz dezerterzy z Armii Czerwonej. Leśni bracia podejmowali walki z wycofującymi się formacjami Armii Czerwonej i NKWD, uczestnicząc również w wyzwoleniu wielu estońskich miast. Przykładem jest miasto Tartu zajęte dzięki współdziałaniu Tartuskiego Batalionu Partyzanckiego dowodzonego przez kpt. Karla Talpaka przy wsparciu pododdziałów niemieckiej 61. Dywizji Piechoty. Estońskich partyzantów czasami wspierały wyszkolone przez wywiad fiński oraz niemiecką Abwehrę grupy dywersyjne ERNA. Ostatecznie do grudnia 1941 r. terytorium Estonii zostało

eprasa.pl cca2dcaa5c

całkowicie oczyszczone z bolszewickich okupantów.

Od policji do Waffen-SS

Wyparcie Sowietów nie oznaczało odzyskania niepodległości. Władzę nad okupowanym krajem objął, stając na czele Komisariatu Generalnego Estonia, SA-Obergruppenführer Karl-Siegmunt Litzmann. Estończycy uważani przez Reichsministra ds. obszarów wschodnich Alfreda Rosenberga „za elitę wśród narodów bałtyckich" musieli zadowolić się statusem narodu okupowanego, choć powołany został Samorząd Estoński. Na jego czele stanął szef propagandy przedwojennego narodowo-radykalnego ruchu wabsów dr Hjalmar Mäe.

Równocześnie Niemcy poparli powstanie estońskich jednostek wojskowych i policyjnych. Pierwsze kroki w tym zakresie podjął Wehrmacht, a konkretnie dowództwo 18. Armii, nakazując utworzenie już w sierpniu 1941 r. początkowo trzech Estnische Sicherungs-Abteilung (nosiły numery 181, 182, 183), a w październiku kolejnych dwóch (numery 184, 185). Wiosną 1942 r. powstał kolejny oddział o numerze 186. Rok później poddano je reorganizacji i utworzono z nich trzy bataliony Osttruppen. O zaangażowaniu żołnierzy tych jednostek w walkę z bolszewikami mówią słowa zawarte w rozkazie z dnia 4 lipca 1942 r. dowódcy 18. Armii gen. Georga Lindemanna: „Estońscy ochotnicy! Możecie być dumni, że przyczyniliście się do tego zwycięstwa. Podczas walk, z których wyszliście cało, wykazaliście się bezprzykładną gotowością do poświęceń i odwagą. Przysporzyliście ciężkich strat waszemu zażartemu wrogowi, który znów, tak jak to już nieraz w historii bywało, chciał ograbić i zagrabić waszą ojczyznę".

Wewnątrz Estonii za kwestie bezpieczeństwa odpowiadała powstała 2 sierpnia 1942 r. organizacja Omakaitse, czyli samoobrona. Jej członkowie sprawnie uporali się z rachitycznymi, działającymi na terenie Generalnego Komisariatu Estonia bolszewickimi grupami dywersyjnymi. Obok formacji samoobrony utworzono dodatkowo 26 podporządkowanych Ordungspolizei (policja porządkowa) batalionów policyjnych Schutzmannschaft (jeden z nich był złożony z mieszkających na terenie Estonii etnicznych Rosjan). Niektóre bataliony pełniły służbę na terytoriach Białorusi i Ukrainy, uczestnicząc tam w walkach z sowiecką partyzantką oraz w pacyfikacjach podejrzanych o wspieranie ich wsi. Kilka skierowano na front. Batalion nr 36 trafił nad Don, gdzie poniósł poważne straty: 37 poległych, 97 rannych i 11 zaginionych.

Plakat rekrutacyjny do Legionu Estońskiego SS FOT. ARCHIWUM

W 1942 r. Niemcy zdecydowali, że Estończycy są gotowi do podjęcia służby w Waffen-SS. Powstanie estońskiego legionu SS ogłosił 28 sierpnia 1942 r. podczas świętowania rocznicy wyzwolenia Tallina z rąk bolszewików Siegmund Litzmann. Zgodę na powstanie jednostki wyraził 1 października 1942 r. Hitler. Pierwszymi ochotnikami byli członkowie trzech batalionów Schuma, którym kończyły się we wrześniu 1942 r. roczne kontrakty. Już od 8 października 113 wolontariuszy rozpoczęło w Dębicy żmudny proces szkolenia. Dowódcą legionu został Austriak, wiedeńczyk z pochodzenia, późniejszy SS-Brigadeführer (w chwili obejmowania stanowiska miał stopień SS-Obersturmbannführera) Franz Augsberger, weteran 6. Górskiej Dywizji SS Nord. Szkoleniem ochotników zajmowała się niemiecka kadra instruktorska.

Motywacje ochotników wstępujących do legionu obrazuje wypowiedź jednego z nich – Leinharda Miländera: „Urodziłem się 21 sierpnia 26 koło Parnawy i zdążyłem ukończyć szóstą klasę gimnazjum. Ponieważ byłem za młody, by służyć w policji albo wschodnich batalionach Wehrmachtu, zgłosiłem się do Legionu Estońskiego SS, o którym przeczytałem w ogłoszeniu werbunkowym. Po otrzymaniu zgody rodziców pojechałem pociągiem do Tallina (Rewala), by zgłosić się w biurze werbunkowym. Chciałem walczyć z komunizmem, to był główny powód mojej decyzji".

Z „Narwą" pod Narwą

Jako pierwsi prochu mieli powąchać żołnierze I batalionu „Narwa". Podporządkowano ich 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking" (wtedy jeszcze była to dywizja grenadierów pancernych). Jeden z żołnierzy wspominał: „18 lipca znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Do godziny 10 panował względny spokój, gdy nagle pojawiła się sowiecka jednostka pancerna składająca się z 22 czołgów.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Pożegnanie estońskich żołnierzy SS idących na front
FOT. ARCHIWUM

Wbrew rozkazowi, by ich przepuścić, jeden z czołgów został unieszkodliwiony, a wtedy pozostałe zawróciły, kierując się wprost na lufy dział przeciwpancernych: trzech o kalibrze 7,62 cm (sowieckich) i trzech PAK 38. To było jak na strzelnicy. Prawie co drugi granat trafiał w cel i wkrótce pełno było płonących, zniszczonych lub unieruchomionych czołgów. Ostatnie trzy czołgi sowieckie próbowały się wycofać; udało się to w końcu tylko jednemu, bo kolejne dwa zostały unieszkodliwione za pomocą min magnetycznych... Dwie godziny później Sowieci otworzyli silny ogień artyleryjski na pozycje batalionu i nastąpiło ponowne natarcie czołgów i piechoty… Podczas tego drugiego natarcia zniszczyliśmy dziewięć czołgów – dwa z nich samodzielnie ochotnik, sturmmann Heinrich Raiend… W trzeciej dobie zginął nasz dowódca batalionu, SS-Sturmbannführer Eberhardt. Wiadomość o jego śmierci tak nas rozwścieczyła, że udało nam się odeprzeć kolejny atak".

Nowym dowódcą batalionu Narwa został SS-Hauptsturmführer Bernhardt Grafhorst, który swej funkcji nie pełnił zbyt długo, bo poległ 2 września 1943 r. Mordercze walki wyczerpały tzw. siłę żywą batalionu do tego stopnia, że w sierpniu liczył on zaledwie 157 żołnierzy. Ich poświęcenie i determinacja spowodowały, że jednostka zyskała opinię znakomicie wyszkolonej i świetnie radzącej sobie w walkach z sowieckimi formacjami pancernymi.

Kolejną próbą dla batalionu „Narwa", podobnie jak dla całej dywizji „Wiking", były walki w „kotle czerkaskim", z którego udało się Estończykom szczęśliwie wyrwać. Niedługo potem weteranów „Narwy" włączono do 20. Dywizji Grenadierów SS. Zanim ona powstała na podstawie rozkazu z dnia 5 maja 1943 r., legion estoński przeformowano w 3. Estońską Brygadę SS. Wzięła ona udział w operacjach antypartyzanckich, m.in. w operacji „Heinrich". Tego rodzaju akcje miały zazwyczaj bardzo brutalny charakter, a mieszkająca na terenach objętych działalnością partyzantki ludność cywilna – zazwyczaj pod przymusem lub dobrowolnie z nią współpracująca – była poddawana bezwzględnym represjom. Czy również stosowali je Estończycy? To prawdopodobne...

Estońska dywizja SS

24 stycznia 1944 r. nastąpiła kolejna reorganizacja. Tym razem estońską brygadę przekształcono w 20. Dywizję Grenadierów SS, którą podporządkowano III Korpusowi Pancernemu SS i skierowano na front w okolice Narwy. W tym samym miesiącu Mäe ogłosił mobilizację do armii niemieckiej. Ta decyzja spotkała się z poparciem krytycznie wobec Niemców ustosunkowanego Juriego Ulouotsa. Były premier uważał, że konieczny jest maksymalny wysiłek całego narodu w celu obrony Estonii przed nadchodzącymi bolszewikami. Podobnie tę kwestię postrzegali prozachodni politycy skupieni w powstałym w marcu 1944 r. Komitecie Narodowym Republiki Estońskiej. Niestety, jego antykomunistyczne nastawienie nie uchroniło 400 członków organizacji przed aresztowaniami przeprowadzonymi przez niemiecką policję bezpieczeństwa.

Nie wszyscy Estończycy byli zainteresowani służbą w szeregach Wehrmachtu, Luftwaffe czy Waffen-SS. Pewna część wybrała służbę w armii fińskiej. Relacje fińsko-estońskie były od chwili powstania obu państw bardzo dobre. Finowie wsparli Estończyków podczas estońskiej wojny o niepodległość liczącym 4 tys. ochotników kontyngentem. W rewanżu podczas wojny zimowej w Finlandii zjawiło się 200 estońskich wolontariuszy. Kolejni pojawili się wiosną 1943 r., uciekając przed poborem do niemieckich formacji policyjno-wojskowych. Ci z nich, którzy chcieli walczyć z bolszewikami na froncie, wstępowali do estońskiego 200. Pułku Piechoty.

Żołnierzy tej jednostki potocznie nazywano soomepoisid, czyli fińskimi chłopcami. Polityczną opiekę nad nimi sprawowało Biuro Estońskie, kierowane przez adm. Johanna Pitkę, Aleksandra Varmę i Karla Talpaka. Po zawarciu fińsko-sowiecko zawieszenia broni część fińskich chłopców udała się na emigrację do Szwecji, a reszta wróciła do Estonii. Tych ostatnich włączono do 20. Dywizji i wzięli oni udział w końcowej fazie ciężkich walk nad Narwą. O ich zaciętości już w okresie wiosennym donosił biuletyn niemieckiego Wehrmachtu z 9 marca 1944 r.: „Nasze natarcie na południowy zachód od Narwy zakończyło się powodzeniem mimo gwałtownego oporu przeciwnika. 3. Estońska Brygada SS pod dowództwem SS-Oberführera Augsbergera wraz z germańskimi ochotnikami z korpusu pancernego SS atakowały przez kilka dni i nocy obydwa przyczółki wroga nad Narwą (rzeką), zadając przeciwnikowi ciężkie straty. Kontrnatarcie oddziałów sowieckich zostało odparte, zniszczono 14 czołgów wroga".

Dwudziestodwuletni dowódca plutonu z II Batalionu 45. Pułku Grenadierów Waffen-Unterscharführer Harald Nugiseks był pierwszym Estończykiem w dywizji odznaczonym Krzyżem Rycerskim. Awansowano go do stopnia Waffen-Oberscharführera. On sam tak wspominał toczące się walki: „Naszym zadaniem było wyparcie wroga z mostów Vassa i Vepskiula. Początkowo było nas trzydziestu czy czterdziestu, ale ogień nieprzyjaciela był tak intensywny, że połowa została ranna lub zabita, w tym

eprasa.pl cca2dcaa5c

nasi oficerowie Jaan Lumera i Helmut Röömusar… W wyniku zaciętych walk wręcz na noże, saperki i bagnety Sowieci zostali z Vassa wyparci". Nugiseks swoje odznaczenie nosił z dumą, aż do swej śmierci, która nastąpiła stosunkowo niedawno, bo w roku 2014. Znacznie krócej cieszył się awansem, bo za udział w przepychance z żandarmerią polową został zdegradowany do stopnia Waffen-Unterscharführera.

Poza Nugiseksem w gronie odznaczonych Krzyżem Rycerskim znalazł się Waffen-Obersturmbannführer Harald Ripallu. Ritterkreuz otrzymał 23 sierpnia 1944 r. z rąk SS-Obergruppenführera Felixa Steinera, po tym, jak dowodzony przez niego 45. Pułk Grenadierów SS w lipcu 1944 r. podczas bitwy pod Auvere, wraz z 11. Dywizją Piechoty, zatrzymał sowiecką lokalną ofensywę, niszcząc 29 czołgów. We wrześniu 1944 r. w ramach planu „Aster" Niemcy rozpoczęli wycofywanie się z Estonii.

U schyłku wojny

W trakcie ewakuacji Niemców 18 września 1944 r. estońskie środowiska niepodległościowe powołały do życia Rząd Republiki Estonii pod kierownictwem Ottona Tiefa. Podporządkowane mu oddziały dowodzone przez adm. Johana Pitkę, który powrócił z Finlandii, podjęły próbę opanowania Tallina. Doszło wtedy w okolicach portu do starć z wycofującymi się Niemcami. Wysiłki zdobycia stolicy Estonii spełzły na niczym, a miasto zajęli bolszewiccy okupanci. Członkowie rządu Tiefa musieli salwować się ucieczką. Niektórym się ona udała, a inni – tak jak premier – zostali ujęci przez NKWD i trafili do łagrów lub przed plutony egzekucyjne.

Fakt wycofania się armii niemieckiej z Estonii wpłynął na pogorszenie się morale w estońskich oddziałach, co z kolei przełożyło się na masowe dezercje. O panujących wśród nich nastrojach mówił jeden z zapisów w dzienniku bojowym 4. Ochotniczej Brygady Szturmowej SS „Nederland": „Co do 20. Dywizjonu Ppanc. SS, część estońskiego oddziału chce walczyć tylko w Estonii. Wśród oddziałów estońskiego Selbstschutzu (samoobrony) widać oznaki niepokoju, dochodzi do ostrzeliwania żołnierzy niemieckich…".

Widząc niechęć części żołnierzy do kontynuowania dalszej walki poza granicami kraju, dowódca dywizji SS-Brigadeführer Franz Augsberger po konsultacjach w Berlinie uznał za wskazane odstąpić od ścigania dezerterów. Waffen-Unterscharführer Walter Valtin tak opisał motywacje tych, którzy zdecydowali się zostać w kraju: „Było jasne, że opuszczamy Estonię i naszych najbliższych. Część zdecydowała się zostać, biorąc broń ręczną, dużą ilość amunicji i prowiant, by w szeregach braci leśnych ochraniać swoje rodziny…". Ci spośród żołnierzy 20. Dywizji Grenadierów SS, którzy zdecydowali się opuścić swoją ojczyznę, trafili na poligon w Neuhammer.

W styczniu 1945 r., w chwili rozpoczęcia sowieckiej ofensywy, Estończyków rzucono na front. Jako pierwszy do walki wszedł dowodzony przez Waffen-Hauptsturmführera Paula Maitlę (formalnie dowodził nim Waffen-Obersturmbannführer Harald Ripallu, ale wtedy leżał w szpitalu w związku z atakiem kamieni nerkowych) 45. Pułk Grenadierów SS. Jego żołnierze, rozładowawszy się w Brzegu, wymaszerowali w stronę Opola w celu odbicia z rąk sowieckich miejscowości: Półwieś, Bierkowice i Sławice. Działania te nie przyniosły sukcesu. Wkrótce estońscy esesmani uwikłali się w ciężkie walki o miejscowość Karczów, którą zajęto 25 stycznia 1945 r. Ceną zwycięstwa była śmierć 16 Estończyków z dowódcą 7. Kompanii II Batalionu 45. Pułku Peeterem Toomingasem.

W marcu 1945 r. dywizja znalazła się w okrążeniu na Opolszczyźnie wraz z kilkoma innymi jednostkami niemieckimi. Podczas walk w kotle poległ SS-Brigadeführer Franz Augsberger wraz ze swym adiutantem SS-Obersturmführerem Hintzem. Moment śmierci dowódcy tak zapamiętał Arvet Reinsalu: „Droga była zatarasowana i wszędzie paliły się samochody. Wróg zniszczył kolumnę sztabową naszej dywizji. Samochód z naszym dowódcą Augsbergerem dostał pełne trafienie i leżał we fragmentach na drodze". Przebijającą się z okrążenia dywizję wyprowadził Waffen-Obersturmbannführer Alfons Rebane. Za ten czyn otrzymał 9 maja 1945 r. decyzją prezydenta Rzeszy Karla Dönitza Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego. Uratowani Estończycy wycofani zostali w okolice Jeleniej Góry. Dowodzenie dywizją przejął SS-Brigadeführer Berthold Maack.

W maju 1945 r. część jednostki wycofała się na terytorium Protektoratu Czech i Moraw, gdzie według różnych danych od 500 do 1,3 tys. Estończyków poniosło śmierć w doraźnie przeprowadzonych przez Czechów egzekucjach. Ten los spotkał Waffen-Sturmbannführera Paula Maitlę. Czescy komuniści zatrzymali go na drodze między Nymburkiem a Mladą Boleslav wraz z czterema innymi oficerami. 10 maja 1945 r. jeńców postawiono przed ludowym „sądem", a następnie zamordowano na północ od Nymburku w rowie przeciwczołgowym. Ta egzekucja stanowiła egzemplifikację tragicznego losu narodu, którego przedstawiciele w liczbie 70 tys. nie zawahali się w obronie swej ojczyzny zaciągnąć do niemieckich sił zbrojnych i stanąć do walki ze śmiertelnym zagrożeniem swego kraju, jakim był bolszewizm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Estońscy weterani FOT. YLILAUTA.ORG

eprasa.pl cca2dcaa5c

Jan Matejko „Władysław Biały w Dijon", 1867 r., olej/deska; wymiary 47 x 38 cm, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie ZBIORY UJ

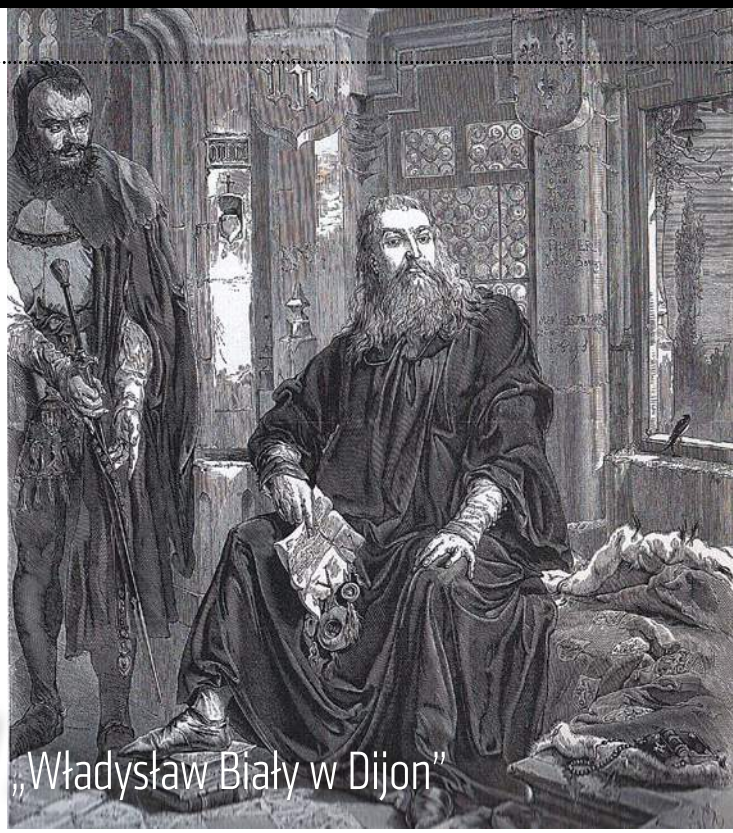

Historia ukryta w obrazie / „Władysław Biały w Dijon"

Mnich, niedoszły król Polski

Leszek Lubicki

Po śmierci Kazimierza Wielkiego o koronę królestwa walczył jego bratanek. Do tej arcyciekawej historii nawiązał Jan Matejko

W Gniewkowie na ziemi inowrocławskiej postawiono mu monumentalny pomnik. Józef Ignacy Kraszewski uczynił go bohaterem jednej ze swoich powieści z cyklu „Dzieje Polski", a Jan Matejko „poświęcił mu swój pędzel". Gdy wgłębimy się w to, kogo przedstawia ten – przyznajmy to – mało ciekawy kolorystycznie obraz, wyjdzie nam niezwykle zajmująca opowieść o człowieku, który poważnie namieszał w Polsce po śmierci Kazimierza Wielkiego.

Niektórzy historycy twierdzą, że królewska linia Piastów wcale nie wygasła na Kazimierzu Wielkim, bo pozostał jeszcze jeden jego prawowity spadkobierca – książę Władysław Biały. Ojcem Białego był brat stryjeczny króla Kazimierza Wielkiego i Elżbiety Łokietkówny, królowej Węgier. Biały był więc ostatnim Piastem po mieczu pochodzącym z tej samej linii kujawskich Piastów co król Kazimierz.

W 1359 r. Władysław zawarł związek małżeński z Elżbietą Strzelecką. Ponoć była to wielka miłość, ale wybranka jego serca rok później umarła. Od tej pory książę źle sobie radził w życiu. Kazimierz Wielki odebrał mu lenno inowrocławskie i w 1363 r. lub w 1364 r. książę gniewkowski postanowił opuścić ojcowiznę. Józef Śliwiński pisze: „Być może książę, gdy owdowiał, a następnie znalazł się w konflikcie z Kiwałą (sędzią kujawskim; poszło o wytyczanie granic) i królem, zapragnął dla własnego bezpieczeństwa wyjechać z kraju, a zarazem zakosztować życia pielgrzyma i wędrowca".

Biały zastawia swoje księstwo królowi Kazimierzowi za sumę 1 tys. florenów i rusza w pielgrzymkę do Grobu Chrystusa. Rok później widzimy go na dworze Karola IV Luksemburskiego w Pradze, następnie w 1366 r. gości u mistrza krzyżackiego w Malborku. Wyrusza razem z nim na wyprawę krzyżową na

eprasa.pl cca2dcaa5c

Litwę, ale zaraz go opuszcza i udaje się do Awinionu, gdzie jest goszczony przez papieża Urbana V. Po miesiącu rusza do Francji i niespodziewanie dla wszystkich wstępuje do cysterskiego zakonu w Cîteaux. W 1366 r. przywdziewa habit i zostaje mnichem. Jan Leniek zauważa: „Nie mając jednak, jak sam wyznaje, z czego żyć, gdyż szczupłe pieniądze, jakie posiadał, rozeszły się na przeszło dwuletniej tułaczce, postanowił wstąpić do klasztoru".

Reguły panujące w zgromadzeniu Białemu nie odpowiadają i w następnym roku cichaczem ucieka. Udaje się do klasztoru św. Benigna w Dijon i jako benedyktyn pozostaje tam do końca 1370 r. W listopadzie tego roku umiera Kazimierz Wielki.

List z obrazu

Po objęciu tronu polskiego przez Ludwika Węgierskiego niezadowolenie w Wielkopolsce przybrało cechy niemal buntu. Widziano raczej koronę na głowie Kaźka Słupskiego, usynowionego przez Kazimierza Wielkiego tuż przed śmiercią. Wydaje się jednak, że niezbyt nadawał się on na monarchę, a i sam nie bardzo chyba tego chciał. Kolejnym najbliższym żyjącym krewnym zmarłego króla był Władysław Biały, do którego panowie wielkopolscy wysłali poselstwo.

Ten właśnie moment ukazuje obraz Jana Matejki „Władysław Biały w Dijon". Widzimy celę klasztorną, a w niej siedzącego dumnego zakonnika oraz posłańca, który podał mu list. W „Albumie Jana Matejki" tak opisał scenę Kazimierz Władysław Wójcicki: „Na wieść o jego zgonie [Kazimierza Wielkiego – przyp. red.] odzywa się we Władysławie Białym dawny zapał rycerski, myśl o pozyskaniu polskiego tronu, gdy z kraju wysłany mnich, od stronników rodziny Piastów, doręcza mu ich wezwanie na piśmie. Teraz nie waha się ani chwili – ufny w szczęśliwą gwiazdę przyszłości. […] Posłaniec dla rozbudzenia w nim zapału, miecz mu doświadczony przynosi".

Jednak aby Biały mógł legalnie rozpocząć działania w Polsce, musi uzyskać zwolnienie od ślubów. Rusza więc do papieża Grzegorza XI. Papież, jako zwolennik Andegawenów, oczywiście dyspensy mu nie udziela. Następnie książę udaje się, o dziwo, do Budy na spotkanie z królem Ludwikiem.

Biały najpierw prosi o możliwość powrotu do Polski i ponowne objęcie księstwa gniewkowskiego. Jednak nie jest to możliwe, ponieważ jest w dalszym ciągu mnichem. Król Ludwik, udając, że chce pomóc, wysyła go w asyście swoich ludzi ponownie do kurii papieskiej. Jak pisze S. Leśniewski: „W istocie był to pocałunek śmierci, choć dla wielu postronnych obserwatorów mógł wyglądać na wspaniałomyślny gest. Władysław nie otrzymał dyspensy, a w jej miejsce usłyszał groźbę obłożenia ekskomuniką, gdyby nie powrócił w klasztorne mury". Jednak książę, zazwyczaj chwiejny w swoich postanowieniach, teraz nie zamierza odpuścić.

W 1371 r. znika na prawie dwa lata. Nie wiemy, gdzie był i co robił przez ten okres. We wrześniu 1373 r. niespodziewanie pojawia się w Gnieźnie. Następnego dnia zajmuje Inowrocław i dziedziczne Gniewkowo. Kolejnego dnia podstępem bierze murowany zamek w Złotorii, a w dwa kolejne dni zamek Szarlej. I wszystko to praktycznie bez walki, ginie tylko jeden jego żołnierz. J. Ślewiński pisze: „Tak błyskawicznej akcji sprzyjały szczególnie dwa czynniki: niezadowolenie z rządów królewskich Andegawenów oraz sam fakt powrotu dawnego pana tych ziem, z którego osobą wiązano nadzieję na lepszą przyszłość".

Mimo tych sukcesów nie otrzymuje tego, czego się spodziewał, czyli silnej pomocy ze strony Wielkopolan. Wyczekują oni na dalszy rozwój zdarzeń. A jest on niekorzystny dla księcia. Król Ludwik, powiadomiony o obrocie wydarzeń, zarządza pospolite ruszenie przeciwko Białemu. Ten musi uznać swoją przegraną i poddaje się. Po nieudanym puczu książę Władysław poprosił Ludwika o zwrot choćby ojcowizny. Jednak „nie uzyskawszy od króla żadnej łaski", udał się do swoich przyjaciół, władców Drezdenka, które nie należało do Korony. Był więc bezpieczny. Przebywał tam do połowy 1375 r.

Ponowny zryw

Będąc w Drezdenku, knuł nadal. Z Burgundii za sprawą księcia Filipa Śmiałego przybywa mu w odsiecz doborowy oddział wojska. Całą akcję prawdopodobnie współfinansowali Krzyżacy, którym konflikty zbrojne w Polsce zawsze były na rękę. Tak wzmocniony książę Biały w połowie sierpnia 1375 r. powraca na ojcowiznę i od razu ponownie podstępem zajmuje gród w Złotorii, upijając dowódcę zamku.

Białemu, posiadającemu silnie umocnioną twierdzę, przybywa zwolenników, wszelakich awanturników. Zdobywa także rodzinne Gniewkowo. Nie uzyskuje jednak wystarczajacego poparcia Wielkopolan. Mimo to walczy dalej. Pod Gniewkowem jego wojska doznają klęski w starciu z oddziałami królewskimi, a sam książę ratuje się ucieczką. Po tej przegranej pozostał mu w rękach jedynie zamek w Złotorii i tam też się schronił.

Wiosną 1376 r. wojewoda wielkopolski organizuje wyprawę dla ostatecznego rozprawienia się z buntownikiem. Bierze w niej udział rycerstwo z całego kraju, w tym także panowie wielkopolscy i kujawscy, wcześniejsi stronnicy Białego. W czerwcu tego roku zaczęło się oblężenie silnie obwarowanej Złotorii. To wtedy dwaj obrońcy zamku zdradzili Białego, oferując oblegającym pomoc w zdobyciu twierdzy. Książę Biały po wykryciu spisku kazał ich publicznie spalić na stosie. W czasie oblężenia zamku zginął Kaźko Słupski, ugodzony kamieniem. Gdy wojska królewskie zaczęły rosnąć w siłę, Biały decyduje się negocjować.

Ostatecznie książę Władysław nie tylko nie dał gardła za swoje uczynki, lecz także udało mu się sprzedać księstwo gniewkowskie królowi za 10 tys. florenów i otrzymać od niego opactwo klasztoru benedyktyńskiego na Węgrzech. Przypuszcza się, że Władysław zrzekł się prawa do korony, a król tak łagodnie go potraktował, aby zjednać sobie szersze poparcie w sprawie sukcesji tronu przez jedną ze swoich córek.

Biały po dwóch latach opuścił Węgry i przeniósł się do „swojego" klasztoru w Dijon. Wyjechał jednak stamtąd w roku 1383 i nie wiemy, co się z nim działo przez kolejne pięć lat. Zapewne do Polski już nie zawitał. 20 lutego 1388 r. książę gniewkowski umiera w Strasburgu. Jego ciało zostaje sprowadzone do Dijon i zgodnie z jego wolą złożone w tamtejszym kościele św. Benigna, gdzie jego nagrobek znajduje się do dziś.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

FOT. TOMASZ PALCIOS/FOTONOVA

Rocznik 1933 / Autor powieści, słuchowisk i piosenek

Lwi pazur Jarosława Abramowa-Newerlego

Krzysztof Masłoń

Został zapamiętany głównie jako autor tekstów popularnych piosenek. Nie doceniano jego znakomitych powieści i wspomnień

Jarosław Abramow-Newerly – zdecydowanie niedoceniony jako prozaik, autor świetnych wspomnień „Lwy mojego podwórka" i „Lwy wyzwolone" oraz nieco gorszych „Lwów STS-u". Żeby w literaturze, tak jak w przyrodzie, była równowaga, swego czasu nazbyt wysoko oceniano to, co pisał dla teatru. A chyba najbliższa była mu estrada, na której odniósł prawdziwe sukcesy i jako autor tekstów, i jako kompozytor. Utwory, które wyszły spod jego ręki, to nie tylko „Okularnicy" i „Bogdan trzymaj się", lecz także „Mówiłam żartem", „Widzisz mała", „Polka kryminalna" i wiele innych piosenek, które czasami odkurzała Olga Lipińska w swoim Kabareciku.

W latach 80. w ślad za żoną, która otrzymała za wielką wodą stypendium naukowe, wyjechał Abramow do Kanady i tam ugrzązł na dobre. Z tego, co pisał prozą, dobrze przyjmowane były jego felietony z cyklu „Pan Zdzich w Kanadzie", wznawiano też jego poczytną sensację zatytułowaną „Alianci". Do Polski przyjeżdżał regularnie, równie regularnie wydając książki. Dbał też Jarek o pamięć ojca, znanego pisarza Igora Newerlego.

Ten niezwykle uroczy człowiek kojarzyć mi się będzie zawsze z jego wieczorem autorskim w 2000 r, po wydaniu „Lwów mojego podwórka". Miałem zaszczyt prowadzić to spotkanie, przed którym podeszła do mnie Elżbieta Ficowska i spytała, czy miałem w rodzinie Tadeusza Masłonia. Chodziło o mojego stryja, w 1943 r. zamordowanego przez hitlerowców w Białymstoku. Gdy potwierdziłem, wręczyła mi paszport stryja z włożonym między jego kartki wierszykiem napisanym przez niego dla swej małej córki Basi, od wojny żyjącej – nomen omen – w Toronto. Pani Elżbieta nie potrafiła powiedzieć, skąd u jej matki wziął się ten dokument; z tego, co zapamiętała, działali razem w konspiracji, co – znając sytuację rodzinną żony wybitnego poety – historię tę jeszcze bardziej komplikuje. A o tym, że historie takie nie mają końca, niech świadczy fakt, że białostocki IPN zajął się miejscem pochówku zakładników zamordowanych przez Niemców, gdzie – na Cmentarzu Wojskowym – pochowano również, wraz z innymi, mojego stryja. Z tym że tak się nam tylko wydawało, bo spoczywały tam szczątki zupełnie innych osób. Ot, siurpryza. A ofiary niemieckiego terroru, wśród nich mojego stryja, odnaleziono dopiero podczas prowadzonych przez IPN prac ekshumacyjnych i po przeprowadzonych badaniach genetycznych. I to tyle, a opowieść tę dedykuję tym wszystkim, którzy uważają, że tego rodzaju działania Instytutu Pamięci Narodowej po ponad 70 latach są niepotrzebne. I niech wam Bóg głupotę wybaczy.

Tymczasem „Lwy mojego podwórka", o których poczytności przekonałem się w ciągu ostatnich lat, choćby wielokrotnie pożyczając swój egzemplarz książki zainteresowanym osobom, doczekały się, po poprawkach, nowej, trzeciej już edycji. Marek Nowakowski, rekomendując swego czasu „Lwy…" do Nagrody im. Józefa Mackiewicza, którą jednak ostatecznie nie nagrodzono książki na wyróżnienie to zasługującej jak mało która wydana po 1989 r., pisał: „»Lwy« stanowią wspomnienia z czasów okupacji w dzielnicy będącej ucieleśnieniem wizji »szklanych domów« – chodziło o Żoliborz. – Autor przywołuje malowniczą wyrazistą galerię mieszkańców swojego małego świata, poczynając od woźnej z przedszkola. Janiny Bierutowej (tak, tak, małżonki przyszłego prezydenta Polski Ludowej), sąsiada i cichego adoratora matki, Teodora Cołojewa, dumnego czerkiesa z Kaukazu, po rotmistrza Pileckiego, bohatera Polski Podziemnej…".

Wielu bohaterów „Lwów mojego podwórka", także kolegów pisarza z czasów powstania, nie ma już wśród nas. Autor ma już przecież 86 lat. „Lwy…" żyją jednak swoim, i to jakże ciekawym, życiem. Oto z autorskiego wstępu do nowego wydania dowiadujemy się, że świadectwo w nim zawarte staje się podstawą do pośmiertnego nadania Witoldowi Pileckiemu medalu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przyznawanych przez jerozolimski instytut Yad Vashem za pomoc ukrywającym się Żydom. „Jak napisałem w »Lwach…« – pisze Jarosław Abramow-Newerly – Witold Pilecki uwolnił mnie i moją Mamę od prześladowań żydowskiego szmalcownika Saula, który groził nam wydaniem w ręce gestapo, jeśli nie otrzyma odpowiedniej zapłaty. Szantażowana Mama powiadomiła o tym Majora i ów szmalcownik zniknął z naszego życia. Byliśmy uratowani. Najpewniej na rozkaz Majora został przez podziemie zlikwidowany".

Żeby nie było za pięknie, okazuje się dalej, że świadectwo w Jerozolimie uznane zostało za niewystarczające – zastanawiam się, czy gdyby szmalcownik nie był narodowości żydowskiej, trudności byłoby znacznie mniej – niemniej starania trwają, a włączył się do nich także polski rząd. Mówiąc wprost, nie chce mi się drążyć tego tematu, za to tym chętniej zacytuję jako komentarz do całej sprawy Jarosława Abramowa-Newerlego, który powiada:

„Nigdy nie przypuszczałem, że skromny pan w cywilu, nienoszący się po wojskowemu jak inni chłopcy z konspiracji w bryczesach i oficerkach, którego poznałem na obiadach w mieszkaniu Palińskich w 1943 roku, będzie kiedyś tak sławny, a moje spotkanie z Nim okaże się tak ważne. Ten przykład najlepiej świadczy o tym, że warto pisać o ludziach, których się kiedyś poznało, bo nigdy nie wiadomo, co się po latach z nimi stanie".

Wywiad z gen. Gaz-Rurką

Jarosław Abramow-Newerly w „Lwach STS-u" nieco górnolotnie pisał: „Październik 1956 był dla nas, dzieci wojny, pierwszą i największą bitwą życia. Wyrastaliśmy wśród ruin i fakt, że nasze bezkrwawe powstanie skończyło się zwycięstwem, napawał nas dumą. Nadzieje mieliśmy nie mniejsze niż w sierpniu 1944 roku. Tym boleśniejszy był upadek. Gdy wszystko okazało się mrzonką. Moje pokolenie mogło ruszyć bryłę z posad świata, gdyby nie podcięto mu skrzydeł. Zdradzone – porzuciło swój romantyzm i wyciągnęło wnioski".

W październiku 1956 r. autor „Lwów STS-u" miał 23 lata, był magistrem polonistyki, współzałożycielem Studenckiego Teatru Satyryków, a zostawał

eprasa.pl cca2dcaa5c

właśnie redaktorem naczelnym akademickiego tygodnika „Od nowa". Tak to wspominał: „Numer naszej »Od Nowy« mieliśmy gotowy. Chcąc konkurować z »Po Prostu«, musiałem zwrócić uwagę i ostro zamieszać. Poza artykułem wstępnym obmyślanym z Wróblem, który wydrukowałem w formie odręcznego listu do czytelników, sam go przepisując – głównym gwoździem numeru były wywiady z czołowymi dogmatykami: generałem Kazimierzem Witaszewskim, Zenonem Nowakiem, Marianem Mazurem i Wiktorem Kłosiewiczem. Chcieliśmy ustrzelić Piaseckiego, ale się nie dał podejść. Kategorycznie odmówił. Był mądrzejszy od towarzyszy z KC, którzy wyszli na balonów. Moi debiutujący koledzy pokazali lwi pazur godny Cata-Mackiewicza.

Wywiad z generałem Witaszewskim przeprowadził mój młodszy kolega z polonistyki i sąsiad z Piątki [Kolonii WSM na Żoliborzu – przyp. K.M.] – Andrzej Dobosz. Przyszedł do Witaszewskiego z niewinną minką, młodziutki chłopczyna i udał głupka. Generał rozgadał się przed nim na dobre, skarżąc się na niesprawiedliwą nagonkę młodzieży. Dobosz mu współczuł: – To straszne, obywatelu generale.

Kiedy nam ten wywiad przeczytał – padliśmy ze śmiechu. Generał Gaz-Rurka wyszedł na pełnego wała. Podobnie Nowak i Kłosiewicz. Wiedziałem, że te satyryczne wywiady zaskoczą – bo nikt ich dotąd nie robił.

Tomek Łubieński z pobytu na Węgrzech przyniósł nam zdjęcia z rozgrywających się tam walk, których my na szczęście uniknęliśmy. Krasnoarmiejcy w papachach na czołgach, młodzi chłopcy rzucający butelki z benzyną, ranni na noszach, sztab obrony Pala Maletera i płonący Budapeszt przypomniały mi Powstanie Warszawskie i mocno poruszyły. Postanowiliśmy te zdjęcia włączyć do gotowego już numeru w formie wkładki. Nie mieliśmy materiałów na drugą stronę i odwrót został biały. Na znak solidarności z Węgrami, za radą Andrzeja Wróblewskiego, zamieściliśmy na ostatniej stronie fragment słynnej powieści Ferenca Molnara »Chłopcy z Placu Broni« mówiący o śmierci małego Nemeczka. Ryś Słapczyński namalował symboliczny złamany czerwony goździk...

Numer wydaliśmy w dziesięciu tysiącach egzemplarzy. ZSP wracało do wzorców »Bratniaka« i chciało się oderwać od dotacji państwowych. Powiedziano mi, że jeśli sprzedam dwudziestotysięczny nakład – pismo będzie samowystarczalne, a wyżej zacznie przynosić dochód. Za wszelką cenę chciałem ten cel osiągnąć.

Powodzenie pierwszego numeru przeszło nasze oczekiwania. Drukarze sami wynieśli numer na miasto. Znak, że tak jak w STS-ie trafiliśmy do szerokiego odbiorcy.

Kazimierz Rudzki doniósł mi, że nasze wywiady czytał w szkole teatralnej na głos Zenonowi Kliszce, który świeżo wyszedł z więzienia. – I Kliszko przy Witaszewskim ze śmiechu wszedł pod stół. Przysięgam panu, panie Jarku! Nic nie kłamię – zapewniał z kamienną twarzą.

[...] Drugi numer »Od Nowy« zaplanowałem jeszcze ostrzej. Gwoździem satyrycznym był z kolei fotomontaż z powrotu do kraju premiera Stanisława Mikołajczyka. Był to blef – ale zdjęcia podrobiliśmy tak, że tekst wydawał się prawdziwy. Numer w dwudziestu tysiącach egzemplarzy był w druku. Cenzura przestała interweniować. I wszystko poszło...

I nagle zakomunikowano mi, że »Od Nowa« została zawieszona.

– Za co? – spytałem.

– Za naruszenie polskiej racji stanu – odparto".

Taki też był koniec „Od Nowy".

Taniec z żoną Louisa Armstronga

Popaździernikowa odwilż uchyliła jednak granice i z tego skorzystał przyszły autor „Anioła na dworcu", wyjeżdżając do Francji. O swoim tam pobycie opowiedział po latach w książce poświęconej paryskiej „Kulturze", a szczególnie Zygmuntowi Hertzowi. Mówiąc o nim, opowiada i o sobie. Także o tym, jak swój drugi pobyt w Paryżu w 1958 r. przedłużył do roku, a to za sprawą „Tygodnika Polskiego", oficjalnego PRL-owskiego pisma dla Polonii francuskiej, dla którego autor „W cieniu paryskiej Kultury" pisać miał reportaże, a przy okazji reporterskich wojaży załatwiać prenumeraty, od których otrzymywał prowizję. Zarobione pieniądze składał na wymarzony samochód. No i pięknie, tylko że pisywał do tego „Tygodnika…", a mieszkał w Maisons-Laffitte, o czym ponoć nikt poza zaprzyjaźnionym Jerzym Mondem nie wiedział.

Prenumeratorzy „Tygodnika Polskiego" okazać się mieli w przeważającej większości członkami Komunistycznej Partii Francji, co zwróciło uwagę policji. Ta wzięła akwizytora za agitatora i chciała deportować go do Polski. Tego Abramow uniknął dzięki Tadeuszowi Rapackiemu, którego poznał wcześniej: „Pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i przypadkowo się o tym dowiedział. Bardzo pomagał Polakom, przyznając im stypendia z puli ministerstwa. Rapacki zaręczył za mnie, że nie jestem żadnym agitatorem, tylko stażystą teatralnym, a w »Tygodniku« jedynie sobie dorabiam. Dzięki temu nie byłem nawet przesłuchiwany na policji. O wszystkim dowiedziałem się od Zygmunta Hertza, który rozmawiał z Rapackim". Cały ten wywód wziąć można za dobrą monetę z wyjątkiem jednego słowa: „przypadkiem". W podobnych służbach przypadki się nie zdarzają.

Książka Abramowa obfituje, na szczęście, także w zupełnie inne opowieści. Jak ta o paczce z Francji, którą otrzymał autor od Hertza po tym, jak wysłał mu w podarunku przywiezioną z Bułgarii pliskę. Hertz zrewanżował się… dwoma kilogramami gryczanej kaszy, no bo skoro w ojczyźnie koniaku dostaje bułgarski koniak, to wypada mu do ojczyzny kaszy wysłać kaszę właśnie.

Trzeba przyznać, że młodość miał Jarosław Abramow-Newerly niebanalną, a znajomości zawierał wyjątkowe. W końcu na włoskim festiwalu w Spoleto podpuszczony przez kolegów ze Zbigniewem Herbertem na czele tańczył z żoną Louisa Armstronga, a nawet imitował trębacza w jego orkiestrze, a w „Le Monde" pisał: „[…] stało jak byk, że znany polski satyryk monsieur Jarosław Abramoff, bawiący obecnie w Paryżu, został przyjęty przez księżnę Grace i księcia Rainiera III na specjalnej prywatnej audiencji w ich pałacu w Monako. Para książęca żywo interesowała się sytuacją w Polsce. Zwłaszcza księżna, słynna aktorka Grace Kelly, z uwagą wysłuchała opowieści młodego autora o tym znanym teatrze, który teraz obchodzi uroczyście swoje pięciolecie. Księżna przekazała na jego ręce życzenia dalszych sukcesów artystycznych dla teatru STS w Warszawie, który monsieur Abramoff tak świetnie reprezentował.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Kiedy mówiłem, że to żart, poklepywali mnie [warszawscy znajomi – przyp. K.M.] protekcjonalnie.

– Dobra, dobra, Jarku. Nie fanzol. Powiedz lepiej, co było po audiencji. Bo dziennikarz »Le Monde« doniósł tylko, że nas wspaniale reprezentowałeś, ale nie znamy szczegółów. Wal śmiało, stary, nie krępuj się! – Mrugali do mnie znacząco.

W końcu przestałem zaprzeczać i też uśmiechałem się znacząco".

Bo i cóż zresztą było począć, także po tym, jak mu w nagrodę za zagraniczne występy cofnięto paszport. Na osiem lat. Chciał nie chciał, zabrał się autor do pisania. Powstały wtedy m.in. sztuki „Anioł na dworcu" i „Derby w pałacu", tworzył też słuchowiska dla Polskiego Radia. W latach 70. powstały inne jego znane utwory sceniczne, „Klik-klak" i „Darz bór".

Pustynia aż do pl. Bankowego

Prozę na dobrą sprawę zaczął pisać dopiero w Kanadzie, ale rozpisał się niczym stachanowiec. Poza świetnymi „Lwami..." wydał inną trylogię, powiedziałbym kanadyjsko-ukraińską, a może jeszcze inaczej: po prostu kresową: „Nawiało nam burzę", „Granica Sokoła", „Młyn w piekarni". I jeszcze jedno zajmujące wspomnienie: „Patent na życie".

„Autor Lwów STS-u" smakowicie opowiadał mi przed laty o swoim pobycie w Moskwie, na Festiwalu Młodzieży w 1957 r.: „Między innymi poznałem Annę Abramownę Berzin, żonę Brunona Jasieńskiego. Wyszła z łagru po siedemnastu latach, opowiadała mnóstwo ciekawych historii i niczego się nie bała. Wstyd powiedzieć, ale nie miałem wtedy pojęcia, kim był Berzin, wielka za Lenina figura. Od pani Anny usłyszałem, że gdy flirtował z nią, wciąż im przeszkadzał mały, ospowaty człowieczek, aż Berzin się w końcu zdenerwował i wyrzucił go za drzwi ze słowami: »Paszoł won, swołocz«. To był Stalin. Anna Berzin mówiła: »Żeby w 1937 roku, gdy już Berzina rozstrzelał, przypomniał sobie, że byłam jego żoną, tobym nie wyszła żywa, ale na szczęście nie skojarzył sobie mnie czy też nie chciał skojarzyć«.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem sławne »Podmoskiewskie wieczory«, napisane przez Sołowjowa-Siedoja właśnie na ten festiwal, na zamówienie

władz. Mieszkając teraz w Kanadzie, słyszę często tę pieśń i zachwyty nad nią. A ona powstała po to, by cudzoziemcom zapadnikom pokazać piękno Sowietów".

Świetne piosenki wychodziły też spod ręki Jarosława Abramowa-Newerlego, do których pisał i słowa, i muzykę. To jego są sławne przeboje Bohdana Łazuki na czele z „Bohdan, trzymaj się", to on też skomponował muzykę do „Okularników" z tekstem Agnieszki Osieckiej. Warto napomknąć, że tę ostatnią piosenkę zdarzyło się wykonać nie komu innemu, ale właśnie Tadeuszowi Łomnickiemu (!) w filmie Marka Nowickiego ze scenariuszem Abramowa z lat 80. – „Miłość z listy przebojów". Film jest knotem co się zowie, ale po pierwsze pokazuje się w nim na moment sam scenarzysta, a po drugie piosenki się bronią. Także ta o długim tytule „Wszystko prawie tak jak w starym kinie" duetu Irena Santor i Jerzy Połomski (w filmie swój talent wokalny ujawnia też... Marian Kociniak). Tak to szło:

Gdzie ten dziwny świat i tamta era
Gdy do tańca grał zespół Cajmera
A w miłości naszej nie był tylko tłem
Kandelabr z MDM.

Wróg spotykał się z twardą oceną
Gdy śpiewała nam Carmen Moreno
A Picassa sztuka jeszcze była zła
Gdy ja do ciebie szłam.

Przez zniszczony plac i ruin morze
Kto nam wtedy grał, pamiętasz może?
Wreszcie się pojawił nasz błękitny jazz
Kładąc tej polce kres.

Tekst ten koresponduje z tym, co mówił autor po wydaniu „Lwów wyzwolonych": „Żałuję, że nie mogłem do swej książki dołączyć więcej zdjęć zburzonej Warszawy – tylko trzy ze stu, którymi dysponowałem. Już nie zdajemy sobie sprawy, jak to miasto wyglądało. Nie było żadnego całego mostu, wszędzie chodziło się pieszo, niezburzony Mokotów był enklawą. Na terenie getta rosły góry gruzu. Na ulicy Muranowskiej [...] stał samotny, pięciopiętrowy dom, reszta była pustynią aż do placu Bankowego. Każdy przyzwoity człowiek brał się do odbudowy i nie było ważne, kto nią kierował: diabeł czy komuniści. Chodziło o naszą Warszawę".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Jan Matejko „Jan Sobieski pod Wiedniem” FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Chwała Rzeczypospolitej

Różne oblicza przedmurza

Michael Morys-Twarowski opisuje lekko i przystępnie polskie zmagania z Prusami, Litwinami i Mongołami, a także Tatarami i Turkami. Książka nosi tytuł „Przedmurze cywilizacji. Polska od 1000 lat na straży Europy”.

Autor stwierdza, że Polska czasami bywała przedmurzem cywilizacji (chrześcijańskiej, czego, co warte zauważenia, nie dodano w tytule), a czasami nie. Rzeczywiście, przecież polscy królowie i książęta nie tylko walczyli z poganami oraz muzułmanami, lecz także zawierali z nimi sojusze (Litwa, chanat krymski), mimo że byli chrześcijańskimi władcami. Polityka i interesy okazywały się ważniejsze niż religia. Zdaniem autora Piastom mazowieckim bardziej zależało na tym, by Prusowie płacili daniny niż na ich ochrzczeniu.

Książka pokazuje przerażający obraz XIII w., gdy księstwa piastowskie, głównie Mazowsze i Kujawy, były wielokrotnie najeżdżane przez Prusów, Litwinów i Mongołów. „Nie walki między Piastami, nie Krzyżacy, nie Mongołowie, ale Litwini byli »największą zarazą«, jaka przetoczyła się przez ziemie polskie” – twierdzi autor. W bitwie nad Bzurą zginął Kazimierz książę kujawski, w zdobytym grodzie w Jazdowie został wzięty do niewoli i ścięty książę mazowiecki Siemowit.

Najazdy litewskie były rujnujące. W 1231 r. Litwini spalili 100 wsi, zabili ponoć aż 20 tys. ludzi, 5 tys. wzięli do niewoli, pod koniec XIII w. wymordowali 400 osób w kościele w Łęczycy. Remedium stanowiły czasami małżeństwa książąt piastowskich z Litwinkami. Dzięki temu uniknął najazdu Wacław książę płocki, a małżeństwo Kazimierza, syna Łokietka, z Aldoną sprawiło, że zawarty w ten sposób sojusz zaowocował wspólnymi polsko-litewskimi wyprawami na Krzyżaków i Brandenburczyków.

Rzezi dokonywali także Mongołowie. Kronikarz tak opisał masakrę po zdobyciu Sandomierza w 1260 r.: „Rzeki krwi spływające do rzeki spowodowały jej wezbranie, a gdy mordując ich, dali upust swojej srogości i znęcaniu się, pozostałych mężczyzn zepchnęli do rzeki Wisły, jak stado bydła i zatopili”. Morys-Twarowski pisze także o „sarmackim Katyniu”. W 1651 r., po bitwie pod Batohem, na rozkaz Kozaków Chmielnickiego Tatarzy nogajscy wymordowali kilkuset polskich jeńców. Wśród ofiar był Marek Sobieski, brat przyszłego króla Jana III.

W walce z Turkami poniósł śmierć hetman Stanisław Żółkiewski, który nie chciał się ratować ucieczką podczas odwrotu spod Cecory. To chwalebna strona jego wyprawy. Autor pisze też jednak o haniebnej panice, która ogarnęła szeregi jego wojska pod wpływem fałszywej wiadomości, że hetman uciekł. Rozpoczęła się dezercja, później doszło do wzajemnego obrabowywania się z łupów.

W bitwie pod Warną zginął król Władysław III. Poniósł konsekwencje nierozważnego zerwania rozejmu zawartego z sułtanem. Inna to już sprawa, że – jak dodaje autor – do bitwy parł János Hunyady, a król wolał raczej bronić się w obozie, jednak nie narzucił swojej woli. Jego bratanek Jan Olbracht był rozsądniejszy, a doradzał mu pokój z Turkami nie kto inny, jak wuj Kopernika, bp Łukasz Watzenrode. Było to jednak już po tym, jak król poniósł fatalną porażkę na Bukowinie, co zostało utrwalone w powiedzeniu: „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta”.

Tatarzy krymscy byli raz wrogami, raz sojusznikami Rzplitej. Chan krymski Mehmet Girej IV nie zawiódł Jana Kazimierza podczas szwedzkiego potopu. Autor stawia go nawet jako symbol wierności obok takich postaci jak ks. Kordecki i Stefan Czarniecki. Chan krymski wzywał do powrotu do posłuszeństwa królowi tych, którzy od niego odstąpili, a jego ludzie wzięli w bitwie pod Prostkami do niewoli zdrajcę Bogusława Radziwiłła.

Nie można też zapominać, że w służbie wojskowej Rzeczypospolitej byli jej obywatele muzułmanie: polscy Tatarzy. Jak również szlachta herbu Prus, wywodząca się od Prusów, którzy schronili się na ziemiach polskich przed wytępieniem ich narodu przez Krzyżaków. ©℗

Tomasz Stańczyk

MICHAEL MORYS-TWAROWSKI „PRZEDMURZE CYWILIZACJI. POLSKA OD 1000 LAT NA STRAŻY EUROPY”
ZNAK

eprasa.pl cca2dcaa5c

Generał Sosabowski – kozioł ofiarny Anglików

Wznowienie znakomitej książki Amerykanina polskiego pochodzenia George'a F. Cholewczynskiego. Autor nie tylko przekopał się przez brytyjskie archiwa, lecz także miał szczęście poznać wielu żołnierzy 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego. Na podstawie tego oryginalnego materiału źródłowego stworzył poruszający obraz bitwy pod Arnhem. A konkretnie – udziału w niej polskich skoczków spadochronowych.

Przeprowadzona we wrześniu operacja „Market Garden" w zamyśle brytyjskich sztabowców miała zakończyć II wojnę światową. Jej celem było opanowanie mostów w Holandii i przebicie się do przemysłowego serca III Rzeszy – Zagłębia Ruhry. Plan był wspaniały, ale nie przewidywał jednej „drobnej" sprawy. Tego, że Niemcy będą się bronić.

W efekcie alianci dostali srogie lanie. Operacja „Market Garden" zakończyła się rzezią spadochroniarzy. Amerykanów, Brytyjczyków, ale również Polaków. Jedynym oficerem wyższego stopnia, który ostrzegał, że plan jest fatalny i akcja skończy się katastrofą, był gen. Sosabowski. Mimo to – a może właśnie dlatego – Brytyjczycy zrzucili na niego winę za fiasko operacji „Market Garden". I wymusili jego dymisję.

„W długiej historii niesprawiedliwości – napisał we wstępie do książki Norman Davies – nikt nie został potraktowany bardziej niesprawiedliwie niż generał Sosabowski. Klęska na taką skalę wymagała kozła ofiarnego".

Tym kozłem ofiarnym stał się niepokorny polski generał, który miał odwagę mówić Brytyjczykom prosto w oczy to, co myśli. Książka Cholewczynskiego to nie tylko opowieść o paskudnej intrydze, której ofiarą padł generał. To przede wszystkich pasjonująca historia polskich bohaterów. Dzielnych spadochroniarzy, którym nie dane było skoczyć do kraju, ale którzy bez zarzutu wykonali swój żołnierski obowiązek na dalekiej holenderskiej ziemi. ©℗

Piotr Zychowicz

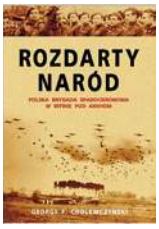

GEORGE F. CHOLEWCZYNSKI
„ROZDARTY NARÓD. POLSKA BRYGADA SPADOCHRONOWA W BITWIE POD ARNHEM"
AMF+

Conan Doyle jako Holmes

Tym razem Conan Doyle nie opisywał kolejnej zagadki rozwiązywanej przez Sherlocka Holmesa, ale sam podjął się wyjaśnienia sprawy morderstwa starszej, bogatej mieszczanki z Glasgow. Skłoniło go do tego przeświadczenie, że Oskar Slater – oskarżony i skazany za jego popełnienie i odsiadujący od kilkunastu lat dożywocie w szkockim więzieniu – jest niewinny. Po wnikliwej analizie śledztwa Doyle odkrył ewidentne uchybienia policji i sądu, z widocznym dążeniem do oczyszczenia z podejrzeń nobliwego obywatela kosztem żydowskiego emigranta z Niemiec, niebieskiego ptaka, hazardzisty i zapewne sutenera. Sławny pisarz nie pozostał obojętny. I po 18 latach odsiadki Slater wyszedł w 1928 r. na wolność. Ta historia jest równie zajmująca co opowiadania o Sherlocku Holmesie! ©℗ ***(m.r.)***

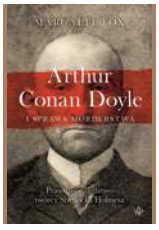

MARGALIT FOX
„ARTHUR CONAN DOYLE I SPRAWA MORDERSTWA"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

RICHARD FREIHERR VON ROSEN
„NIEMIECKI AS PANCERNY NA FRONTACH II WOJNY ŚWIATOWEJ"
VESPER

W PANZER III I W TYGRYSIE

Autor na front trafił podczas najazdu na ZSRS jako celowniczy w Panzer III. Z czasem został dowódcą 3. Kompanii 502. Batalionu Czołgów Ciężkich – Tygrysów; dominujących pod Kurskiem i w Normandii, ale z zawodnymi silnikiem i skrzynią biegów. Kilkakrotnie ranny. Walki pancerne opisuje ciekawie. O zbrodniach niemieckich usłyszał rzekomo po wojnie. ©℗ ***(m.r.)***

DARIUSZ KALIŃSKI
„CZERWONY NAJAZD"
CIEKAWOSTKIHISTORYCZNE.PL

HORROR 17 WRZEŚNIA

Wreszcie na rynku ukazała się napisana z biglem opowieść o 17 września 1939 r. Zarówno o samej agresji sowieckiej na Polskę, jak i towarzyszących jej zbrodniach oraz ich konsekwencjach. Czyli brutalnej sowietyzacji wschodniej Polski, deportacjach ludności cywilnej i czerwonym terrorze. Wszystko napisane lekko i ciekawie, ale jednocześnie fachowo. Modelowa książka popularyzatorska. ©℗ ***(p.z.)***

„NIE ZABIJAJ. NACJONALIZM I LUDOBÓJSTWO NA KRESACH WOBEC KOŚCIOŁA, ETYKI I ZASAD HUMANIZMU"
IPN

MĘCZENNICY WOŁYNIA

Ważna publikacja o zbrodniach UPA oraz o pamięci o jej ofiarach. Leon Popek pisze, że na Wołyniu krzyże stoją w 170 miejscach. 1130 miejsc nie jest dotąd uapmiętnionych. Niestety, Ukraińcy na Wołyniu nie są chętni, by ujawniać miejsca spoczynku zamordowanych. A za 10 lat nikt już nie będzie wiedział, gdzie one są... Być może doczekamy się wyniesienia na ołtarze męczennika, ks. Ludwika Wrodarczyka. Trwa jego proces beatyfikacyjny. ©℗ ***(ts)***

eprasa.pl cca2dcaa5c

Autor podczas wakacji nad Krutynią. Obok: jego mama i dzieci gospodyni autochtonki FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA ORŁOSIA/FOTONOVA

Chłopiec z „Albatrosa”

Myślę, że wspomnienia znanego pisarza – jak również literaturę, którą tworzy – charakteryzuje pewien fragment dotyczący lat 50., kiedy uczył się w renomowanym Gimnazjum im. Reytana. Pisze, że otrzymał ocenę niedostateczną, gdyż zbojkotował „lekturę powieści pisarza radzieckiego Ostrowskiego »Jak hartowała się stal«. Były tam fragmenty z opisem wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, oczywiście tendencyjne. [...] Po prostu nie chciałem pisać tego, co budziło opór i było tak sprzeczne z tradycją wyniesioną z domu. [...] Po latach, czytając »Armię konną« Isaaka Babla z opisem wojny polsko-bolszewickiej, przekonałem się, jak można dawać świadectwo temu, co widziało się na własne oczy. Bez żadnej narzuconej interpretacji i bez żadnych komentarzy”.

Proza Kazimierza Orłosia (ur. 1935) wpisuje się w nurt realizmu, który z końcem lat 50. uprawiali m.in. Marek Hłasko i Marek Nowakowski. Orłoś dołączył do nich na przełomie lat 50. i 60. opowiadaniami publikowanymi w „Twórczości”, „Więzi” i „Kierunkach”, a wreszcie w tomiku „Między brzegami” wydanym przez PIW. Nadal utrzymywał się jednak, pracując na budowach elektrowni w Turoszowie, a następnie zapory wodnej w Solinie. Jako radca prawny negocjował tam m.in. z chłopami warunki wywłaszczeń terenów pod te budowy. Tkwił w prawdziwym życiu PRL.

Jeśli dodamy do tych doświadczeń rodzinne tradycje szlachty z Rusi i z Wileńszczyzny, wychowanie w prawdziwie inteligenckim domu (rodzonymi braćmi matki byli słynni Mackiewiczowie – Stanisław oraz Józef) i wyniesioną z niego wrażliwość na krzywdę ludzką, to lepiej zrozumiemy charakter utworów Orłosia. Wpływ miały też wakacje nad mazurską Krutynią czy nad morzem i pustej za jego dzieciństwa Mierzei Wiślanej, gdzie tajniki przyrody zgłębiał dzięki ojcu – leśnikowi.

Być może wielu czytelników bardziej zainteresują rozdziały z lat 1976–1989, z odesłaniami do głośnych wydarzeń politycznych, mnie jednak wciągnęły wspomnienia z lat szkolnych i studenckich autora, którego śladami na Mokotowie czy na uniwersytecie musiałem jakieś 12 lat później sam chodzić. Może jednak przeczytają je również młodzi dziennikarze, którzy dziś lubią wygłaszać o czasach PRL opinie równie kategoryczne, co powierzchowne. A tu na przykład taki pozornie nieznaczący szczegół: Dlaczego w latach stalinowskich gimnazjaliści stworzyli chór rewelersów, który godził się śpiewać komsomolskie piosenki? Otóż – jak pisze autor – żeby móc zaśpiewać też „Chłopców z »Albatrosa«”: „O tym pierwszym, co był chudy, o tym drugim, co był rudy, i tak dalej – do piątego, o którym ja śpiewałem i który »w miłości był najsłodszy«”. ©℗

Maciej Rosalak

KAZIMIERZ ORŁOŚ „DZIEJE CZŁOWIEKA PISZĄCEGO”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Agentki SOE i NKWD

W książce o kobietach agentkach działających podczas II wojny światowej nie mogło, oczywiście, zabraknąć Krystyny Skarbek. „Uwielbiała przygody, kochała życie i mężczyzn, którzy opisywali ją jako »ten typ kobiety, przed którymi ostrzegały nas nasze matki«. Miała silną wolę, znała wiele języków i była nieprawdopodobnie odważna".

Autor opowiada o kobietach w służbie brytyjskiego SOE i amerykańskiego OSS, agentkach, kurierkach, sabotażystkach, których głównym terenem była zarówno okupowana, jak i nieokupowana Francja. Polskiego czytelnika zainteresuje historia jeszcze sprzed wybuchu wojny. Betty Pack, żona brytyjskiego dyplomaty w Warszawie, sypiając z urzędnikami MSZ, wydobywała od nich wiedzę o polskich osiągnięciach w łamaniu szyfru „Enigmy”, którymi nie chciano się jeszcze podzielić z Brytyjczykami.

Interesująca jest też historia szkolenia kobiet-agentów NKWD w ośrodku SOE. Jedną z nich była polska Żydówka Szyfra Lipszyc, była weteranka hiszpańskiej wojny domowej. Dotarła do Paryża, skontaktowała się z dwoma innymi agentami sowieckimi i zaczęła przesyłać raporty o ruchach oddziałów niemieckich. Wzięła udział w licznych aktach sabotażu.

Średnia wieku agentek wynosiła 25 lat. Autor stwierdza: „Ich kobiecość stanowiła wartość samą w sobie, gdyż uważano, że były mniej narażone na rewizję lub aresztowanie przez Niemców, gdy przewoziły wiadomości lub obsługiwały radiostacje”. ©℗

Tomasz Stańczyk

GORDON THOMAS, GREG LEWIS „WALCZYŁY W CIENIU MĘŻCZYZN”
BELLONA

eprasa.pl cca2dcaa5c

Strzały przy ul. Kopernika

W ramach realizowanego przez IPN projektu „Losy Polski i jej obywateli w latach II wojny światowej" doczekaliśmy się kolejnego, trzeciego, tomu z serii „Polska pod okupacją 1939–1945". Spośród kilkunastu zamieszczonych w książce artykułów na szczególną uwagę zasługuje tekst prof. Igora Hałagidy dotyczący zamachu przeprowadzonego w Warszawie przez grupę konspiratorów wywodzących się z oddziału bojowego „Wapiennik", stanowiącego jednostkę likwidacyjną referatu kontrwywiadowczego 993, podlegającego Oddziałowi II KG AK, na siedzibę Ukraińskiego Komitetu Pomocowego mieszczącego się przy ul. Kopernika 13. Kulisy tej akcji oraz jej przygotowania znane są, jeśli chodzi o polską stronę, m.in. ze wspomnień Izabeli Horodeckiej. Tym razem mamy do czynienia z przedstawieniem dokumentu sporządzonego przez ks. dr. Mychaiła Sopulaka, kierownika Referatu Opieki Społecznej UCK w Krakowie. Wspomniany duchowny sporządził sprawozdanie z tej akcji na podstawie rozmowy z płk. Petro Kryżaniwskim, którą odbył podczas swej bytności w Warszawie w dniach 2–4 kwietnia 1944 r.

PRACA ZBIOROWA „POLSKA POD OKUPACJĄ 1939–1945, T. 3"
IPN

Głównym celem zamachu podczas akcji na komitet był petlurowiec, ppłk Mychaiło Pohotówko, oficer lotnictwa armii Ukraińskiej Republiki Ludowej. Wiosną 1940 r. objął on urząd przewodniczącego warszawskiego UDK. Pełniąc tę funkcję, angażował się w działania zmierzające to tworzenia ukraińskich jednostek wojskowych przy armii niemieckiej, ale nie był on przewodniczącym komitetu werbunkowego ochotników do dywizji SS-Galizien, bo funkcję tę sprawował od czerwca 1943 r. wspomniany Petro Kryżaniwski. Nie sposób dziś czegokolwiek powiedzieć o jakiejś szkodliwej dla Polskiego Państwa Podziemnego działalności podpułkownika. Być może na decyzję o zabiciu go wpłynęły kontakty z niemieckimi organami policyjnymi, które bez wątpienia jako przewodniczący komitetu miał.

Pierwsza nieudana próba zamachu odbyła się 14 lutego 1944 r. w mieszkaniu Pohotówki. Dopiero druga akcja przeprowadzona 31 marca 1944 r. przyniosła sukces. Jak wynika z zacytowanego dokumentu ks. Sopulaka, podpułkownik zginął jako pierwszy w swoim gabinecie, gdy rozmawiał przez telefon z funkcjonariuszem SD. Postrzelony w brzuch został potem dobity strzałami w głowę i pierś. Gdy już nie żył, dodatkowo oddano jeszcze do niego kolejnych osiem strzałów.

Kiedy wykonawcy zamachu schodzili na dół, na drugim piętrze zabili: kolejne dwie osoby, urzędnika sekcji inwalidzkiej UDK Dymytra Denyszenkę oraz jednego z ewakuowanych z Kijowa uciekinierów – Hryhorija Doroszenkę.

Na pierwszym piętrze napastnicy zastrzelili w kancelarii sekretarza komitetu Fedira Kohutiaka, a w holu na parterze przybyłą tam z ośmioletnim synem Jarosławem w celu załatwienia swoich prywatnych spraw Walentynę Sołowij – żonę ukraińskiego emigranta, działacza społecznego i kościelnego, oficera armii URL Wiktora Sołowija, oraz dwóch nieuzbrojonych portierów, z których jeden nazywał się Serhij Hamalija.

Po ok. 20 minutach od całego zajścia na miejsce przybyła niemiecka Policja Bezpieczeństwa, zaalarmowana zapewne przez funkcjonariusza SD, z którym rozmawiał Pohotówko. Po dwóch dniach na prośbę Kryżaniwskiego Niemcy zdecydowali się postawić przed budynkiem UDK wartę w postaci dwóch uzbrojonych w broń maszynową ukraińskich esesmanów.

3 kwietnia 1944 r. ppłk Mychaiło Pohotówko został pochowany na cmentarzu prawosławnym na warszawskiej Woli. Nabożeństwo żałobne, tzw. panichidę, odprawił metropolita Dionizy Konstanty Waledyński. Nad grobem zaś przemawiali ze strony UCK autor sprawozdania oraz płk Kryżaniwski. Dwa dni później, 5 kwietnia 1944 r., pochowano również na wolskim cmentarzu pozostałe ofiary napadu. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

Generałowie na froncie wschodnim

Swego czasu pochłaniałem wspomnienia niemieckich żołnierzy z frontu wschodniego. Opowieści o straszliwych mrozach, wojennym okrucieństwie, katastrofalnych warunkach walki. Przede wszystkim jednak o granicach ludzkiej wytrzymałości, które musieli przekraczać żołnierze Wehrmachtu walczący z bolszewizmem.

Opowieści te snute były na ogół z perspektywy szeregowców lub podoficerów. Zwykłych żołnierzy z poboru, którzy zostali wyrwani ze swoich domowych pieleszy w Bawarii lub Saksonii i rzuceni do lodowego piekła.

Teraz ukazała się książka, która pokazuje realia sowieckiego pola walki z innej perspektywy. Z perspektywy niemieckich generałów. A konkretnie – Erharda Rausa, Waldemara Erfurtha i Hansa Greiffenberga. Ci trzej oficerowie spisali swoje doświadczenia po wojnie. Zostały one przygotowane na prośbę armii amerykańskiej i wydane jako broszury Departamentu Armii Stanów Zjednoczonych. Chodziło o to, by zapoznać się z niemieckimi doświadczeniami i – w razie wojny z ZSRS – uniknąć niemieckich błędów.

Jest to perspektywa ciekawa. Generałowie w swoich raportach w fachowy, chłodny sposób analizowali sowieckie metody walki oraz wpływ rosyjskiego klimatu na prowadzenie wojny. Lektura obowiązkowa dla wszystkich interesujących się frontem wschodnim. I powodami, dla których zwycięstwo, które było w zasięgu ręki, zamieniło się w straszliwą klęskę. ©℗

Piotr Zychowicz

RED. PETER G. TSOURAS „WALCZYLIŚMY W PIEKLE. RAPORTY NIEMIECKICH GENERAŁÓW Z FRONTU WSCHODNIEGO"
RM

eprasa.pl cca2dcaa5c

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Scenariusz dla Komendanta

Film „Piłsudski" potwierdził prawidłowość, o której pisałem w „Złowrogim cieniu Marszałka": polska kultura nie jest w stanie sobie z tą postacią poradzić. Wiem dlaczego, wyjaśniałem, a film to jeszcze jeden dowód na to, że moje wyjaśnienie było trafne.

Ponieważ druk miesięcznika zajmuje kęs czasu, dotarły już do państwa na pewno recenzje, może też mają już państwo własne zdanie, więc szczegółowo się tutaj tym, co w filmie wyszło, a co nie, zajmować nie będę. Problemem kardynalnym okazało się napisanie scenariusza. Zamiast historii dostaliśmy przygarść ilustracji, zamiast dramaturgii – zbiór historycznych scenek, a zamiast postaci samozwańczego wodza narodu, którego albo kochano, albo nienawidzono, dla jednych charyzmatycznego męża opatrznościowego, dla innych oszalałego megalomana – bojownika, jakich było wielu. Na czym polegał ten niezwykły dar Piłsudskiego, który budził w podwładnych bezprzykładne oddanie, przywiązanie i zaufanie graniczące z niewolniczą bezmyślnością – próżno by się w kontekście filmu głowić.

Gdyby mnie taką robotę zlecono, zamiast skakać po wydarzeniach, skupiłbym fabułę na jednym kluczowym momencie: wejściu strzelców do Kongresówki. Oto całe życie niemłodego już wtedy Komendanta zdaje się wreszcie zbliżać do wymarzonego spełnienia. Wkracza w granice znienawidzonego, rosyjskiego zaboru, na czele wymarzonego polskiego wojska, wywołuje powstanie, za chwilę powoła rząd w Warszawie i jako władca wolnej Polski zasiądzie do gry z możnymi tego świata…

A tu katastrofa: powstanie ani myśli wybuchnąć, Polacy zamykają okna albo wieją, sam Henryk Sienkiewicz strofuje jego strzelców jak szkodliwych gówniarzy… Co najgorsze, z Krakowa przychodzą straszne rozkazy. Wściekłe na niesubordynację dowództwo rozwiązuje oddziały, nakazuje natychmiastowy powrót – strzelcy zostaną wcieleni jako rekruci do wojska austro-węgierskiego, samego Piłsudskiego, wciąż formalnie obywatela rosyjskiego, czeka najpewniej internowanie.

> **Problem z Piłsudskim jest taki, że ten z legendy, w którego Polska wierzy, nie jest prawdziwy**

Komendant rozpaczliwie próbuje jeszcze dogadać się z generałami kajzera, spuszczony i przez nich, jak sam kiedyś się przyzna, postanawia strzelić sobie w głowę. Lata wyrzeczeń, walki, posyłania ludzi na śmierć – wszystko staje mu teraz przed oczami w gorzkim poczuciu, że było na darmo…

I wtedy pojawia się propozycja, upokarzająca, ale dająca nadzieję. Pogardzani za „wchodzenie zaborcy w d…" Leo, Sikorski i inni lojaliści wybłagali przekształcenie Strzelców w polską jednostkę u boku c.k. armii. Zależną, ale osobną. Piłsudskiemu oferują poślednie miejsce w dowódczej strukturze… Może jeszcze nie wszystko stracone, wojna trwa, może warto się ukorzyć, by raz jeszcze spróbować?

Dlaczego nie można by tak? Wiadomo: dlatego, że tyle lat wmawiano, iż to Piłsudski założył legiony, iż to on był duchem sprawczym i wszystko genialnie przewidział, że Niemcy wygrają z Rosją, a Zachód z Niemcami… że teraz prawda byłaby dla widzów szokiem. Nie tym, czego chcą oni, i nie tym, co chcą im pokazać inicjatorzy takiego kina.

Mackiewicz uczył: „Tylko prawda jest ciekawa". To dotyczy także bohaterów. Problem z Piłsudskim jest taki, że ten z legendy, w którego Polska wierzy, nie jest prawdziwy. Dlatego właśnie nie doczekał się wielkiej powieści, dramatu ani filmu. I dopóki nie zdobędziemy się na odwagę, by tę fałszywą legendę zakwestionować, dopóty się nie doczeka. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

Piotr Semka

/ Felieton

Przed Gretą była Samantha

Kim jest Greta Thunberg? Odważną dziewczyną, która wobec bierności dorosłych musi bić na alarm w sprawie katastrofy klimatycznej? A może światowe tournée małej Szwedki to przykład gry dzieckiem zachęcanym do alarmistycznego przekazu, na tyle jednak ogólnikowego, by unikać dyskusji z faktami? Gdy obserwuję tę coraz bardziej ostrą dyskusję, przypomina mi się kariera innej dziewczynki, której wróżono rolę międzynarodowego ambasadora dobrej woli. Chodzi o Samanthę Smith, 12-letnią uczennicę z amerykańskiego stanu Maine.

Samantha w 1982 r., słysząc o groźbie wojny nuklearnej między USA a Związkiem Sowieckim, postanowiła napisać do ówczesnego lidera ZSRS Jurija Andropowa z pytaniem, jak można uratować pokój:

„Szanowny Panie Andropow.

Nazywam się Samantha Smith. Mam 10 lat. Gratuluję panu nowej pracy. Martwię się, że pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi będzie wojna nuklearna. Czy będzie pan głosować za wojną? Jeśli nie, to proszę mi powiedzieć, jak zamierza pan pomóc, aby nie było wojny. Nie musi pan odpowiadać na to pytanie, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego chce pan podbić świat, a w każdym razie nasz kraj. Bóg stworzył świat, abyśmy żyli razem w pokoju i nie walczyli ze sobą.

Z poważaniem
Samantha Smith".

List został wyłowiony spośród gigantycznej poczty, która nadchodziła na Kreml. Do Samanthy przyszło niedługo potem osobiste pismo generalnego sekretarza KPZR z deklaracją życia w pokoju i zaproszeniem młodej uczennicy do odwiedzenia Kraju Rad oraz bezpośredniego przekonania się, że ludzie sowieccy nie mają żadnych agresywnych zamiarów. Samantha przyjęła zaproszenie, mimo że od razu pojawiły się w USA głosy, iż Sowieci są mistrzami manipulacji w takich propagandowych wizytach.

> / Ktoś, kto wskazuje na dyskusyjny charakter dziecięcej kariery typu tej, którą zrobiła Greta Thunberg, **zawsze naraża się na zarzut nieczułości**

7 lipca 1983 r. dziewczynka poleciała razem z rodzicami do ZSRS i zwiedziła Moskwę oraz Leningrad. Gwoździem programu była wizyta Samanthy w obozie pionierskim Artek na Krymie, gdzie otrzymała chustę i czapkę pionierską. „Byłam zdumiona życzliwością ludzi i prezentami, które od nich otrzymałam" – mówiła po powrocie. Jeszcze w Moskwie uczennica oświadczyła, że Rosjanie są „dokładnie tacy sami jak my".

Ekipa Ronalda Reagana miała kłopot. Wdzięk i naturalność młodej dziewczyny wzbudziły do niej sympatię milionów Amerykanów. Obawiano się jednak, by dziewczyna nie była elementem gry Rosjan na terenie Ameryki. Wybrano taktykę uznania jej pacyfistycznego idealizmu za dobrą monetę. W roli najmłodszego amerykańskiego ambasadora odwiedziła w 1983 r. Japonię na zaproszenie premiera Yasuhiro Nakasone, z którym się spotkała. Potem znów przyciągnęła uwagę Amerykanów propozycją, by amerykański prezydent i przywódca ZSRS wymienili się wnuczkami. W opinii Samanthy tylko tak można by uzyskać pewność, że oba kraje nie wystrzelą przeciw sobie rakiet atomowych. Kariera gwiazdy amerykańskich mediów zakończyła się w sierpniu 1985 r. tragicznie. Lecąc wraz z ojcem na pokładzie małego samolotu biznesowego podczas burzy, rozbiła się na lotnisku w Lewiston-Auburn w Auburn (Maine). Samantha Smith i jej ojciec zginęli. W Moskwie odsłonięto jej pomnik i wydano ku jej czci znaczek pocztowy.

Spyta ktoś, gdzie tu podobieństwo do Grety Thunberg? Rzecz w tym, że takie dziecięce kariery łatwe są do manipulacji. A jednocześnie ktoś, kto wskazuje na ich dyskusyjny charakter, zawsze naraża się na zarzut nieczułości i braku szacunku dla dziecięcej prostolinijności. Nikt wreszcie nie jest w stanie ocenić, jak długo ma trwać taka kariera i kiedy zamienia się w schylanie głowy przed pajdokracją. I dlatego z wielkimi karierami małych dziewczynek mamy aż tyle kłopotu. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

1899 r. / Afera finansowa i proces we Lwowie

Skandal w Galicyjskiej Kasie Oszczędności

Tomasz Stańczyk

Dyrektor Franciszek Zima udzielał ryzykownych kredytów i ukrywał ogromne zadłużenie przedsiębiorcy naftowego Stanisława Szczepanowskiego

RYS. KRZYSZTOF WYSZKOWSKI

3 sierpnia 1899 r. we lwowskim więzieniu śledczym zmarł 72-letni Franciszek Zima, były dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędności. Prokurator zarzucał mu machinacje finansowe prowadzące GKO na krawędź upadku, a także przywłaszczenie ogromnej sumy pieniędzy. Zima był zdenerwowany i przygnębiony, narzekał na ból w klatce piersiowej. Gdy wezwano lekarza, było już za późno.

Śmierć byłego dyrektora GKO, który miał być głównym oskarżonym w zbliżającym się procesie, wywołała ogromne poruszenie. Pojawiły się pogłoski, że Zima popełnił samobójstwo, by uniknąć hańby rozprawy sądowej i więzienia.

eprasa.pl cca2dcaa5c

Plotkowano, że wiedział zbyt dużo i dlatego został otruty.

Franciszek Zima był dyrektorem Galicyjskiej Kasy Oszczędności, którą kierował żelazną ręką. Podczas jego urzędowania powstał okazały gmach tej instytucji w centrum Lwowa, przy Wałach Hetmańskich (Prospekt Swobody). Na fasadzie, pod kopułą budynku, wciąż widnieje napis: „Galicyjska Kasa Oszczędności".

Dyrektor Zima został aresztowany po kontroli, która wykazała liczne nieprawidłowości, sprzeniewierzenia i udzielanie ryzykownych kredytów. Zarzuty dotyczyły przede wszystkim pożyczek dla Stanisława Szczepanowskiego – przedsiębiorcy naftowego, publicysty i posła do austriackiego parlamentu.

Problemy dyrektora rozpoczęły się w grudniu 1898 r., gdy komisja rewizyjna rozpoczęła sprawdzanie sytuacji finansowej instytucji. Wyszły wówczas na światło dzienne sprawy, które wstrząsnęły Galicją. „Przeszliśmy następnie do rachunków bieżących – zeznawał jeden z kontrolerów, Władysław Gubrynowicz. – Przy oglądaniu tych zaproponował Zima, aby dwóch z nas udało się do kasy dla przeliczenia banknotów. Ja sam zostałem z dyrektorem Zimą, przeglądając resztę depozytów. Gdy tamci panowie wyszli, stanęliśmy około owej zaklętej skrzyni. Zapytaliśmy, co jest w tej skrzyni. Zima odpowiedział, że pokrycie długu Szczepanowskiego. Zażądaliśmy otwarcia i to była straszna, przełomowa chwila dla kasy oszczędności".

W skrzyni znajdowały się wyłącznie bezwartościowe akcje, których kursu dyrektor nawet nie potrafił podać.

Pogłoski o katastrofalnym stanie finansów Galicyjskiej Kasy Oszczędności przedostały się do opinii publicznej i w drugiej połowie stycznia 1899 r. wywołały panikę wśród jej klientów. Masowo wycofywano pieniądze, przez co instytucja straciła połowę wkładów. Za tę sytuację odpowiadały także konkurencyjne instytucje finansowe.

„Faktorzy pokątnych banków żydowskich, których coraz więcej powstaje we Lwowie – pisano na łamach »Kuriera Lwowskiego« – rozpuścili w dzielnicach żydowskich pogłoskę, że Galicyjska Kasa Oszczędności bankrutuje, że należy więc wycofywać wkłady z tej kasy. Pogłoska ta wywołała naturalnie popłoch i chałatowcy od czwartku urządzają rodzaj oblężenia Kasy Oszczędności, przy czym dziwią się, że wypłata następuje z nadzwyczajną punktualnością".

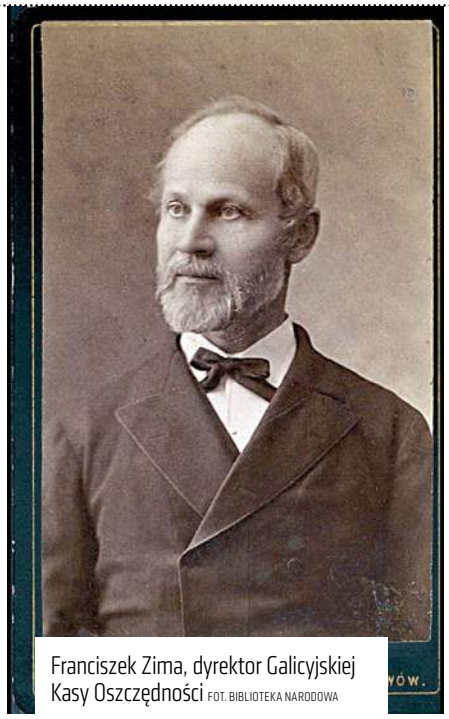

Franciszek Zima, dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędności FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Banki lwowskie i wiedeńskie odmówiły wsparcia znajdującej się w tarapatach GKO. Interweniował namiestnik Galicji Leon Piniński, zasilając ją kilkoma milionami guldenów (złotych reńskich) z funduszów krajowych.

Kariera nafciarza

Po śmierci Franciszka Zimy najważniejszymi oskarżonymi zostali Eugeniusz Wędrychowski, główny księgowy GKO, oraz Stanisław Szczepanowski. Prokurator zarzucił pierwszemu z nich fałszowanie ksiąg i rachunków, natomiast drugiemu – skłonienie dyrektora Zimy do udzielenia mu bardzo ryzykownych kredytów. Uwagę publiczności przyciągał głównie Szczepanowski, uważany dotychczas za człowieka sukcesu, który nadał nowy impuls przemysłowi naftowemu w Galicji.

Szczepanowski w 1867 r. wyjechał na zachód Europy, gdzie studiował technologię chemiczną i ekonomię. Miał 24 lata, gdy został sekretarzem kierownika handlu i przemysłu w brytyjskim ministerstwie do spraw Indii. Tworzył plany rozwoju ekonomicznego, proponując m.in. nawadnianie pól i budowę linii kolejowych, a przy okazji kreślił prognozy rozwoju gospodarczego. Wydawało się, że wielka kariera w służbie imperium stoi przed nim otworem. Jednak kiedy został zaproszony przez księcia Walii, przyszłego króla Edwarda VII, do towarzyszenia mu w podróży do Indii, odmówił.

Był już zdecydowany na powrót w ojczyste strony, bo prawdopodobnie uznał, że Galicja jest równie zacofana jak Indie. Miał już wówczas skrystalizowany „program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego". Taki był zresztą podtytuł jego słynnej publicystycznej książki „Nędza Galicji", wydanej niecałe 10 lat później. Gdy pojawił się w Galicji, miał 33 lata. Jako człowiek inteligentny, błyskotliwy i posiadający już znaczne doświadczenie w sprawach gospodarczych był wręcz stworzony do odnoszenia sukcesów i chyba sam w to uwierzył.

Szansę rozwoju dla Galicji widział w przemyśle naftowym. Zwrócił uwagę na Słobodę Rungurską (w okolicach Kołomyi), gdzie już w XVIII w. istniała studnia, z której wydobywano ropę, wydzierżawił więc tam ziemię i rozpoczął wiercenia. Gdy w 1881 r. wytrysnęła wielka ropa, Słoboda stała się największą kopalnią w Galicji. Błyskotliwy sukces przedsiębiorcy był możliwy także dzięki temu, że uzyskał na swoje naftowe inwestycje pożyczkę od znajomego, Roberta Biedermanna. Stanowiła ona 90 proc. kapitału, którym dysponował biznesmen.

W 1893 r. Szczepanowski wybudował w Peczeniżynie rafinerię do przerobu wydobytej ropy i połączył ją ze Słobodą kilkunastokilometrowym rurociągiem. Była to największa rafineria w Galicji i jedna z trzech największych w Austro-Węgrzech. Przedsiębiorca naftowy Władysław Długosz mawiał, że przed odkryciem Słobody Rungurskiej wydobycie ropy mierzyło się na garnce, od czasu Słobody produkcję liczono już w baryłkach, a gdy Szczepanowski odkrył Schodnicę, wydobycie ropy zaczęto mierzyć na wagony.

Pętla długów

Odwierty w Schodnicy pod Borysławiem prowadzono od 1888 r. i szybko natrafiano tam na bardzo obfite złoża. Jednak spółka i umowa z wiedeńskim bankiem Biedermannów była dla Szczepanowskiego wyjątkowo niekorzystna, w efekcie czego wiedeńscy bankierzy

eprasa.pl cca2dcaa5c

przejęli udziały w kopalniach w Słobodzie i rafinerii w Peczeniżynie. Był to początek gigantycznych kłopotów.

Szczepanowski zaczął finansować inwestycje z kredytów udzielanych przez Galicyjską Kasę Oszczędności. Dyrektor Zima był entuzjastą Szczepanowskiego i jego programu gospodarczego rozwoju Galicji. Udzielał mu więc pożyczek. Szczepanowski jednak zbyt wiele inwestował, a być może za bardzo wierzył w swoje szczęście. Nie zwracał uwagi na niepokojące sygnały, uważając, że problemy jego firm mają charakter przejściowy. Tak jednak nie było.

Co gorsza, biznesmen nie nadzorował własnych spółek, pochłaniały go bowiem praca publicystyczna i działalność parlamentarna. W Wiedniu bronił interesów galicyjskich nafciarzy (a więc i swoich własnych) przed nieuczciwą konkurencją. Rotszyldowie, właściciele rafinerii w Rijece, sprowadzali bowiem z rosyjskiego Kaukazu naftę zabarwioną smołą, deklarując, że jest to ropa, na którą nie obowiązywało cło ochronne. Machinację tę ujawnił właśnie Szczepanowski.

Okazało się, że oprócz Schodnicy wszystkie kopalnie Szczepanowskiego były deficytowe. Chcąc zdobyć pieniądze na spłatę kredytów, biznesmen zainwestował w wydobycie węgla brunatnego w Myszynie w powiecie kołomyjskim. Wstępne wiercenia wykazywały, że pokłady węgla są obiecujące. Niebawem okazało się, że szacunki dotyczące wielkości złoża zdecydowanie rozmijały się z rzeczywistością.

Tymczasem dyrektor Zima, przekonany przez Szczepanowskiego o wspaniałych perspektywach związanych z wydobyciem węgla, nadal udzielał mu kredytów. Szczepanowski miał je spłacać z zysków pochodzących z wydobycia. Okazało się to fatalne w skutkach zarówno dla dyrektora, jak i przedsiębiorcy. Węglowa inwestycja była kompletnie nietrafiona i tylko powiększyła zadłużenie. Przychody ze sprzedaży węgla były bowiem mniejsze niż koszty jego wydobycia.

Tymczasem Zima nalegał na spłatę długów. Szczepanowski sprzedał więc w 1894 r. szyby naftowe w Schodnicy wiedeńskiemu bankowi za kwotę 1 mln guldenów (ok. 12,6 mln euro). W ten sposób zrezygnował z rocznego dochodu w wysokości 375 tys. guldenów (ok. 4,75 mln euro), a co gorsza, z sumy

Stanisław Szczepanowski, przedsiębiorca naftowy FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

transakcji musiał spłacić poprzednie zobowiązania. Dostał więc do ręki niewiele więcej niż pół miliona guldenów i dalej był zadłużony. Na domiar złego opuściło go szczęście i biznesowe wyczucie, bo już w następnym roku dokonano w Schodnicy nowych odwiertów, z których obficie trysnęła ropa, a wartość kopalni wzrosła do 15 mln guldenów (189 mln euro). Kwota ta znacznie przekraczała zadłużenie Szczepanowskiego.

Kredyty z Galicyjskiej Kasy Oszczędności pozostawały zatem niespłacone i dług narastał. Zima, nie chcąc doprowadzić do zachwiania sytuacji finansowej GKO, tworzył fikcyjne konta. Obciążał je częścią zadłużenia, ukrywając w ten sposób wysokie należności Szczepanowskiego. To był jeden z powodów, który doprowadził dyrektora na ławę oskarżonych.

Na ławie oskarżonych

Trwający niemal miesiąc proces „o miliony", jak nazwała go prasa, rozpoczął się we Lwowie na początku października 1899 r. Sensację wywołało oświadczenie Szczepanowskiego, że to nie on podsunął Zimie pomysł tworzenia fikcyjnych kont, na które można było rozkładać zadłużenie, by ukryć jego rzeczywistą wielkość. Twierdził, że konto „Lilien" powstało bez jego wiedzy. Dodał także, że o kontach „Kühnel" i „Fröhlich" dowiedział się już po ich założeniu. Podobno był przekonany, że powstały one dla ułatwienia prowadzenia rachunków związanych z jego interesami. Miał też być nieświadom tego, że dyrektor zrobił to dla częściowego ukrycia jego długów, chociaż później domyślił się, że Zima w tym właśnie celu musiał to robić. Tymczasem w śledztwie dyrektor zeznał, że konta te założone zostały na życzenie Szczepanowskiego…

Główny księgowy Wędrychowski utrzymywał, że kombinacje z kontami odbywały się za jego plecami i nie miał żadnych podejrzeń, wierząc w uczciwość Zimy. Przyznał jednak, że dokonywał na polecenie dyrektora manipulacji w księgach.

Maria (Malcia) Fuhrmann miała ok. 30 lat. Była „wychrzcianką" i analfabetką. Zarzucano jej fałszywe zeznania w sprawie swojego majątku, a miała we Lwowie kamienicę o wartości 40 tys. guldenów (ponad 600 tys. euro) i drugie tyle w gotówce. Według prokuratury wszystko to pochodziło od Zimy, ale nie z jego kieszeni, tylko z pieniędzy GKO.

Sędzia zapytał oskarżoną, czy znała inne kobiety związane z Zimą. Wyjaśnił podsądnej, że trybunał posiadał wiedzę „o 26 takich damach, które, podobnie jak ona, utrzymywały stosunek z Zimą". Najwyraźniej zmarły dyrektor był nie tylko oszustem finansowym, lecz także – pomimo swojego sędziwego wieku – seksoholikiem…

Gmach Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie (po lewej) FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl cca2dcaa5c

Wyrok zapadł w listopadzie 1899 r. Przysięgli byli jednomyślni w sprawie Stanisława Szczepanowskiego i odrzucili wszystkie zarzuty. Wędrychowskiego oczyszczono z oskarżenia o fałszowanie rocznych bilansów w porozumieniu z Zimą, uniewinniono go także od zarzutów pomocy dyrektorowi GKO w manipulacjach księgami i rachunkami oraz przywłaszczenia znacznych sum pieniędzy. Natomiast przyjęto, że dopomógł Zimie w „rozmyślnym przedstawianiu" niektórych pozycji w księgach handlowych. Odrzucono oskarżenia wobec Fuhrmann. Wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni, przez co cała wina za machinacje w Galicyjskiej Kasie Oszczędności spadła na nieżyjącego już dyrektora. Trudno oprzeć się wrażeniu, że taka sytuacja chyba wszystkim odpowiadała.

Szczepanowski już podczas procesu ciężko chorował na serce. Był załamany postępowaniem sądowym i skończony jako przedsiębiorca. Zmarł rok później, w wieku 54 lat, podczas kuracji w Neuheim w Austrii. Początkowo pochowano go w uzdrowisku, jednak po dwóch latach staraniem Krajowego Towarzystwa Naftowego sprowadzono jego prochy do Lwowa. Spoczął na cmentarzu Łyczakowskim, a jego grób zachował się po dziś dzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK
„OSTATNIE LATA POLSKIEGO LWOWA"
FRONDA

Wilno, październik

Tomasz Stańczyk

Przed II wojną światową październik był dla Litwinów smutnym miesiącem. Dziewiąty dzień tego miesiąca obchodzono jako dzień żałoby narodowej po utraconym Wilnie. 9 października 1920 r. oddziały dowodzone przez gen. Lucjana Żeligowskiego, rodem z Wileńszczyzny, i złożone w większości z jego krajan po krótkich walkach wyparły wojsko litewskie z Wilna. Za to październik 1939 r. Litwini świętowali radośnie. Związek Sowiecki zrobił im podarunek z zagarniętego miesiąc wcześniej miasta. Z pewnością nie omieszkają uczcić 80. rocznicy tego wydarzenia. Chociaż za ten podarek Litwa zapłaciła zgodą na zainstalowanie kilku sowieckich baz. Był to pierwszy krok do utraty niepodległości.

Dzięki akcji gen. Żeligowskiego Wilno było polskie przez 17 następnych lat. Nie byłoby to możliwe, gdyby marszałek Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa, zaakceptował dyktat Wielkiej Brytanii i Francji. Zwycięski Zachód uzurpował sobie prawo do wyznaczania granic nie tylko pokonanych państw centralnych, lecz także Polski. I zdecydował, że Wilno ma przypaść Litwie, choć Litwinów w mieście nad Wilią (a także na Wileńszczyźnie) było ledwie kilka procent. Zasada samostanowienia ludności o swojej przynależności państwowej została przekreślona, choć na innych terenach (Górny Śląsk) Zachód zarządził plebiscyty.

Co więcej, latem 1920 r. premier Władysław Grabski, w obliczu katastrofalnej niemal sytuacji na froncie walki z bolszewikami, zgodził się – w zamian za pomoc Zachodu – na to, że Polska nie będzie rościć sobie praw do Wilna. Piłsudski jako Naczelnik Państwa musiał się z tym formalnie pogodzić. Jako wyznawca idei federalistycznej nie był bynajmniej zwolennikiem bezpośredniego włączenia Wileńszczyzny do Polski, ale nie zamierzał też oddawać jej Litwinom. Zastosował więc „bunt" gen. Żeligowskiego, do którego oficjalnie się nie przyznawał.

Wielka Brytania i Francja oburzyły się na zajęcie Wilna i gwałtownie naciskały na Warszawę, by Żeligowski zwrócił miasto Litwinom. A wówczas marszałek Piłsudski wykonał mistrzowskie posunięcie. Oświadczył, że jeśli Wilno ma być litewskie, to on rezygnuje z urzędu Naczelnika Państwa i jako prywatny człowiek pójdzie walczyć o to, by ludność Wileńszczyzny mogła sama wypowiedzieć się na temat swojego losu. Londyn i Paryż musiały ulec. Polska była zbyt ważnym graczem w antybolszewickim sojuszu – Zachód wspierał wówczas białych generałów i wysyłał im na pomoc swe wojska – by doprowadzić do ustąpienia zwycięskiego wodza w wojnie z bolszewią.

Generał Żeligowski powołał do życia Litwę Środkową. Była to ostatnia ze strony Józefa Piłsudskiego próba skłonienia Litwinów do koncepcji stworzenia na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa państwa Litwinów, Polaków i Białorusinów, związanego z Rzecząpospolitą poprzez federację lub ścisły sojusz. Litwini odrzucili ten projekt, pozbawiając się w ten sposób Wilna. W 1922 r. Sejm Wileński, zgodnie z wolą większości mieszkańców Litwy Środkowej, uchwalił wejście Wileńszczyzny w skład Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Maciej Rosalak

1591–1646

Postrach

Wy, Polacy, nie wiecie jeszcze, coście stracili, ale nie miną dwa, a najdalej trzy lata, kiedy nie tylko wy, ale i całe chrześcijaństwo żałować będzie straty tak wielkiego senatora i hetmana...

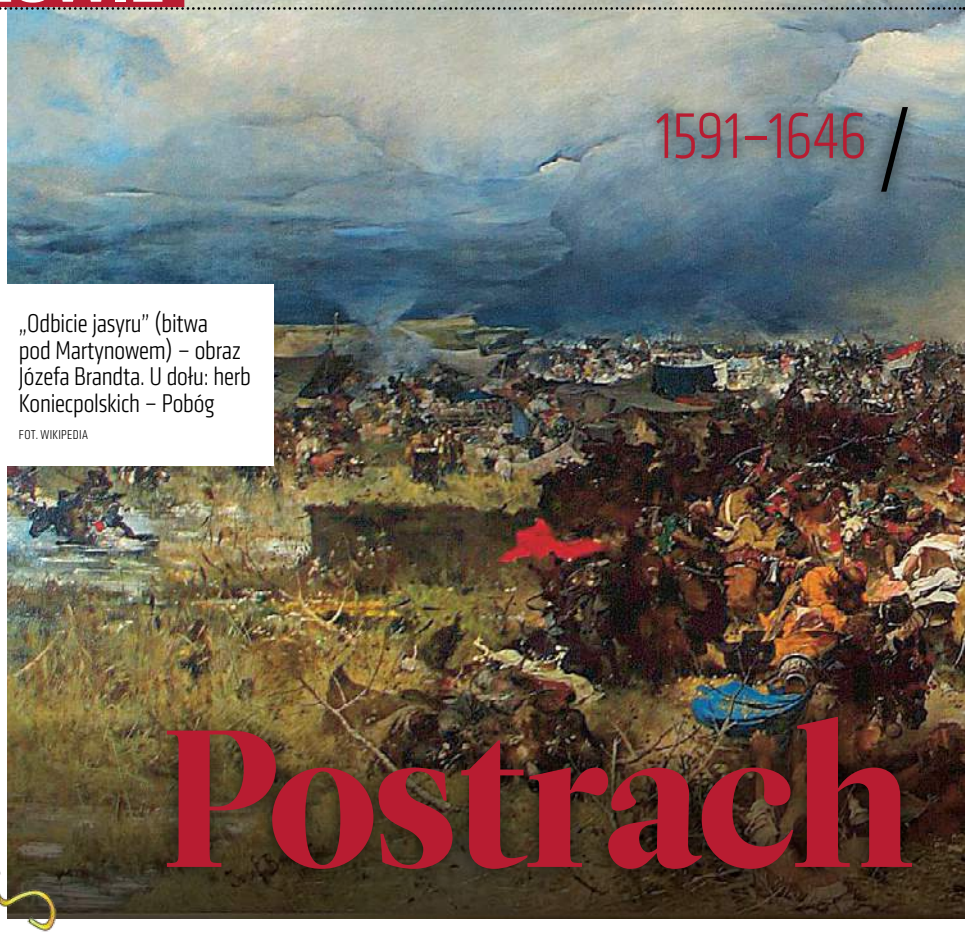

„Odbicie jasyru" (bitwa pod Martynowem) – obraz Józefa Brandta. U dołu: herb Koniecpolskich – Pobóg

FOT. WIKIPEDIA

Ród, który trafił na karty historii w drugiej połowie XIV w., wywodził się od Przedbora herbu Pobóg z Koniecpola pod Częstochową. Koniecpolscy wiernie służyli polskim królom: dziedzic protoplasty rodu – wojewoda Jakub – prowadził chorągiew pod Grunwaldem i negocjował ważne dla Królestwa umowy. Inni bywali starostami, kasztelanami i senatorami. Podwaliny pod ich magnacką potęgę stworzył dziadek naszego bohatera, podwójny starosta i kasztelan sieradzki Stanisław Przedbór Koniecpolski – również poprzez ślub z siostrzenicą hetmana Jana Tarnowskiego – a ojciec, Aleksander, odznaczył się w wojnach Batorego z Moskwą i wzniósł zamek w Koniecpolu.

Syn jego, Stanisław Koniecpolski – jak to bywało ze zwycięskimi wodzami, będącymi prawdziwą podporą państwa – niebywale pomnożył rodowe majętności. Hetman polny koronny od 1618 r., a wielki od 1632 r. objął też kilkanaście starostw, był wojewodą sandomierskim oraz kasztelanem krakowskim (co dawało mu pierwsze miejsce pośród senatorów świeckich), a nawet od 1637 r. księciem cesarstwa. Włości jego rozciągały się od zachodnich do wschodnich kresów Rzeczypospolitej, obejmowały 170 miast i 740 wsi z dziesiątkami tysięcy poddanych. Założył stawy rybne oraz manufakturę jedwabną. Wzniósł nowe siedziby: twierdzę typu holenderskiego w Brodach i ufortyfikowany pałac otoczony ogrodami włoskimi w Podhorcach. Warszawa zawdzięcza mu dzisiejszy pałac prezydencki.

Studiował w Akademii Krakowskiej, miał bystry umysł, ale kłopoty z wymową. Mocno się zacinał i jąkał. Stąd powiedzenie: „Pan Stanisław wprzód uderzy, nim wypowie". Budził respekt podwładnych, nienawiść wrogów, ale jedni i drudzy go szanowali. Zwłaszcza wobec Kozaków bywał okrutny; w 1637 r. kazał karać śmiercią nie tylko buntowników, lecz także ich rodziny. A przy tym – jak pisał w 1635 r. francuski wysłannik Karol Ogier – „ogromną odznacza się i niefrasobliwą pobożnością i na sztandarze swym ma wizerunek Najświętszej Panny. Cały tchnie myślą o rozgromieniu niewiernych narodów, z którymi często walczył". Francuz pisał długo po tragedii cecorskiej i niewoli u Turków oraz po nieustannych walkach z Tatarami, którzy najeżdżali Rzeczpospolitą, mordując, paląc, rabując i uprowadzając w jasyr tysiące mieszkańców.

Ożenił się trzykrotnie. Po raz pierwszy w lutym 1615 r. z Katarzyną, najmłodszą córką Stanisława Żółkiewskiego, któremu przypadł do serca zdolny i mężny młody dowódca. Śmierć Katarzyny oraz dziecka przy porodzie w końcu 1616 r. nie skończyła przyjaźni teścia i zięcia, czego dowodem było otrzymanie w 1618 r. buławy polnej dzięki poparciu właśnie Żółkiewskiego. Powtórnie Koniecpolski ożenił się w 1619 r. z Krystyną Lubomirską (zmarła 1645), z którą miał syna Aleksandra, a trzecią została w 1646 r. 16-letnia Zofia Opalińska, siostra wojewody poznańskiego.

Niestety, 11 marca 1646 r. hetman zmarł nagle w Brodach po trzech miesiącach pożycia. Joachim Jerlicz – ruski szlachcic piszący pamiętniki po polsku – zanotował powszechnie znaną pogłoskę, że nerki 55-letniego mężczyzny nie zniosły potężnej dawki „konfortatywy, którą zażywał dla młodej żony, a którą przesadzono, bo mu aptekarz na kilka razy dał, co on razem zażył i tak swego życia wiek dokonał". Ową staropolską

eprasa.pl cca2dcaa5c

Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Stanisław Koniecpolski

bisurmanów

viagrą była podobno kantarydyna, którą uzyskiwano z żuka nazywanego hiszpańską muchą. Fatalne przypadki rządzą niekiedy historią…

Pogrom Nogajów

Słowa hospodara mołdawskiego Bazylego Lupu, które umieściłem we wstępie, miały charakter profetyczny. Dokładnie po dwóch latach od śmierci Stanisława Koniecpolskiego rozpoczął się bunt kozacki Bohdana Chmielnickiego, który wywołał okrutną wojnę wewnętrzną oraz sprowadził na Rzeczpospolitą najazdy Tatarów i Moskwicinów, a pośrednio również Szwedów i Siedmiogrodzian. Nasze skrwawione i wyniszczone państwo nigdy już nie wróciło do świetności i potęgi, którymi cieszyło się za czasów hetmana Koniecpolskiego i – w dużej mierze – dzięki niemu.

Od 1610 r., gdy jako 19-letni rotmistrz, a następnie pułkownik brał udział w wyprawie na Smoleńsk oraz w bitwie pod Kłuszynem, wojował na wszystkich frontach wojen Rzeczypospolitej. Pod Chodkiewiczem wyprawiał się (w latach 1611 i 1612) z odsieczą pod Moskwę, jako najmłodszy hetman polny w dziejach z hetmanem wielkim Żółkiewskim dowodził bez powodzenia w kampanii pod Oryninem (1618), gdzie sam omal nie stracił życia z rąk Tatarów. Dwa lata później pod Cecorą potrafił utrzymać w ryzach swe prawe skrzydło, dzielnie bronił aż do końca sędziwego hetmana Żółkiewskiego, ale zdradzony przez mołdawskiego przewodnika dostał się w ręce Turków i trzy lata był przez nich więziony w dawnej bizantyjskiej twierdzy Siedmiu Wież używanej przez Osmanów jako więzienie dla wysoko urodzonych jeńców.

Wykupiony przez Krzysztofa Zbaraskiego w 1623 r., już w następnym roku wziął krwawy odwet na bisurmanach z ord nogajskich. Zasiedlały one od I połowy XV w. nadczarnomorskie stepy od Perekopu przez Besarabię aż do Bułgarii i trudniły się corocznym rabunkiem wszystkich krain chrześcijańskich dookoła. Uznawały nominalnie władzę chana krymskiego i sułtana. Nogajowie – białogrodzcy, budziaccy, dobrudzcy, oczakowscy – stali się prawdziwą zmorą południowo-wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. Na początku XVII w.

Hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski FOT. WIKIPEDIA

dowodził nimi Kantymir Murza zwany Krwawym Mieczem, który w 1603 r. utworzył nawet Chanat Nogajski.

Jego czambuły ruszały zwykle na nas szybkim komunikiem (bez taborów) którymś z trzech szlaków – wołoskim,

eprasa.pl cca2dcaa5c

czarnym i kuczmańskim – wiodących dorzeczami ukrainnych rzek w okolice Lwowa czy Zbaraża, a nawet dalej na zachód. Tatarzy omijali stanice kresowe z rotami wojsk kwarcianych, warowne miasta, zamki czy otoczone palisadami dworzyszcza. Rozczłonkowani na watahy, aby ogarnąć jak największe obszary, rabowali wsie i brali do niewoli jak najwięcej zdrowych kobiet, mężczyzn i dzieci. Następnie łączyli się w umówionym miejscu, aby pognać jasyr na sprzedaż Turkom.

Trudno było ich zatrzymać, ponieważ nieliczne wojska kwarciane rozproszone były na linii prawie pół tysiąca kilometrów z zachodu na wschód. Toteż Koniecpolski (któremu w lutym 1624 r. udało się rozbić sporą watahę pod Szmańkowcami) zastosował w czerwcu tegoż roku inną taktykę: zaczaił się przy brodzie na Dniestrze pod Martynowem, czekając na Kantymira. Ten wracał z 10 tys. ordyńców aż spod Sandomierza i Chełma dość wolno, bo z tzw. koszem, w którym wiózł łupy i prowadził kilkudziesięciotysięczny jasyr.

Hetman zebrał 4650 jeźdźców i 350 piechurów z kilkoma działkami, z których większość – nawet husarze – stanowili obsadę obronnego taboru umieszczonego w zasadzce na południowym brzegu Dniestru. Kantymir dostrzegł zasadzkę, cofnął się, a kiedy hetman ruszył ku przeprawie pod Haliczem, wódz Nogajów znów poszedł pod Martynów. Walki straży przednich rozgorzały 20 czerwca, gdy trwały manewry obu wojsk szukających najlepszej pozycji do stoczenia bitwy. Wreszcie polski tabor znalazł się wystarczająco blisko Tatarów, by otworzyć do nich ogień z dział i rusznic. Ostrzał spotęgowały pistolety 12 chorągwi pancernych, które wkrótce mogły szarżować i zepchnąć uciekających w panice wrogów z wysokiego brzegu Dniestru.

Przyszła pora na Kantymira stojącego z koszem na północnym brzegu, zwłaszcza że pancerni wojewody kijowskiego Stefana Chmieleckiego utworzyli tam dogodny przyczółek. „Krwawy Miecz" kontratakował, ale gdy przeprawił się tam z całą jazdą hetman, Nogajowie rozpoczęli odwrót. Uchodzili wraz z koszem, mordując stawiających opór mężczyzn, porzucając uprowadzone dzieci, rzucając zrabowane z domów i kościołów sprzęty, wreszcie uciekając tylko z cenniejszymi

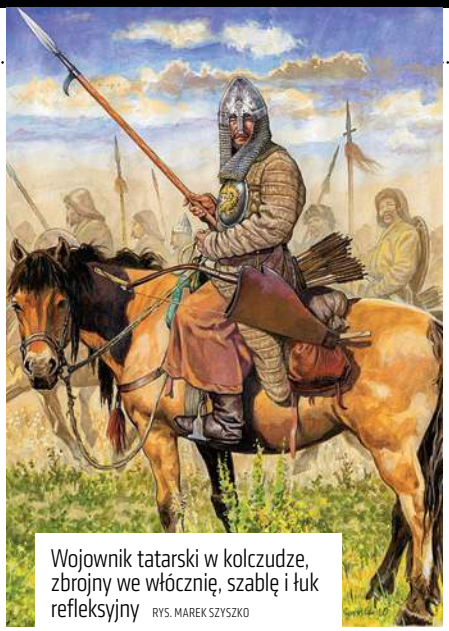

Wojownik tatarski w kolczudze, zbrojny we włócznię, szablę i łuk refleksyjny RYS. MAREK SZYSZKO

jeńcami wsadzonymi na konie. Niewielu uszło. Do 21 czerwca ścigali ich pancerni Chmieleckiego, a następnie Czerkiesi w polskiej służbie. Rozproszonych ordyńców, szukających ratunku po lasach, zabijali chłopi, mszcząc się za tyle krzywd od nich doznanych.

W triumfie martynowskim – odniesionym przez Koniecpolskiego dzięki umiejętnemu użyciu taboru, skuteczności zarówno ognia, jak i szabli – wzięło udział wielu znanych później rycerzy. Był wśród nich 25-letni wtedy Stefan Czarniecki, późniejszy mistrz wojny szarpanej…

Trzciana i Ochmatów

W trzecim roku wojny ze Szwecją (1626–1629) armię polską zasiliły kilkutysięczne oddziały austriackie pod wodzą Jana Arnheima. Aby je zniszczyć, z Malborka wyruszył król Gustaw Adolf, wiodąc 4 tys. jazdy i 5 tys. piechoty. Na wieść o połączeniu się Austriaków z siłami polskiego hetmana Koniecpolskiego rozpoczął odwrót: piechotę wysłał na Sztum, a osłaniającą ją jazdę na Trzcianę. Koniecpolski ruszył na jazdę szwedzką, mając 1,3 tys. husarii (dziewięć chorągwi), 1,2 tys. jazdy kozackiej i 2 tys. rajtarii cesarskiej. 25 czerwca zaatakowali tylną straż wroga (2 tys. rajtarów i 60 muszkieterów). Frontalny atak rajtarów i Kozaków wspomógł szarżą husarii (którą sam wiódł) na prawe skrzydło Szwedów, co dało piorunujący efekt: rozbicie szyku wroga i jego bezładną ucieczkę. Jak to zwykle bywało, zakończyła się ona rzezią uciekających.

Trzy kilometry dalej stało pod Straszewem 700 rajtarów, do których udało się dotrzeć 300 uratowanym z pogromu. Salwa Szwedów powstrzymała Kozaków, ale na sam widok husarzy Szwedzi pierzchli do Pułkowic, gdzie stał z resztą jazdy Gustaw Adolf. Włącznie z uciekinierami miał ponad 3 tys. kawalerzystów – tyle, ile Koniecpolski. Znów pierwsi prosto z marszu zaatakowali Kozacy, a rychło po nich – równie rozochoceni dotychczasowymi sukcesami – husarze i rajtarzy habsburscy. Jeźdźcy z obu stron przemieszali się i o zwycięstwie zadecydowała walka wręcz na białą broń. Obaj wodzowie brali w niej udział, a Koniecpolski zabił nawet szwedzkiego oficera.

Rajtarzy nie mogli się równać z husarzami. Znów ci, którzy nie dali gardła pod szablę, uciekli, a ich król ledwie ocalał podczas ucieczki do Sztumu, przyznając, że w takich tarapatach jeszcze nie był. Piechota schroniła się tam i ocalała dzięki poświęceniu ostatniego regimentu jazdy pod wodzą Johanna Wrangla (syna generała), który zginął wraz z większością rajtarów. Ocalało 5 tys. świetnie wyszkolonych piechurów szwedzkich, którzy nocą wymknęli się do Malborka. Straty szwedzkie wyniosły 1,2 tys. zabitych i 500 wziętych do niewoli. Po stronie polskiej i austriackiej zginęło po ok. 150 ludzi.

Okazało się, że bez wsparcia piechoty i artylerii jazda szwedzka – choć stosująca już szarżę zamiast, jak pod Kircholmem, karakolu – nadal nie może jednak równać się z jazdą polską. Nie było to jedyne zwycięstwo Koniecpolskiego w wojnie, w której zaczął – poza zwykłą piechotą – wykorzystywać piechotę przemieszczającą się konno, czyli dragonię, oraz częściej sypać szańce dla wzmocnienia pozycji obronnych. Twórczo rozwinął staropolską myśl wojenną opierającą się na pomysłowym, dostosowanym do warunków terenowych i charakteru przeciwnika współdziałaniu jazdy lekkiej z jazdą ciężką i z „ludem ognistym", a więc z piechotą i artylerią.

Znaczące zwycięstwa odniósł też maju 1614 r., kiedy stłumił bunt wojska pod Rohatynem, gdy w latach 1623 i 1630 uśmierzał bunty Kozaków, w kwietniu 1627 r. pokonał Szwedów pod Altmarkiem (Czarnem), a w 1633 r. rozbił turecko-tatarską wyprawę Abazy Paszy pod Sasowym Rogiem i Paniowcami (Kamieńcem Podolskim).

eprasa.pl cca2dcaa5c

Nieco szerzej wypada wspomnieć na koniec o świetnym zwycięstwie pod Ochmatowem (30 stycznia 1644 r.) odniesionym nad ordą krymską chana Mehmeda IV Gireja. Jego 20-tysięczne wojska – znacznie lepiej uzbrojone od nogajskich ordyńców – prowadził Tuhaj-bej. Groźba najazdu była tak wielka, że zgromadziła – poza wojskami koronnymi – również prywatne wojska magnatów kresowych: Wiśniowieckich (3 tys.), Lubomirskich, Zasławskich, Zamoyskich, Potockich… Włącznie z Kozakami rejestrowymi prowadzonymi przez Stanisława Krzeczowskiego (4 tys.) było tego niemal 18 tys. zbrojnych. Trzy dywizje: Jeremiego Wiśniowieckiego, strażnika koronnego Jana Odrzywolskiego i samego Stanisława Koniecpolskiego, rozrzucone w drugim rzucie daleko ze wschodu na zachód, stały 100 km za pierwszym rzutem chorągwi lekkich. Rozczłonkowanie wszerz i w głąb było konieczne dopóty, dopóki zwiadowcy nie przynieśli wieści, którędy rzeczywiście posuwają się Tatarzy.

Plan Brodów z fortyfikacjami bastionowymi

Koncentracja wojsk w odpowiednim czasie i miejscu zadecydowała o zwycięstwie. Ustawione w obronny czworobok oddziały Koniecpolskiego doczekały nadciągnięcia dywizji Wiśniowieckiego, a chorągwie Odrzywolskiego przepędziły 6 tys. Tatarów, którzy groblą przedostali się przez rzeczkę Hirśkyj Tikycz. Potem hetman natarł przez groblę, a Wiśniowiecki szarżował z lewego skrzydła po lodzie. Tuhaj-bej dał rozkaz do odwrotu, który osłaniać miała czterotysięczna ariergarda. Tę jednak położyła pokotem szarża husarii i tatarski odwrót zamienił się w ucieczkę. W ślad ruszył pięciotysięczny pościg prowadzony przez komisarza wojska zaporoskiego Mikołaja Zaćwilichowskiego, który doszczętnie rozbił Tuhaj-beja podczas przeprawy przez rzekę Siniuchę.

Koniecpolski stał się symbolem „rycerstwa spod kresowych stanic", a jego nazwisko brzmiało jak ostrzeżenie dla wrogów, którzy wkroczyliby niebacznie na krańce Rzeczypospolitej…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Trzy rocznice święta Odrodzenia

Maciej Rosalak

100 lat temu – a dokładnie 12 listopada 1919 r. – Ignacy Jan Paderewski wygłosił w Sejmie Ustawodawczym porywające przemówienie. Akurat kończył się pierwszy rok naszej niepodległości, a zarazem dziewiąty miesiąc pełnienia przez niego obowiązków premiera. Wkrótce poprosi o dymisję, nie mogąc pogodzić się z krytyką poczynań rządu. Tego jednak dnia w dramatycznych słowach podsumowywał dokonania młodego państwa:

„Gdyśmy obejmowali władzę, na wszystkich krańcach Polski toczyła się wojna, a w Paryżu układał się pokój… Program nasz zawierał się więc w czterech wyrazach: wygrać pokój, wygrać wojnę... Od nas żądano bezzwłocznego uporządkowania kraju, natychmiastowego zagospodarowania państwa… uszczęśliwienia wszystkich, zapominając o tym, żeśmy objęli we władanie jeszcze nieurządzoną, ale wycieńczoną ojcowiznę, żeśmy dostali raczej nagie pola, popioły i zgliszcza i że nad naszymi głowami srożyła się straszna burza, zapominając wreszcie, że w płonącej stodole zboża się nie młóci, a podczas nawałnicy siana się nie zbiera… mało kto doprawdy u nas rozumie, że tam na tym długim północno-wschodnim froncie leje się krew nasza, sączy się energia narodu, topnieje lwia część skromnych zasobów państwa, że tam zużywają się... cenne polskie siły!".

Mówił prawdę. Aby jednak uchwycić dynamikę odradzania się Polski, zwróćmy uwagę, że rok wcześniej w Warszawie tworzył się dopiero wokół męża opatrznościowego – Józefa Piłsudskiego – jeden ośrodek władzy. Pod jego kontrolą znajdowały się zrazu tylko ziemie dawnej Kongresówki i Małopolski Zachodniej, a pod bronią było nie więcej niż 30 tys. Polaków. Zaczęło się dopiero rozbrajanie okupacyjnych garnizonów niemieckich, od kilkunastu dni trwały zaś walki we Lwowie. Rychło zapłonęły wszystkie niemal granice. W tych okolicznościach dekrety Naczelnika Państwa położyły zręby ogłoszonej przezeń Republiki Polskiej, przeprowadzono wybory do Sejmu, uzyskano uznanie państwa przez liczące się rządy oraz skuteczne przedstawicielstwo Romana Dmowskiego na paryskiej konferencji pokojowej. A kiedy Paderewski odchodził z urzędu premiera, armia osiągnęła 600 tys. żołnierzy, a Polska dotarła do granic sprzed II rozbioru, z Wielkopolską, Pomorzem, Małopolską Wschodnią, Wołyniem i Polesiem oraz z Wileńszczyzną.

Nadchodzący rok 1920 miał przynieść rozstrzygnięcie sprawy podstawowej dla istnienia niepodległej Polski – zahamowania moskiewskiego imperializmu w bolszewickim wydaniu. Minął ów rok i oto znów mamy listopadową rocznicę. Główna uroczystość odbywa się na pl. Zamkowym w Warszawie, gdzie 14 listopada 1920 r. w asyście całej generalicji najmłodszy z żołnierzy – kawalerów Virtuti Militari – wręcza buławę marszałkowską Naczelnemu Wodzowi, zwycięzcy spod Warszawy. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

Werndle dla legionistów

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Zanim wojacy Piłsudskiego dostali słynne mannlichery, wielu z nich rozpoczęło wojnę światową z leciwymi jednostrzałowymi werndlami

W chwili wybuchu I wojny światowej karabiny i karabinki systemu Werndla były zupełnym przeżytkiem, jednak zalegające w magazynach egzemplarze wydano niektórym jednostkom tyłowym, a także żywiołowo organizującym się Legionom. Najważniejszy moment dnia to fasunek Werndli" – wspominał dzień 11 sierpnia 1914 r. Wilhelm Wilczyński, żołnierz późniejszego 1. Pułku Piechoty. „Są to stare austriackie karabiny jednostrzałowe, które na skutek zastąpienia ich nowymi o ładunku 5-nabojowym i powtarzalnymi karabinami Mannlicher z użycia w armii austriackiej były wycofane. Tak jak wszyscy otrzymuję taki karabin bez pasa, dlatego też, by móc go nosić na ramieniu, przywiązuję do niego sznurek".

Historia broni sięga 1866 r. i bitwy pod Sadową, gdzie Prusacy odnieśli spektakularne zwycięstwo nad Austriakami. Ci pierwsi mieli odtylcowo ładowane iglicówki Dreysego, drudzy kapiszonowe karabiny systemu Lorenza. Dreyse strzelał amunicją scaloną i mimo że nie zachwycał parametrami balistycznymi, okazał się zdecydowane prostszy w obsłudze i bardziej szybkostrzelny od karabinów odprzodowych zasilanych amunicją rozdzielnego ładowania. Ta pamiętna bitwa zakończyła trwającą od średniowiecza erę broni strzeleckiej ładowanej od wylotu lufy i zainicjowała bezprecedensowy wyścig zbrojeń. W ciągu dwudziestu kilku lat skonstruowano i wprowadzono do uzbrojenia niezliczoną ilość karabinów, początkowo czarnoprochowych i jednostrzałowych, a potem powtarzalnych (tzn. wielostrzałowych, wyposażonych w magazynki), i wreszcie strzelających małokalibrową amunicją elaborowaną bezdymnym prochem.

Werndl wpisuje się w pierwszy etap. Z początku Austriacy zaczęli przerabiać regulaminowe lorenze na broń odtylcową (system Wänzla), jednak już w 1867 r. przyjęto na uzbrojenie nową konstrukcję systemu Jozefa Werndla, twórcy zakładów zbrojeniowych Österreichische Waffenfabriks Gesellschaft w Steyr. Prawdziwym konstruktorem karabinu był czeski rusznikarz Karel Holub. Broń miała kurek zewnętrzny i obrotowy zamek w kształcie walca z półokrągłą bruzdą.

Aby załadować karabin, należało najpierw częściowo odciągnąć kurek, a potem, trzymając za skrzydełko zamka, obrócić go; wówczas półokrągła bruzda ustawiała się dokładnie na osi komory nabojowej, umożliwiając włożenie patronu. Teraz można było zamknąć zamek i odciągnąć kurek do końca. Ściągnięcie spustu powodowało obrót kurka i uderzenie w ruchomą iglicę znajdującą się wewnątrz trzonu zamkowego, a ta z kolei biła w spłonkę naboju. Broń strzelała amunicją kal. 11 mm. W 1873 r. zastosowano znacznie wygodniejszy kurek, który osadzono częściowo wewnątrz i przede wszystkim bliżej osi lufy.

Pomimo niezaprzeczalnej archaiczności niektórzy legioniści dostrzegali pewne walory. Jeden z dowódców plutonów relacjonował: „Chłopcy nasi nabrali w końcu dużego zaufania do werndli: wzbudzał szacunek długi i szeroki bagnet tych karabinów, podnoszono to, iż kule werndloskie zadają cięższe rany niż delikatne kulki mannlicherów". Niemniej przezbrojenie w karabiny wielostrzałowe, które nastąpiło już po niecałych dwóch miesiącach od wyruszenia w pole Pierwszej Kompanii Kadrowej (notabene wyposażonej w mannlichery), przyjęto wśród legionistów entuzjastycznie. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

Harrier nad Falklandami

Koncepcja samolotu posiadającego zdolność pionowego/krótkiego startu sięga lat 50. XX w. U jej podstaw legła obawa o zniszczenie lotnisk oraz pasów startowych i w efekcie uziemienie samolotów. Po latach prób z systemem zmiany kierunku wektora ciągu w 1969 r. samolot pionowego startu Harrier wszedł do służby w brytyjskim lotnictwie. W 1978 r. pojawiła się wersja morska – Sea Harrier. To właśnie ona zasłynęła w czasie wojny z Argentyną. Jednomiejscowy pokładowy samolot myśliwsko-szturmowy napędzany był dwuprzepływowym silnikiem Rolls-Royce'a. Nie imponował prędkością (1190 km/godz.), ale posiadał doskonałe właściwości manewrowe.

Samolot zaopatrzono w dwa urządzenia sterownicze. Dźwignia zmiany kąta dysz silnika umożliwiała ich obrót, przy czym przy 90-stopniowym nachyleniu wykonywano pionowy start oraz manewrowanie przy prędkościach bliskich zera, a przy 98 stopniach zatrzymywano maszynę w pionie lub się cofano. Drugie urządzenie sterownicze służyło do kierowania samolotem bez użycia powierzchni sterowych, lecz za pomocą dodatkowych dysz manewrowych, co było konieczne przy minimalnych prędkościach (podobnie jak w śmigłowcach). Podczas forsownego hamowania harrier był w stanie w ciągu 10 s zmniejszyć prędkość z 850 km godz. do 0 km/godz. oraz ponownie ją zwiększyć w ciągu 30–40 s. Wektorowy ciąg zapewnił harrierowi znakomitą zwrotność i możliwość gwałtownego zmniejszenia prędkości, dzięki temu osiągał przewagę taktyczną nad innymi maszynami.

Uzbrojenie stanowiły kierowane pociski AIM-9L i AIM-9B Sidewinder, bomby kasetowe BL.755 do ataków na cele naziemne oraz dwa działka kal. 30 mm. ©℗

Pistolet 1912

Pistolet samopowtarzalny z kurkiem zewnętrznym, działający na zasadzie długiego odrzutu lufy (rzadko spotykane rozwiązanie w broni krótkiej) i zasilany z 7-nabojowego magazynka pudełkowego; ryglowany poprzez obrót zamka. Broń została skonstruowana przez Rudolfa Frommera, a w 1912 r. przyjęto ją na uzbrojenie narodowej armii węgierskiej (honwedów), integralnej części składowej sił zbrojnych Austro-Węgier. Produkowany był w budapeszteńskiej wytwórni Fegyver és Gépgyár Részvénytársaság (FGGY). Pierwotnie broń przeznaczona była do nabojów 7,65 mm i 9 mm Frommer, nieco silniejszych od popularnej amunicji Browninga. Wojsko używało przede wszystkim pistoletów o kalibrze 7,65 mm, wersja 9 mm przeznaczona była na rynek komercyjny. Do zakończenia produkcji w 1928 r. powstało ponad 360 tys. tych pistoletów w obu kalibrach, włącznie z wersją kieszonkową, Baby. Po 1918 r. był to jeden z najliczniej reprezentowanych wzorów w odrodzonym Wojsku Polskim. Część frommerów pozostała na uzbrojeniu do 1939 r., potem znalazły zastosowanie w konspiracji. ©℗

Starożytna artyleria

W starożytności posługiwano się katapultami wykorzystującymi elastyczne pęki strun i cięciwę. Szczególne znaczenie machiny te zyskały w okresie hellenistycznym, a potem w Imperium Rzymskim. Punktem wyjścia do skonstruowania katapulty były łuk i kusza (znana od IV w. p.n.e.). Zasadniczy element stanowiła drewniana rama, w której osadzano ułożone pionowo w podłużnych skrzynkach pęki strun ze zwierzęcych ścięgien. Wkładano w nie z obu stron drewniane drążki, będące ramionami połączonymi ze sobą cięciwą. Rama połączona była z łożem mającym wyżłobienie na pocisk; po naciągnięciu cięciwy (za pomocą kołowrotu) zaczepiano ją na zapadce znajdującej się w łożu. Całość osadzano na solidnej podstawie, która jednocześnie umożliwiała zmianę pozycji w poziomie i pionie.

Stosowano także katapultę jednoramienną, zwaną monanokon (łac. onager). W poziomej ramie umieszczano poprzecznie wiązkę strun, w które następnie wkładano drewniany, tkwiący pionowo drąg (lub ramię), na którego końcu znajdowała się skórzana proca. Po zwolnieniu uprzednio naciągniętego ramienia sprężyste struny powodowały jego gwałtowny ruch do przodu (po łuku) i uderzenie w specjalną poprzeczkę z poduszką. Ta zatrzymywała gwałtownie ramię, co powodowało wyrzucenie pocisku z procy. Monanokon był znacznie mniej mobilny, osadzano go na czterech kołach. Używano do niego pocisków kamiennych, podczas gdy katapulty dwuramienne dzieliły się na miotające kule i strzały (na zdjęciu: groty z rzymskich pocisków). Ważna była zależność między istotnymi elementami katapulty a wielkością pocisków, dlatego ściśle przestrzegano wymiarów. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

George Cruikshank „Sklep z ginem", satyryczna grafika z 1829 r. FOT. WIKIEMDIA COMMONS

Alkohol / Od fermentacji do destylacji spirytusu

Aqua vitae, czyli okowita

Tymoteusz Pawłowski

Najprawdopodobniej już dinozaury upijały się alkoholem – tak jak dziś sfermentowanymi owocami upijają się ptaki

Alkohol spożywczy w niektórych kręgach cieszy się dużą sympatią – czasem nawet zbyt dużą – w innych zaś spotyka się z niechęcią. Większości wyprodukowanego alkoholu używa się do celów przemysłowych, co z kolei jest dość nudne. Za to jego historia może zaciekawić. Alkohol powstaje poprzez fermentację cukru. W procesie tym pomagają drożdże, a właściwie produkowane przez nie enzymy. Cukier rozpada się więc na alkohol oraz – co równie ważne – na dwutlenek węgla. Ten gaz może być nawet ważniejszy od płynu, bierze bowiem udział w produkcji naszego chleba powszedniego oraz mniej powszednich bułeczek. Drożdże, które dodaje się do ciasta, pomagają w fermentacji cukrów, produkują dwutlenek węgla, który sprawia, że ciasto jest pulchne i apetyczne. Przy okazji powstaje oczywiście alkohol, w niektórych wypiekach można go znaleźć ze 2 proc. Żeby się nim upić – czy chociażby podchmielić – trzeba by było zjeść kilka kilogramów.

Oszołomienie, które człowiek – a także zwierzęta – czują po wypiciu alkoholu, wynika z tego, jak działa on na mózg, a właściwie na substancje zwiększające aktywność komórek nerwowych. Nieco upraszczając: osłabia ich działanie, sprawiając, że wolniej się kojarzy, mniej logicznie myśli, pojawia się uczucie relaksu i rozluźnienia. Alkohol upośledza również działanie móżdżku odpowiedzialnego za koordynację ruchów i równowagę.

Najprawdopodobniej już dinozaury upijały się alkoholem – tak jak dziś sfermentowanymi owocami upijają się ptaki. Człowiek, produkując i przechowując żywność, również poznał skutki fermentacji, ale świadomie produkcją alkoholu

eprasa.pl cca2dcaa5c

zajął się ok. 10 tys. lat temu. I już wtedy powstały najpopularniejsze napitki: piwo produkowane z nasion oraz wino – z owoców. Reszta napojów to egzotyka, wyprodukowana z miodu pszczelego, miąższu kaktusów lub trzciny.

Wódka

Dzięki fermentacji naturalnej można otrzymać napój zawierający kilka procent alkoholu. Przez wiele tysiącleci napitki były niskoalkoholowe. Jeśli dziś czytamy, że w Helladzie piło się zawsze wino, to trzeba mieć świadomość, że miało ono ok. 5 proc., piwo z kolei – pite w naszych okolicach – również było słabe i miało z reguły 3 proc. Można było zwiększyć ilość alkoholu, wymagało to jednak starań – pracochłonnej technologii produkcji, wyhodowania odpornych drożdży albo wymrożenia nadmiaru wody.

Najskuteczniejszym sposobem jest jednak destylacja. Znana była od dawna, a dokładniej zbadali ją Arabowie ok. IX w. Wskazuje na to chociażby nazwa, zaczynająca się od typowego dla arabszczyzny przedrostka „al-". Druga część słowa to „-kohl" i oznacza kosmetyk (kredkę do oczu), a złożenie tych dwóch wyrazów miało podkreślić wydobycie esencji kosmetyku, jego ducha, który po łacinie nazywa się „spiritus".

Wbrew legendom spirytus nie został wymyślony w naszej ojczyźnie w XV w., tylko dużo wcześniej i daleko na południe od niej. W XV w. masowo pojawiły się narodowe napoje, różniące się tym, co było podstawą destylacji. Najpierw była zatem brandy – znana jako wypalanka – destylowana z wina, smaczna, ale droga. Zastąpiła ją grappa – produkowana z winnych wytłoków. Na Bałkanach spirytus destylowano ze słodkich owoców – taka jest geneza rakii czy śliwowicy. W Polsce, a właściwie w rodzącej się Rzeczypospolitej Obojga Narodów, pojawiła się okowita, destylowana z piwa nieprzyprawionego chmielem. Okowita to spolszczone łacińskie „aqua vitae", czyli woda życia, dopiero ok. XVII w. zaczęto używać słowa „wódka", przedtem używanego do określania leków i kosmetyków produkowanych na bazie spirytusu.

Rozpowszechnienie się destylowanych alkoholi doprowadziło kilka państw do upadku. Narodem powszechnie uchodzącym za naród zniszczony przez alkohol są Szwedzi, spożywający wódkę w olbrzymich ilościach, niezależnie do wieku i niemal pod każdą postacią (popularnym daniem była zupa z wódki). Nadmiar alkoholu – w małych dawkach powoduje zainteresowanie płcią przeciwną, w dużych zaś impotencję – sprawił, że w XVIII w. Szwecja się wyludniła. Szwedzi niemal przestali prowadzić wojny, bezradnie patrząc, jak kurczy się ich imperium. Swego czasu był to naród równie liczny co Polacy, dziś jest cztery razy mniejszy. Dopiero wprowadzenie w początkach XX w. prohibicji – a dokładniej: bardzo surowego racjonowania alkoholu – sprawiło, że kraj stanął na nogi.

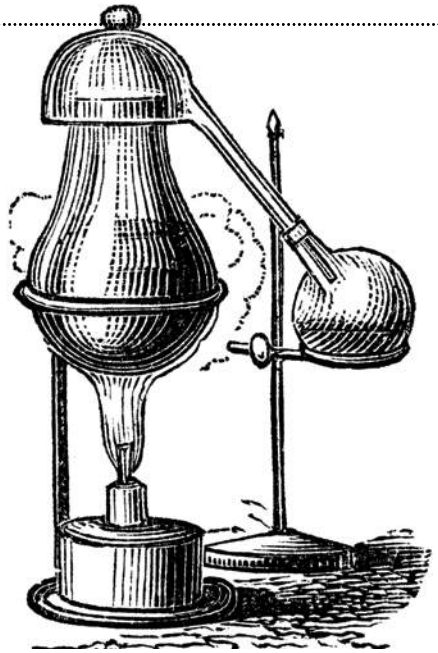

Alembik, urządzenie do destylacji FOT. ADOBE STOCK

Spirytus z ziemniaków

Szwecja odrodziła się, ale Rosję spirytus prowadzi do upadku. Gdy w 1904 r. wybuchła wojna japońsko-rosyjska, nie udało się przeprowadzić sprawnej mobilizacji. Rezerwiści – wiedząc, że w carskiej armii ich szanse na przeżycie są niewielkie – pili do upadłego, spóźniając się do swoich pułków tygodniami. Gdy w 1914 r. wybuchła zatem kolejna wojna – tym razem światowa – car wprowadził prohibicję. Dochody państwa spadły o blisko połowę, gospodarka Rosji rozsypała się, wybuchła rewolucja, car stracił życie i powstał Związek Sowiecki. Do upadku tego państwa też zresztą przyczyniła się prohibicja wprowadzona przez Michaiła Gorbaczowa w połowie lat 80. XX w. Zmniejszyły się dochody Moskwy, a obywatele stracili jakąkolwiek sympatię dla władzy. Z kolei zniesienie prohibicji sprzyjało znów rozpowszechnieniu pijaństwa prowadzącego do degeneracji społeczeństwa…

Tak jak kluczem do gospodarczego sukcesu Szwecji był zakaz produkcji alkoholu, tak polska gospodarka – zarówno przemysł, jak i rolnictwo – zawdzięcza swój rozwój spirytusowi. W XIX w. nasze ziemie były jałowe, a przemysł niemal nie istniał. Wówczas zaczęto uprawiać na olbrzymią skalę ziemniaki, które mogą rosnąć nawet na piaskach, i to w olbrzymich ilościach. Kartofle doskonale nadają się do produkcji spirytusu i Polska pokryła się siecią mniejszych oraz większych destylarni. O ile w Rosji spirytus wykorzystywano głównie do rozpijania chłopów, o tyle w Polsce w znacznej mierze również do dalszej produkcji.

Alkohol jest bowiem doskonałym rozpuszczalnikiem, dzięki niemu powstają znakomite barwniki, które można wykorzystać do farbowania tkanin. Rozwój przemysłu spożywczego dał impuls rozwojowi przemysłu tekstylnego, powstawało coraz więcej fabryk, a nawet całych miast produkujących barwne tkaniny sprzedawane... głównie Rosji. Bez spirytusu nie byłoby polskiego przemysłu, nie byłoby pieniędzy na wywalczenie – i utrzymanie – niepodległości.

Rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, jak bezbarwny byłby świat bez alkoholu. Ludzie chodziliby ubrani tak jak w średniowieczu – jedynie najbogatszych byłoby stać na purpurowe szaty, a 99 proc. społeczeństwa nosiłoby bezbarwne, szare kapoty. Rzadko zdajemy sobie sprawę, że spirytus jest potrzebny do produkcji niemal każdego elementu – od układu scalonego w komputerach do statków, także kosmicznych.

Wódka jest – szczególnie w nadmiarze – narkotykiem szkodliwym dla całych narodów i dla zwykłych ludzi. Są narkotyki mniej szkodliwe, jednym z nich jest podobno marihuana. Jej legalizacja nie leży jednak w interesie państwa, ale nie z powodów medycznych. Ważniejsze są gospodarcze – spirytus dosłownie napędza przemysł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cca2dcaa5c

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

eprasa.pl cca2dcaa5c

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Wbrew niepamięci rodaków...

Generał Kazimierz Sosnkowski (1885–1969) – legendarny „Szef" z Kompanii Kadrowej i Pierwszej Brygady Legionów, więzień twierdzy magdeburskiej, targany wątpliwościami uczeń i towarzysz marszałka Piłsudskiego. Nastawiony sceptycznie do rządów sanatorów-pułkowników, krytyk samobójczej polityki Becka, bohaterski żołnierz Września '39 „bez przydziału", wreszcie minister bliski prezydentowi Raczkiewiczowi i bezkompromisowy przeciwnik Jałty, którego ustąpienia ze stanowiska Wodza Naczelnego w latach 1943–1944 domagali się zgodnie Brytyjczycy, Sowieci i straszący nim cały świat „kawaler jałtański" „Mikołaj, Mikołaj Mikołajewicz, Mikołajczyk". A do tego od 1944 r. internowany przez rząd kanadyjski rezydent malutkiego Arundelu, który nie szczędził surowej krytyki pod adresem Zachodu, śledził rozwój wypadków na międzynarodowej szachownicy, kreślił drogi, po których zdążać powinna uchodźcza polityka polska... W ostatnich dniach minęła 50. rocznica jego śmierci (11 października 1969 r.).

/ Sosnkowski jest i pozostanie na zawsze naszym wielkim wodzem i bohaterem narodowym. Wbrew niepamięci rodaków, rechotowi ignorantów i wrogom Polski

Niemal od pierwszych dni II wojny światowej Sosnkowski był dla większości Polaków największą nadzieją. Swoją trzeźwą koncepcją skoncentrowania rozbitych oddziałów Wojska Polskiego na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r. zyskał szacunek beznadziejnie dowodzonego wojska. Do rangi symbolu urasta zapis w notatniku Sosnkowskiego z 8 września 1939 r.: „Idę do »Śmigłego«, jest 12 w południe. Muszę czekać – jest fryzjer"... Później było już tylko coraz gorzej, bo generał serio traktował prawdę o dwóch wrogach – III Rzeszy i Sowietach, którzy zniszczyli Polskę w 1939 r.

Na scenę polskiej polityki wkraczał jeszcze kilka razy. Po układzie ze Stalinem z lipca 1941 r. i późniejszych zamachach stanu związanych z pogwałceniem konstytucji i trwałym ubezwłasnowolnieniem przez Sikorskiego prezydenta Raczkiewicza to Sosnkowski był wielką nadzieją na odmianę polskiego losu. Stała za nim egzotyczna, bo bardzo szeroka koalicja polityczna łącząca socjalistów, piłsudczyków i endecję, której celem podstawowym było odsunięcie od władzy Sikorskiego i jego prosowieckich kompanów spod znaku Mikołajczyka, Kota, Retingera i Litauera. Zdawał sobie z tego sprawę Sikorski. Kiedy w 1943 r. Adam Doboszyński ogłosił swój list otwarty do Raczkiewicza i Sosnkowskiego, w którym domagał się od prezydenta udzielenia dymisji rządowi i powołania do władzy Sosnkowskiego, Sikorski wpadł w szał, polecając aresztować Doboszyńskiego, a związanych z nim żołnierzy zesłał do obozu odosobnienia na Wyspę Węży. Sosnkowski stanął w ich obronie, a będąc już Wodzem Naczelnym, polecił ich zwolnić z aresztu.

Sosnkowski próbował zapobiec powszechnemu powstaniu w Polsce i włączeniu Warszawy do samobójczej akcji „Burza". „Co do kraju, to w sytuacji stworzonej przez rozwój zdarzeń przez sowieckie gwałty i fakty dokonane, wszelka myśl o powstaniu zbrojnym jest nieuzasadnionym odruchem, pozbawionym sensu politycznego, mogącym spowodować tragiczne, niepotrzebne ofiary" – depeszował Sosnkowski w lipcu 1944 r. Niestety, przegrał z premierem Mikołajczykiem, który zatrzymywał instrukcje i depesze skierowane do kraju. Uważał, że za Mikołajczykiem stoją siły pchające Polskę ku kolejnej katastrofie. Wiedział, że już 6 lipca 1943 r. kandydaturę Mikołajczyka na premiera RP wysunął komunistyczny „Daily Worker", żądający aneksji przez Sowiety Lwowa i Wilna.

Sosnkowski był zmuszony wyjechać z „polskiego Londynu". Osiadł w kanadyjskim Arundelu. Do ostatnich swoich dni był bodaj najczystszym symbolem niezłomnych i nieprzejednanych, kontynuujących swoją straceńczą wojnę o Polskę wolną, ale i całą (z Kresami), któremu komunistyczna bezpieka nadała kryptonim rozpracowania Kazio. ©℗

eprasa.pl cca2dcaa5c

Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY

FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA • **POZNAŃ** POSNANIA • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53
WROCŁAW OŁAWSKA 16 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49 • **WARSZAWA** WOLA PARK

eprasa.pl cca2dcaa5c